Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 24 (1628) ROK XXXII 11 CZERWCA 1989 ROKU CENA 80 ZŁ

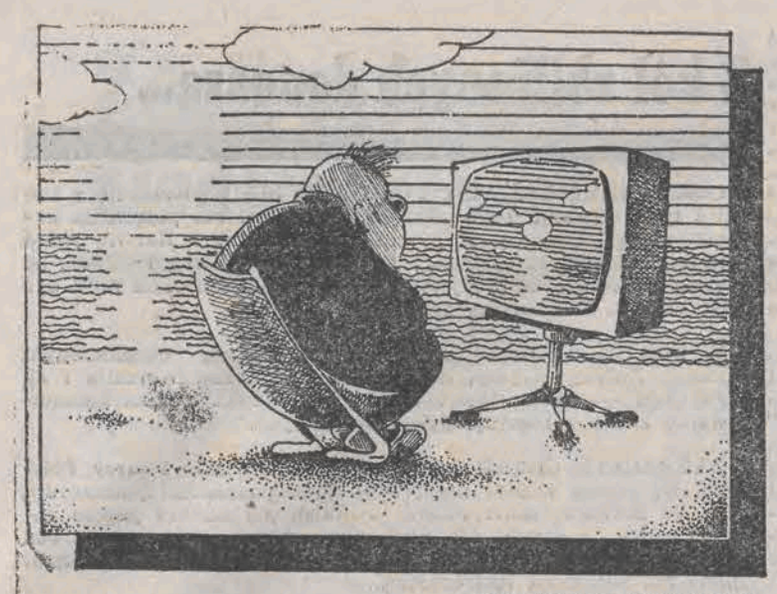

rys. Dariusz Romanowicz

□ Urodziła dziecko Szatana? — str. 6
□ Strajk studentów w Łodzi — str. 15
□ Tragiczne przypadki Antoniego H. — str. 10
□ Finał sprawy wymuszania korepetycji — str. 6

Najwyższy czas, aby ludzie wiedzieli, o co toczy się ten spór.

Nie ma dwóch „Solidarności"

Rozmowa z ANDRZEJEM SŁOWIKIEM, przewodniczącym Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej, kierowcą w łódzkim MPK.

— O kierowanym przez pana odłamie „Solidarności" mówi się potocznie jako o „grupie Słowika, Kropiwnickiego i Palki". Kim naprawdę jesteście? Kogo reprezentujecie?

— Jesteśmy w Zarządzie Regionu NSZZ „Solidarność" Ziemi Łódzkiej, który skupia obecnie ponad 100 komisji zakładowych z Łodzi i województwa. Uważamy się za kontynuatorów statutowych władz „Solidarności", wybranych w 1981 roku. Otrzymaliśmy wtedy od wyborców mandaty, które zamierzamy złożyć nie wcześniej, jak przed II Zjazdem Delegatów „Solidarności". Dopóki do zjazdu nie dojdzie, nie możemy zrzec się nałożonych na nas obowiązków. Od strony formalnej nie stało się nic takiego, co by nas od nich zwolniło. Co zaś się tyczy opinii i nazw, przypisywanych naszej trójce (i nie tylko, bo dotyczy to większego grona działaczy), takich jak „grupa Słowika" czy „grupa Gwiazdy", „rozłamowcy", „frakcja" itp. — są to etykietki, wymyślane na doraźny, polemiczny użytek, nie wyjaśniające istoty sporu, który nas dzieli z resztą działaczy „Solidarności".

— Przejdźmy zatem od razu do kwestii sporu. W wywiadzie udzielonym „Odgłosom" działacze Regionalnej Komisji Organizacyjnej NSZZ „Solidarność" podali, iż zaczął się on od różnicy zdań na temat kolejności i sposobu odtwarzania struktur związkowych w warunkach konspiracji. Mówiąc w skrócie, oni chcieli rozpocząć od tworzenia na nowo organizacji zakładowych, wy — pragnęliście reaktywować działalność „przedwojennego" Zarządu Regionu. Potem — wedle słów działaczy RKO — spór zaostrzył się, przechodząc w rozłam, co było konsekwencją przyjętej przez tzw. Grupę Roboczą (na spotkaniu 18 grudnia w Gdyni) linii politycznej, sprzecznej z poglądami Lecha Wałęsy. Czy zgodzi się pan z taką interpretacją?

— Ci panowie mówią teraz, że to oni chcieli rozpocząć od odbudowy struktur zakładowych... Jest to zwykła dezinformacja, ponieważ było dokładnie odwrotnie. Pamiętam jak dziś spotkanie w 1986 r., gdy obecny przewodniczący RKO Ryszard Kostrzewa wyraził się jakoś tak, że Regionalna Komisja Wykonawcza nie będzie po raz piąty odtwarzać związku w zakładach, skoro tyle razy się to nie udało. To właśnie my byliśmy za inspirowaniem działalności głównie w przedsiębiorstwach, za ścisłą łącznością z zakładami, bo to one sprawować powinny kontrolę nad działaczami szczebla regionalnego. RKW chciała — w moim przekonaniu — wyłamać się spod tej kontroli. Organizacje zakładowe nie mogły być wówczas jawne, bo groziło to ludziom zwolnieniami z pracy. Mieliśmy taką koncepcję: związkowcy w przedsiębiorstwach — zakonspirowani, zaś działacze ze struktur ponadzakładowych — jawni, bo to oni muszą dawać przykład, to oni na co dzień udowadniają, że jawne działanie jest jednak możliwe, że władze w końcu się z tym pogodzą. Co do poglądów na reaktywowanie Zarządu Regionu, to zawsze byliśmy zdania, że trzeba się opierać na statucie związku, bo jeśli nie na statucie, to na czym właściwie? Regionalna Komisja Wykonawcza była dla nas organem tymczasowym, dobrym do czasu gdy możliwe będzie przybliżenie się do rozwiązań określonych statutem: zatem do odtworzenia zarządów regionalnych i władz na szczeblu krajowym. Liczyliśmy, że skupia się w nich wszyscy, którzy — posiadając mandaty z 1981 roku — nie zrezygnowali z działalności związkowej, mając już niejako mandat z pola walki. Liczyliśmy, że w przyszłości uda się nam rozpisać nowe, powszechne, demokratyczne wybory w związku, i wtedy dopiero złożyć swoje mandaty. Tymczasem rozwiązania przyjęte jako tymczasowe zaczęły się utrwalać, ze szkodą dla demokracji w związku. Statut związku nie stał się zbiorem reguł, określających współdziałanie w ramach „Solidarności". Inne reguły zaczęły mieć pierwszeństwo, bliższe centralizmowi niż demokracji. Zauważyliśmy to na długo przed spotkaniem w Gdyni. Twierdzenie, że to spotkanie zdecydowało o rozłamie, jest świadomym wprowadzaniem w błąd. Nie było to spotkanie Grupy Roboczej, lecz kilkudziesięciu działaczy, przybyłych — jak co roku — na obchody Grudnia 1970. Jednym wspólnym dokumentem był wówczas apel o zwołanie statutowej Komisji Krajowej. Pozostałe dokumenty były jedynie propozycjami do dyskusji na forum tejże KK. Dopiero później jeden z nich (tzw. dokument łódzki) stał się oficjalnym stanowiskiem Grupy Roboczej.

— Czy działała już Regionalna Komisja Wykonawcza, kiedy opuścił pan więzienie?

— Więzienie opuściłem 24 lipca 1984 roku. RKW od ponad 3 miesięcy działała. Funkcjonowała m.in. dlatego, że osobiście uruchomiłem środki finansowe na rozpoczęcie jej działalności, korzystając z przepustki w 1983 r. Dałem je J. Dłużniewskiemu, z upoważnieniem do działań w moim imieniu. Jurek Kropiwnicki i ja, przebywając nadal w więzieniu, grypsami zdołaliśmy przekonać wiele osób do tego, że konieczne jest utworzenie takiej właśnie, jednej w regionie, tymczasowej struktury. Popieraliśmy zresztą RKW

7

Foto: Grzegorz Gałasiński

W Krakowie „wipowcy" walczyli z „zomowcami".

Młodzież na ulicy

MIROSŁAW KULIŚ

1.

W czwartek, 18 maja 1989 r. w Krakowie do gier ulicznych przystąpiły dwie kilkusetosobowe grupy młodych ludzi. Jedni zwą się „wipowcami" drudzy „zomowcami". Są rówieśnikami Pacyfiści i zmilitaryzowani. Łączy ich dbałość o strój. „Zomowców" zuniformował regulamin. „Wipowcy" przywdziali rynsztunek sami z siebie. Na nogach sportowe, wygodne obuwie. Ponadto lekkie kurtki bez podpinki z kapturem oraz chustki na szyi spełniające rolę masek przeciwgazowych.

Różnią się szykiem. „Zomowcy" tworzą prostokąty. Okratowany „Star" z tyłu to dowództwo. „Wipowcy" ustawili się w koło. Jego środek jest zwarty i gęsty. Stąd wychodzą rozkazy i polecenia. Najważniejszy z trzech przywódców jest Marek. To on najczęściej trzyma w ręku mikrofon zradiofonizowanej tuby. Marek jest aktywistą ruchu „Wolność i Pokój". więc pewnie dlatego nosi z boku na pasku torbę zwaną oficerką oraz włożył na siebie czarną, skórzaną, rozerwaną na rękawie podczas wczorajszych utarczek, kurtkę. Jak na oficera Marek ma jednak za długie włosy. Nie domyte, rozczochrane, spadające na kołnierz. Twarz blada, prawie ziemista, znamionująca zmęczenie fizyczne.

Podczas przemieszczania się szyk „wipowców" ulega zmianie. Jądro wysuwa się na czoło tłumu. Im głębiej tym luźniej. Arriergardy brak. Marek wraz z kolegami chciał odbyć spacer pod Komitet Wojewódzki PZPR przy ulicy Westerplatte, lecz rychło okazało się, że równie trudno dostać się tam, jak na ten bohaterski półwysep w 1939 roku. Bunkry „zomowców" wyrastały przy każdej z uliczek łączących krakowski Rynek z Westerplatte. Silne, szczelne i zwarte stanowią zapory nie do pokonania.

2.

Dobry strateg i taktyk nie pozwala przeciwnikowi na wybranie placu boju, lecz sam stara się ustawić własne oddziały w najkorzystniejszym do starcia miejscu. Marek wie o tym i wzdłuż ulicy Dominikańskiej oraz Franciszkańskiej wycofuje swoich zwolenników tak, by w razie ataku móc rozproszyć się po Plantach.

— *Utrudni to milicji wyłapanie nas, a my zbierzemy się później znowu* — objaśnia przez megafon i zaraz udziela następnej instrukcji. — *Siadamy na ulicy i spokojnie czekamy...*

Mija kilkanaście minut, nikt nie zaczepia „wipowców".

4

Reporter „Odgłosów" w Berlinie Zachodnim: Na prawicy pozostało wolne miejsce, propagują nową politykę w stosunku do cudzoziemców.

Czego chcą republikanie?

Rozmowa z CARSTENEM PAGELEM — prawnikiem, przedstawicielem partii republikanów w Izbie Deputowanych Berlina Zachodniego.

— Czy mógłby pan wyjaśnić krótko polskim Czytelnikom, kiedy, w jaki sposób i dlaczego powstała partia republikanów?

— W RFN nasza partia istnieje od 1983 roku, w Berlinie zaś — od 1987. A dlaczego powstała? Przede wszystkim dlatego, że inne partie polityczne coraz bardziej zaczęły ciążyć ku lewicy. Widać to dobrze na przykładzie SPD, która pod wpływem Zielonych przesunęła się na lewo i pociągnęła za sobą CDU. Na prawicy pozostało więc puste miejsce, miejsce dla nowej partii, która bardziej zdecydowanie od już istniejących działałaby na rzecz zjednoczenia Niemiec, zachowania prawo-

— Czy mógłby pan wyjaśnić krótko polskim Czytelnikom, kiedy, w jaki sposób i dlaczego powstała partia republikanów?

— W RFN nasza partia istnieje od 1983 roku, w Berlinie zaś — od 1987. A dlaczego powstała? Przede wszystkim dlatego, że inne partie polityczne coraz bardziej zaczęły ciążyć ku lewicy. Widać to dobrze na przykładzie SPD, która pod wpływem Zielonych przesunęła się na lewo i pociągnęła za sobą CDU. Na prawicy pozostało więc puste miejsce, miejsce dla nowej partii, która bardziej zdecydowanie od już istniejących działałaby na rzecz zjednoczenia Niemiec, zachowania prawo-

5

rządności, państwa narodowego i jednolitego kulturowo, czyli właśnie dla nas.

— Jakie są wasze główne cele polityczne?

— Czy ma pan na myśli tylko Berlin, czy też całe Niemcy?

— I jedno, i drugie. Ale niech pan może zacznie od zasady polityki ogólnoniemieckiej.

— No więc, jak już powiedziałem, opowiadamy się przede wszystkim za zjednoczonymi Niemcami ze stolicą w Berlinie. Tak, jak mówi o tym nasza ustawa zasadnicza, będąca odpowiednikiem konstytucji. Politycy z CDU czy CSU zbyt mocno przywiązali się już, naszym zdaniem, do koncepcji związania RFN z Zachodem, zapominając o nakazie zjednoczenia całych Niemiec. Podobnie myślą też cztery główne mocarstwa — zwycięzcy ostatniej wojny. My będziemy domagać się, aby i one wywiązywały się ze swych zobowiązań, czyli między innymi działały na rzecz jedności Niemiec.

Po drugie — o jednolitym państwie niemieckim mówić można jedynie wtedy, gdy mieszkać w nim będą Niemcy. Tymczasem — co się dzieje? W dużych miastach wciąż przybywa cudzoziemców. W Berlinie na przykład stanowią już oni 12 proc. I nie są to imigranci z państw środkowo-europejskich, ale głównie z: Turcji, Libanu, Pakistanu... Ich obecność tutaj nie sprzyja, rzecz jasna, idei zjednoczenia. Domagamy się więc określenia nowych zasad polityki w stosunku do cudzoziemców.

— Na czym miałyby one polegać?

— Na osiąganiu pewnych korzyści materialnych przez tych, którzy zdecydują się powrócić na stałe do swego kraju, na utrudnieniu im ściągania tu swoich rodzin oraz na wydalaniu wszystkich, którzy weszli w konflikt z prawem, a także — przez zbyt długi czas utrzymują się z zasiłku. To nasze

Adres redakcji:
90 113 Łódź ul Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36 52 44,

sekretarz redakcji,
fotoreporter: 36 80 99,
publicyści: 36 77 70, 32 89-70
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Problematyka literacka: Henryk Pustkowski.
Problematyka kulturalna: Marian Zdrojewski,
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Andrzej Gębarowski, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Zofia Kędziora, Marek Koprowski, Mirosław Kuliś, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski
Grafik: Janusz Szymański Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejewski, Marek Brzeziński (Paryż), Grzegorz Gazda, Andrzej Karolczak, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Moskwa), Włodzimierz Krzemiński, Bogumił A. Makowski, Zenon J. Michalski, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Dariusz Romanowicz, Maciej Świerkocki.

Ogłoszenia: Biuro Reklam i Ogłoszeń Łódź ul. Sienkiewicza 3/5 tel. 32 59 11

Organizacja reklamy: **Andrzej Bartosiewicz** tel. 36 80 99

Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka Ruch" 91 103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2 Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa Książka Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa Książka Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa Książka Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul Towarowa 23 00 958 Warszawa konto PKO BP XV Oddział w Warszawie nr 1658 201045 139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1705. D-10.

Przegląd prasy

Jerzy Kropiwnicki pisał w poprzednim numerze „Odgłosów" (23), że niektórzy działacze lewicy laickiej uznali się za właścicieli NSZZ „Solidarność" i postępują jak trenerzy-selekcjonerzy jego kadry. Warto w związku z tym odnotować żartobliwą, lecz znamienną sugestię Jerzego Wysockiego w tygodniku „ŁAD" (nr 22). Proponuje on utworzyć Niezależny Klub Piłkarski „Solidarność", którego prezesem będzie Lech Wałęsa, trenerem-selekcjonerem Bronisław Geremek, masażystą Marek Edelman, a skarbnikiem Józef Pinior. Skład drużyny wyglądałby następująco: atakujący — Alojzy Pietrzyk, Jacek Merkel, Wiesław Wojtas; pomocnicy — Jacek Kuroń, Adam Michnik, Tadeusz Mazowiecki; obrońcy — Jan Olszewski, Jacek Taylor, Adam Strzembosz, Zbigniew Romaszewski; bramkarz — Janusz Onyszkiewicz. Na ławce rezerwowej znaleźliby się: Andrzej Stelmachowski, Aleksander Hall, Stanisław Stomma. Natomiast na listę transferową (do sprzedania) zostali już wystawieni: Andrzej Gwiazda, Marian Jurczyk, Andrzej Słowik, Jerzy Kropiwnicki i Seweryn Jaworski.

Podczas kampanii wyborczej ujawniły się spory wewnątrz „Solidarności" w różnych regionach kraju. Grupa członków związku we Wrocławiu — jak donosi tygodnik „SPRAWY i LUDZIE" (nr 21) — zaprotestowała przeciwko szykanowaniu przez Komitet Obywatelski „Solidarności" tak wypróbowanych i niezłomnych działaczy jak Antoni Lenkiewicz i dr Jan Waszkiewicz. Na specjalnych ekranach drewnianych mieszkańcy Wrocławia czytali:

„Komitet Obywatelski z całą zaciekłością odcina się od nich, szkalując ich dobre imię przez oświadczenie w trakcie kampanii wyborczej, że oni nie mają nic wspólnego z «Solidarnością». Wykorzystuje do tego celu Kościół, prasę, a nawet Radio Wolna Europa. Jest to działanie niegodne ludzi spod znaku «Solidarności». Stanowi naruszenie prawa wywalczonego przy «okrągłym stole».

Jest sprzeczne z oświadczeniem Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie z dnia 23 IV 1989".

Przed wyborami do Sejmu i Senatu przybył do Polski m.in. Zbigniew Brzeziński, były doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego prezydenta USA Jimmy'ego Cartera, obecnie wykładowca w Center for Strategic and International Studies w Waszyngtonie. Przyglądał on się spotkaniom wyborczym kandydatów „Solidarności" i strony rządowej, udzielił wywiadów Aleksandrowi J. Wieczorkowskiemu z „TYGODNIKA KULTURALNEGO" (nr 23) oraz Kazimierzowi Dziewanowskiemu i Wojciechowi Giełżyńskiemu z „GAZETY WYBORCZEJ" (30 maja). W pierwszej rozmowie przestrzega nas przed zbyt optymistyczną oceną ustroju wolnorynkowego.

„Idealizowanie tego modelu gospodarczego może pociągnąć za sobą błędy tego samego rodzaju, jakie poprzednio były wynikiem idealizowania modelu socjalistycznego. Ale każde z większych państw europejskich wytwarza powoli swój własny ustrój, który jest wyrazem pewnych zasadniczych cech politycznych, kulturalnych i gospodarczych danego kraju. Wielki błąd marksizmu-leninizmu polegał na tym, że opierał się na dość aroganckim założeniu, iż można przewidzieć z góry w sposób racjonalistyczny, jaki system jest idealny, jaki zbliżony najbardziej do utopii społecznej. (...) Przemiana ustroju w Polsce musi nastąpić w sposób, w pewnym sensie — pragmatyczny, odpowiadając na szersze możliwości powiązań gospodarczych z Zachodem, ale jednocześnie nie przekreślając niektórych pozytywnych osiągnięć uzyskanych w ostatnich dziesięcioleciach".

W drugim wywiadzie Zbigniew Brzeziński optymistycznie ocenia rozwój sytuacji w naszym kraju, ale nie wyklucza możliwości konfliktów społecznych i to nawet w najbliższej przyszłości. Uważa on, że potrzebny jest wielki umiar i zmysł polityczny ze strony Sejmu, Senatu, władz i opozycji. A oto jak ocenia sytuację w Związku Radzieckim:

„Kiedy pierwszy raz byłem w Sowietach, w latach 50., byłem zdumiony widząc jak przeciętny obywatel ZSRR był święcie przekonany, że powodzi mu się lepiej niż ludziom za granicą. Teraz przekonanie jest absolutnie odmienne: że życie sowieckie jest zacofane, biedne, gorsze niż w reszcie świata. To samo zresztą mówi całkiem otwarcie Gorbaczow".

Polityk amerykański przewiduje eskalację kwestii narodowościowej w Związku Radzieckim. Będzie pogłębiał się długofalowy kryzys prowadzący do żądań suwerenności narodowej. Pieriestrojka nie uda się bowiem bez przekształcenia ZSRR w autentyczną konfederację narodów.

A co sądzą sami Rosjanie o przyszłości stosunków narodowościowych w ich państwie? Według sondażu przeprowadzonego w Moskwie, którego wyniki publikuje tygodnik „FORUM" (nr 21), 31 proc. respondentów sądzi, że podziały i konflikty na tle narodowościowym zaostrzą się, 20 proc. uważa, że problemy narodowościowe pozostaną na obecnym poziomie, 25 proc. spodziewa się wyciszenia, a reszta nie ma zdania.

Moskwianie wypowiedzieli się również na temat działalności trzech byłych przywódców KPZR. Bardzo negatywnie oceniono: Józefa Stalina — 62 proc., Nikitę Chruszczowa — 17 proc., Leonida Breżniewa — 68 proc. Natomiast pozytywne i nader pozytywne oceny wystawiono: Józefowi Stalinowi — 7 proc., Nikicie Chruszczowowi — 29 proc., Leonidowi Breżniewowi — 5 proc. ankietowanych. Ogromnym poparciem cieszy się Michaił Gorbaczow (79 proc.), ale tylko 23 proc. moskwian deklaruje, że w ciągu trzech lat pieriestrojki ich sytuacja materialna poprawiła się. W odczuciu 25 proc. nastąpiło pogorszenie, 47 proc. nie dostrzega zmiany, a 5 proc. trudno powiedzieć. Socjolog radziecki Wsiewołod Marinow pisze:

„Jeśli Gorbaczow nie zdoła spełnić swej obietnicy poprawy warunków życia, jego popularność może spaść jeszcze bardziej.

Na jego korzyść może jednak przemawiać fakt, że tylko jedna czwarta ankietowanych spodziewa się poprawy jakości życia. Skoro oczekiwania są tak skromne, jego notowania mogą nigdy nie sięgnąć dna".

Na pewno bardziej wymagający i niecierpliwi są Polacy, szczególnie młodzi. W artykule zatytułowanym „Czego chce młodzież?" Krzysztof Bohus pisze na łamach miesięcznika „POKOLENIA" (nr 3);

„Część młodego pokolenia jest przekonana, że historyczna rywalizacja pomiędzy kapitalizmem a socjalizmem kończy się nieodwołalnie porażką tego ostatniego. «Pieriestrojka» Gorbaczowa — nie przynosząca jak na razie wyraźnego przełomu w gospodarce — może co najwyżej tonować ten osąd. Młodzież źle trawi nieoczekiwaną zmianę ról, dokonującą się na jej oczach: socjalizm mający być awangardą świata, spychany jest do roli cywilizacyjnego zaścianka. (...)

Młodzi coraz natarczywiej zaczynają stawiać pytania będące dotychczas tabu: Czy partia licząca 2 mln członków może sobie rościć prawo do decydowania o losach całego narodu? Czy możecie nadal w nie zmienionej formie rządzić krajem — pytają młodzi — jeśli sami przyznajecie, iż obecna smutna rzeczywistość jest spuścizną waszej polityki? (...)

Brak zaufania do PZPR dokumentują sondaże i badania. W 1986 roku w badaniach IBPM tylko 6,1 proc. ankietowanych wyraziło zaufanie do partii, w środowisku studenckim ten wskaźnik spadł do 1,4 proc. Wśród młodzieżowych respondentów aż 48,7 proc. opowiedziało się za systemem politycznym bez kierowniczej roli PZPR, a 37 proc. było za utrzymaniem status quo".

W ciekawej wypowiedzi dla dwutygodnika „STUDENT" (nr 11) prof. Józef Lipiec mówi, że jest sprawą przesądzoną gwałtowna rekonstrukcja systemu partyjno-politycznego w Polsce. Obejmie ona również PZPR — łącznie z nazwą i tradycją — choć może nie stanie się to jeszcze w wyniku tegorocznych wyborów. Stopniowo jednak ukształtuje się nowa forma ustrojowa oparta na zdrowych zasadach gospodarki rynkowej oraz gwarantująca minimum bezpieczeństwa socjalnego i maksimum szans dla wszystkich.

„Jeśli ktoś chce lub musi — w związku z długą tradycją i obecnymi tendencjami socjaldemokratycznymi i socjalliberalnymi w Europie — posłużyć się terminem «socjalizm» to proszę bardzo. Jeśli potrzebny będzie dla nowego konstruktywizmu inny termin, też nic nie szkodzi (zwłaszcza że u nas «socjalizm» posiada, niestety, konotację stalinowską lub «realno-socjalistyczną»). Nie chodzi o nazewnictwo, ale o istotę rzeczy".

O istocie nowoczesnego socjalizmu i charakterze partii dyskutowano w redakcji „MIESIĘCZNIKA LITERACKIEGO" (nr 4). Zdaniem prof. Mariusza Gulczyńskiego PZPR powinna przewodzić w kształtowaniu cywilizacyjno-ustrojowej alternatywy kapitalizmu i humanizować rozwój społeczny. Nie może, jak dotąd, pełnić roli zbiorowego feudała i kapitalisty, bo nieuchronnie wchodzi w konflikt z własną bazą klasową. Partia nie może również uzasadniać pozycji hegemonicznej tym, że jest strażnikiem Układu Jałtańskiego, bo oznacza to pogodzenie się z rolą agendy cudzych interesów.

Bogdan Owczarek i Włodzimierz Sokorski uznali za naiwny postulat powrotu do źródeł, ponieważ źródła teoretyczne pochodzą nie z tej epoki. Partyjni muszą więc samodzielnie myśleć i zmienić filozofię władzy.

„Dzisiaj wiemy — stwierdził W. Sokorski — *że nasza władza nie polega na tym, że mieliśmy rację, lecz że był taki po wojnie układ historyczny i polityczny, że musieliśmy za naród i państwo wziąć odpowiedzialność, mimo że racji nie mieliśmy. Niestety, socjalizm w epoce Stalina tak zwyrodniał, że przestaliśmy myśleć kategoriami narodowych interesów, a nawet naukowego marksizmu i krok za krokiem pozbywaliśmy się różnych form ludowej demokracji aż do skasowania własnej partii włącznie. Istota marksizmu polega nie na astronomicznym, lecz naukowym badaniu rzeczywistości. Myśmy tego robić nie umieli, może nie mogli, gdy myślenie załatwiał dyktat Stalina. Stąd wyciągaliśmy fałszywe wnioski, stawialiśmy fałszywe prognozy i przechodziliśmy z kryzysu do kryzysu, degradując stopniowo najbardziej cenne wartości ekonomicznego rozwoju kraju, jego kultury i jego moralności".*

W czasach stalinowskich bardzo negatywną rolę odegrał Jakub Berman. Należał — obok Bolesława Bieruta i Hilarego Minca — do tzw. Trójki i odpowiadał za sprawy bezpieczeństwa. Z artykułu Bronisława Tumiłowicza w tygodniku „ARGUMENTY" (nr 22) wynika, że przed wojną ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim, napisał rozprawę doktorską i był asystentem wybitnego socjologa prof. Ludwika Krzywickiego. Znał bardzo dobrze język niemiecki, czytał swobodnie po angielsku i francusku, rozumiał też ponoć jidysz. Studia wyższe miały również dwie jego siostry i obaj bracia (Adolf był znakomitym psychologiem).

Od 1969 roku Jakub Berman był na emeryturze. Zmarł w wieku 83 lat. Na krótko przed śmiercią 4 kwietnia 1984 roku otrzymał ostatnią emeryturę w wysokości 12,5 tys. złotych.

„Pozycja Bermana jako «drugiego człowieka w partii» stworzyła pewien schemat, powielany przez następne ekipy. Nieprzypadkowo tajemnicze i złowrogie odium ciąży również na Zenonie Kliszce z czasów Gomułki i Edwardzie Babiuchu z ekipy Gierka. Być może, aby uniknąć w przyszłości najcięższych oskarżeń, powinni oni już dziś «otworzyć się», niekoniecznie dla prasy".

Przegląd ten ukazuje się po pierwszej turze wyborów. Nie wszystko jeszcze zostało rozstrzygnięte. Nie wiemy, jaki dokładnie będzie układ sił. Na podstawie sytuacji przedwyborczej Artur Bodnar przewiduje w tygodniku „KULTURA" (nr 22), że w nowym parlamencie najbardziej zwartą okaże się Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Natomiast jedność reprezentantów „Solidarności" będzie nietrwała z powodu podziału związku na trzy zasadnicze odłamy.

Zdaniem prof. Bodnara opozycja nie jest przygotowana do udziału w rządzeniu. Nie dysponuje odpowiednią kadrą mającą doświadczenie państwowe. Z wielkim trudem dobrano osoby, które weszły w skład Komitetu Obywatelskiego. Nie chodzi tylko o względy polityczne, lecz także merytoryczne.

E. L.

Z kół zbliżonych donoszą...

CORAZ TRUDNIEJ JEST POŁĄCZYĆ SIĘ telefonicznie z Łodzi z tymi miastami i osadami, z którymi nie ma połączenia automatycznego. Ostatnio na pytanie o połączenie z Karwią jedna z naszych koleżanek usłyszała, że trzeba bardzo długo czekać, bo nie ma kto łączyć, że przyjęte zamówienie niekoniecznie musi być zrealizowane. Komentarza nie będzie.

W CENTRUM ŁODZI natomiast — w rejonie ograniczonym ulicami: Żwirki, Wigury, Sienkiewicza, 8 Marca, Worcella i al. Kościuszki — można jeszcze w tym roku mieć... telefon. Zainstalowanie telefonu kosztuje dziś 80 000 złotych.

ZAKOŃCZYŁ OBRADY I Zjazd Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wyłonione władze mają w zasadzie charakter tymczasowy, jako że Stowarzyszenie Pisarzy Polskich nie zostało jeszcze zarejestrowane w sądzie. Do SPP może należeć każdy pisarz bez względu na miejsce zamieszkania. SPP wszystko zaczyna od zera. Plany ma natomiast interesujące.

NIEDAWNO BARDZO KRYTYCZNIE WYPOWIADANO SIĘ O HANDLU W ŁODZI. Po tej krytyce nic się właściwie nie zmieniło. Sklepy w remoncie, półki puste, nie ma kto sprzedawać. Zaleźność płac ekspedientek od obrotu nie spełniła oczekiwań. Nadal nie ma chętnych do pracy w sklepach. A praca ciężka. Coraz więcej sklepów zamkniętych. A tu idzie lato, zaczną się urlopy. Z handlem będzie coraz trudniej. Ale w istocie to nie jest wcale handel — to handlowa biurokracja. Kiedy wreszcie w naszym handlu pojawią się kupcy zamiast handlowców?

MECZ POLSKI Z ANGLIĄ nazywano meczem ostatniej szansy. Polska przegrała zasłużenie trzema golami. Polacy nie zagrozili angielskiej bramce i nie strzelili ani jednego gola. Anglicy obnażyli wszystkie braki polskiego zespołu. Udowodnili — co można było zobaczyć na ekranie naszych telewizorów — że Wojciech Łazarek nie nauczył naszych piłkarzy niczego, bo nauczyć nie mógł. Braki wynieśli z niskiego poziomu szkolenia w klubach. Po meczu w Anglii nawet Dariusz Szpakowski przyznał, że teraz inaczej patrzy na mecz ze Szwecją. Czyż wtedy miał na oczach różowe okulary?

Mistrzostwa Europy odbyły się bez Polaków. Mistrzostwa świata w Italii odbędą się raczej też bez Polaków. A byliśmy trzecią drużyną świata PZPN musi wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy i powierzyć prowadzenie polskiej reprezentacji komuś innemu. Wszystko musimy zaczynać od nowa, ale już bez Wojciecha Łazarka. A może tak postawić na młodych?

ODBYŁ SIĘ XXXIII WYŚCIG im. płk. W. Skopenki, w którym startowały też radzieckie drużyny. Wyścig jak wyścig, były sukcesy i porażki. Wyścig ten odbywa się dla uczczenia pamięci płk W. Skopenki, który zakochał się w Sandomierzu i zapragnął być tam pochowany. Tak się stało. Wypadałoby więc dbać o dobrą organizację tego wyścigu. Tymczasem na siódmym etapie Busko Zdrój — Sandomierz zawodnicy nie mieli ciepłej wody, sanitariaty były wręcz w skandalicznym stanie, źle było wyżywienie zawodników. Wszystko to popsuło atmosferę tej pięknej imprezy sportowej.

LUDZIE BIEDZĄ SIĘ NAD TYM, aby wymyślać różne rzeczy, żeby nam się lepiej żyło. Jak tylko coś wymyślą, to zaraz Krasnoludki biorą to i psują. Wymyślili więc ludzie benzynę do samochodowych silników. Zbudowali stacje benzynowe, a Krasnoludki pochowały gdzieś benzynę i przed stacjami CPN stoją długie kolejki samochodów. Ludzie wymyślili gaz propan-butan i butle do tego gazu, a Krasnoludki gdzieś ten gaz pochowały i go nie ma. W 1988 roku w „Korgazie" w Łodzi czekało się na pełną butlę 3 tygodnie, teraz — 3 miesiące i dłużej. Nadchodzi lato, ludzie będą wyjeżdżali na wakacje, pod namiot, za granicę, popyt na gaz w butlach wzrośnie, a tu nie ma gazu. Czy rzeczywiście nie można jakoś pozbyć się Krasnoludków, aby wreszcie stale czegoś u nas nie brakowało?

JAK ZWYKLE LATEM w poszczególnych rejonach Łodzi brakuje ciepłej wody i nie może być inaczej, bo trzeba remontować sieć wodociągową i ciepłowniczą. W drugiej połowie czerwca, w lipcu i sierpniu, a często jeszcze i we wrześniu z kranu leje się tylko zimna woda. Tak bywa przez trzy tygodnie. W Warszawie też tak się dzieje, ale brakuje ciepłej wody tylko przez dwa tygodnie. Dlaczego w Warszawie może być krócej?

W LORDS KOŁO LONDYNU rozgrywano międzynarodowe zawody w krykieta, grę u nas zupełnie nie znaną. W trakcie zawodów na tereny krykietowe wbiegła 19-letnia Shella Nicholls... zupełnie naga, aby się gimnastykować. Musiała interweniować policja.

Zebrała: BOGDA MADEJ

W najbliższych numerach „Odgłosów"

— Pewien grafoman zwierza się w liście, że przyjemność mu sprawia obserwowanie własnej żony w objęciach innych mężczyzn. Kiedy przekonał się, że nie zaspokaja w pełni małżonki, zaproponował jej, żeby równocześnie kochała się z trzema jego kolegami. Początkowo żona była onieśmielona i zażenowana, lecz teraz sama daje hasło do rozpoczęcia gry. Inny zboczeniec namawia swą żonę do uprawiania miłości lesbijskiej. Opowiada, jakby to było, gdyby kochała się z inną kobietą. Najpierw budziło to w niej wstręt, a teraz opowieści męża podniecają ją — artykuł MIROSŁAWY SARBIŃSKIEJ.

— Na początku w celi śmierci znajdowało się 14 skazańców. Ci, co zostawali, liczyli ułaskawionych i rozstrzelanych. Groza. Najstraszniejsza z eliminacji. Bo oto zostaje już tylko pięciu. Rano trzech zostaje ułaskawionych. I w pustej celi śmierci siedzą na wprost siebie podporucznik Stanisław Wiącek i major Stanisław Dorosiewicz — kolejny odcinek ballady o „Jędrusiu" RYSZARDA BINKOWSKIEGO.

— Najcięższy czołg polski ważył 9,8 tony. Obsługiwało go dwóch żołnierzy. Jeden z nich obsługiwał działko 37 mm. Natomiast najcięższy czołg Wehrmachtu ważył 20 ton. Obsługiwało go pięciu pancerniaków. Dysponowali działem kalibru 75 mm — o polskiej broni pancernej pisze LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

— W bramie stał siwawy pan w portierskim mundurze z błyszczącymi guzami. Miał kult profesorów. Pisarz dopiero był ważny, jeśli łączył w swojej osobie te dwa powołania. Redaktorów miał też w poważaniu, ale jednak mniej niż profesorów — wspomnienia TADEUSZA CHRÓŚCIELEWSKIEGO.

— Wzrok chłopaka fascynował ją. Ani trochę nie był skrępowany otaczającym go bogactwem: kanapą i fotelami ze skóry, misterną stolarką gdańskiego kompletu w czarnym dębie, portierą, żyrandolem ze złoconego mosiądzu, pastelowymi tapetami, elektronicznym samografem i zdalnie sterowaną telewizją. Wzrok chłopaka zdawał się mówić: stać mnie na to samo albo i na więcej — fragment powieści ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO „Pięćdziesiąt melonów".

Zdali egzamin niedojrzałości

Stało się to 29 maja 1989 roku. Był poniedziałek, kampania wyborcza toczyła się w pełni. Ostro ścierały się różne racje polityczne i społeczne, niekiedy aż nazbyt ostro. Tego dnia w „Wiadomościach" Łódzkiego Ośrodka TVP najpierw podano informację o warzywach i owocach, następnie o ZOO. Dopiero w dalszej kolejności poinformowano o sesji Rady Narodowej Miasta Łodzi. Rutynowe nagranie rozmowy z radnym. Kilka nic nie znaczących uwag. Nic się tego dnia nie wydarzyło... A właśnie, że się wydarzyło. I to coś bardzo sensacyjnego!

Przywykliśmy już do tego, że sesje RNMŁ są nudnawe, że pisze się o nich i mówi z obowiązku, traktuje się niemal jak „odwalanie panszczyzny", że nic się tam nie dzieje, panuje gadulstwo i tak dalej. Nie przywiązuje się większej wagi do pracy samorządowej, no bo radni nie potrafią tego robić, bo występują takie czy inne ograniczenia, bo wszystko i tak decyduje się w Warszawie. Mam takie wrażenie, że już wkrótce przyjdzie nam pozbyć się tych opinii. Ale wróćmy do poniedziałkowej sesji RNMŁ z 29 maja 1989 roku.

Najpierw może kilka danych, które — akurat w tym komentarzu — mają duże znaczenie. Otóż RNMŁ liczy 200 radnych. Podział mandatów jest taki: 92 radnych należy do PZPR, 20 do ZSL, 18 do SD, a 70 jest bezpartyjnymi. W RNMŁ działają kluby partyjne: PZPR, ZSL i SD. A niedawno powstał klub radnych bezpartyjnych, który bardzo ładnie sobie poczyna i — jak się okazało w praktyce — był bardzo potrzebny.

29 maja 1989 roku na sesję RNMŁ przyszło 159 radnych. Jak z prostego rachunku wynika, nieobecnych było 41 radnych. Ale swą nieobecność usprawiedliwiło tylko 8 radnych. Do końca sesji RNMŁ nie wytrzymało dalszych 14 radnych. Tak więc w ostatnim głosowaniu udział wzięło 145 radnych. Niektórzy oddali swój głos i... wyszli. Wynik tego ważnego głosowania ich już nie interesował.

Porządek obrad nie był pociągający. 11 punktów i zapowiedź przyjęcia 9 uchwał mogły zniechęcić najwytrwalszego i nieprzychylnie nastawić do tak pomyślanego programu pracy. W sesji RNMŁ uczestniczyli też członkowie Rady Łódzkiej PRON. Zanosiło się więc na „nudną piłę". Mogło to długo potrwać.

Ale te pesymistyczne prognozy nie sprawdziły się. Komisja uchwał i wniosków tym razem pracowała niebywale sprawnie. Uchwały były dopracowane. Wszystko szło szybko. I mimo początkowych obaw sesja RNMŁ zakończyła się około godziny 16. Tylko że jej zakończenie zaskoczyło wielu.

Tym razem interpelacje miały nieco wyższy poziom. Na przykład jeden z radnych zaprosił kierownictwo Wydziału Komunikacji UMŁ na przejażdżkę w godzinach szczytu z Bałut do Śródmieścia. Ostatnie zmiany zasad ruchu w Śródmieściu tak skomplikowały jeżdżenie po nim, że — po pierwsze — nie chce się jeździć a — po drugie — marnuje się litry benzyny, której zresztą nie ma.

Radny z Olechowa wyraził swoje wątpliwości, czy tak potrzebna szkoła na Olechowie będzie gotowa 31 sierpnia 1989 roku. Jego zdaniem budowę ukończy się — optymistycznie patrząc — w listopadzie 1989 roku. To i tak dobrze, że nie wiosną lub latem 1990 roku.

Miłośniczka przyrody narzekała na zaniedbania wokół palmiarni. Ale i w samej palmiarni nie dzieje się najlepiej. Inny radny słusznie narzekał na stan muszli koncertowej w parku Poniatowskiego.

Sporo czasu zabrało radnym narzekanie — słuszne zresztą — na zaopatrzenie Łodzi w artykuły spożywcze, w tym głównie na zaopatrzenie w mięso i sery. Ktoś zwrócił uwagę, że w parku na Zdrowiu podczas Święta „Głosu Robotniczego" w kioskach pełno było różnych towarów, a już szczególnie wędlin. Ktoś dowcipnie zaproponował, aby „Głos Robotniczy" w ogóle zajął się zaopatrzeniem w wędliny, skoro robi to tak dobrze. Wtedy wstał dyrektor Wydziału Handlu i Usług UMŁ — Jerzy Myśliwy i wyjaśnił, że 70 procent wędlin poszło na Zdrowie z zaopatrzenia miasta. Trudno mieć jakąkolwiek pretensję do „Głosu Robotniczego", skoro u nas w ogóle panuje moda sprzedawania towarów na różnych festynach, jarmarkach, giełdach. W parku na Zdrowiu można było swego czasu kupić papier toaletowy i... opony. Smakosze wybierają się na Zdrowie po... piwo, którego normalnie, czyli bez kłopotów, w Łodzi kupić się nie da. W ogóle wiele rzeczy nie bywa, a na jarmarkach bywa. Marzy mi się już taka sytuacja, że normalnie można kupić w sklepie to, co nienormalnie na festynie czy jarmarku. Radnym też to się marzyło.

Ludwik Benoit narzekał na jakość pracy służb informacyjnych w łódzkiej telekomunikacji. Niczego nie można się tam dowiedzieć, na ogół nie można się dodzwonić. Książki telefonicznej nadal nie ma. A Łódź to przecież drugie miasto w Polsce i oto zbliżają się targi łódzkie.

Po interpelacjach był najważniejszy punkt w programie sesji RNMŁ — sprawozdanie prezydenta miasta Łodzi — Jarosława Pietrzyka. Było to sprawozdanie z realizacji planu i budżetu miasta i województwa za rok 1988. Budżet jest mały, na wszystko nie wystarcza, nie można na jego podstawie planować większych inwestycji, nie mówiąc już o niezbędnych remontach. Podobnie jest w miejskiej komunikacji. Mamy pod jej adresem słuszne pretensje, ale w 1988 roku trzeba było skasować 20 autobusów i 51 tramwajów. Zamówiono 85 autobusów i 40 tramwajów, a otrzymano 30 autobusów i 30 tramwajów. Nic więc nie wskazuje, aby komunikacja w mieście miała się poprawić.

Do sprawozdania prezydenta Jarosława Pietrzyka ustosunkowała się przewodnicząca Komisji Planu, Gospodarki i Finansów — Elżbieta Wójcikowska-Ociepa. Wykonanie planu oceniła dostatecznie, z wyjątkiem budownictwa mieszkaniowego, które oceniono negatywnie. Trudno tu jednak winić tylko UMŁ, gdyż w dalszym ciągu działają wadliwie skonstruowane przepisy i system podatkowy. Przewodniczący innych komisji RNMŁ oraz zespołów radnych, mimo takich czy innych zastrzeżeń i uwag, na ogół wykonanie planu i budżetu ocenili w miarę pozytywnie. Trzeba pamiętać, że obecna RNMŁ pracuje dopiero rok, w tym pół roku w 1988 roku, a więc po części oceniała również działania swej poprzedniczki, która plan ten ustalała.

Padł wniosek za przyjęciem sprawozdania o wykonaniu planu. Za przyjęciem głosowało 111 radnych, przeciw — 14. Nikt się nie wstrzymał. Padł wniosek o przyjęcie sprawozdania o realizacji budżetu. Za przyjęciem wypowiedziało się 112 radnych, przeciw 11. Nikt się nie wstrzymał. Po prostu kilku radnych nie wzięło udziału w głosowaniu. Było to głosowanie jawne.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że wielu ludzi — w tym i radni — są niezadowoleni z pracy UMŁ, że mają pretensje pod adresem kierownictwa UMŁ i urzędników. Miałam nadzieję, że podczas debaty nad planem i budżetem pretensje te zostaną jasno i precyzyjnie wyrażone, że krytyczne uwagi ujrzą światło dzienne na forum RNMŁ. Tak się nie stało. Natomiast w głosowaniu tajnym nad absolutorium dla prezydenta Jarosława Pietrzyka 30 radnych opowiedziało się za udzieleniem, 83 radnych — przeciw. Dwa głosy były nieważne (!) I to jest sensacyjne wydarzenie.

Jego sensacyjność zawiera się w tym, że jawnie absolutorium udzielono, wyrażono pozytywne opinie, tajnie — wycofano się z poprzednich decyzji. Fakt, który musi zmusić do zastanowienia. Dlaczego właśnie tak? Z braku odwagi? Z bezmyślności i obojętności? Z braku dyscypliny? Z nieumiejętności? Sensacyjność tego wydarzenia polega również i na tym, że poprzednio w zespołach i komisjach problem dyskutowano i ustalono taktykę, którą potem dokładnie zlekceważono. Kilka osób — w porywie emocji — powiedziało wiele przykrych, acz słusznych, słów pod adresem radnych. Ale nie odniosło to na słuchających większego wrażenia. W prywatnej rozmowie jeden z radnych powiedział, że wielu jego kolegom ta społeczna praca potrzebna była tylko do życiorysu. Obawiam się, że ma rację.

BOGDA MADEJ

Z tej ziemi

Wybraliśmy i co dalej?

1.

Jest niedziela, 04.06.1989 rok. Specjalnie podkreślam czas, w którym piszę. Dokonuje się bowiem akt wyborczy. Jego wyniki będziemy chyba już w pełni znali, gdy numer „Odgłosów" ukaże się w kioskach. Można się spodziewać, że odbędzie się też głosowanie w drugiej turze wyborów. Czy w Łodzi również? Zobaczymy.

Mimo że nie znamy jeszcze — w chwili gdy to piszę — wyniku głosowania w pierwszej turze wyborów, to przecież można już pokusić się o ocenę dotychczasowej kampanii wyborczej, o wskazanie, jakie popełniono błędy, czego nauczyliśmy się i jakie wynikają stąd wnioski?

2.

Jakże często używano pojęcia: *„koalicyjny"*. Na ogół w odróżnieniu od opozycji. Mamy więc *„stronę koalicyjno-rządową"* i *„stronę opozycyjno-solidarnościową"*. Obie te strony to pojęcia raczej umowne. Nie tworzą w żadnym wypadku monolitu. Przeciwnie — w toku wyborów wyraźnie się podzieliły. „Solidarność" poszła do wyborów samodzielnie, nie troszcząc się o resztę opozycji. Koalicja też się podzieliła. Każdy walczył o własną pozycję. Nie zaobserwowałem wspólnych poczynań. Były natomiast pretensje, że nie wszyscy partnerzy koalicji byli na równi traktowani. Czyli dalej po staremu.

Zmieniły się natomiast warunki działania i można się spodziewać, że ulegną dalszej zmianie. Wprawdzie nikt z nas nie potrafi sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał polski parlament po 18 czerwca 1989 roku, jaki powstanie rząd, jak ułożą się stosunki między *„stroną koalicyjno-rządową"* a *„stroną opozycyjno-solidarnościową"*, ale wiemy, że są nadzieje i są zagrożenia. Wiemy też, że *„strona koalicyjno-rządowa"* musi się wewnętrznie przeorganizować.

Przede wszystkim, jeśli koalicja chce rzeczywiście istnieć, rozwijać się i mieć trwałą pozycję w polskim społeczeństwie, to musi to być koalicja trzech partnerów. Mam tu na myśli PZPR, ZSL i SD. Ci trzej partnerzy muszą na równych prawach ułożyć stosunki między sobą, a następnie ze stronnictwami chrześcijańskimi. Co to znaczy?

Znaczy to, że nie może być rozgraniczeń obszarów działania, że decyzje odnoszące się do spraw polityki społecznej, wewnętrznej, gospodarczej nie mogą zapadać tylko w jednym centrum, że muszą być równorzędne, równoprawne i wynikające ze współpracy. Ot, choćby tak, jak dzieje się to w rolnictwie. Tego typu praktyka nie może jednak odbywać się jedynie na szczeblu centralnym, ale również w województwie, mieście i w gminie. Aktyw partyjny koalicji musi nauczyć się współdziałania i szacunku do propozycji i poczynań partnerów, to znaczy, że musi się wyzbyć dotychczasowych uprzedzeń i niechęci, dotychczasowej podejrzliwości. Bez tego koalicja będzie ładnym hasłem i niczym więcej.

Do budowania zrębów rzeczywistej koalicji powinni zabrać się zwolennicy reform i postępu we wszystkich trzech partiach. Muszą zabrać się za to bez oczekiwania na zachęty odgórne, bez instrukcji i nakazów, ze zrozumienia dobrze pojętego interesu własnej partii i sojuszników. Nie będzie to łatwe, bo nagromadziło się już sporo złych nawyków, ale jest to niezbędne.

3.

Często u nas używa się innego pojęcia: *„lewica"*. Często też pojęciu temu nadaje się bardzo różne znaczenie. *„Lewicą"* chce dziś być każdy. A co to właściwie znaczy lewica? Sądzę, że trzeba ją rozpatrywać w kontekście innych pojęć: *„konserwatyzm"* i *„postęp"*. Chociaż i *„konserwatyzm"* i *„postępowość"* niejedno mają imię. Często też intencje bierze się za rzeczywistość.

Posłużmy się może takim przykładem. Ktoś uważa, że po roku 1917 w Rosji, a po 1945 roku w Polsce i wielu innych krajach dokonał się postęp społeczny, powstał nowy ustrój. Historia na tym etapie rozwoju społecznego wypowiedziała swoje zdanie i nic się już zmienić nie da. Oczywiście zostały popełnione błędy, były wypaczenia, popełniono nawet zbrodnie, ale w sumie była to cena postępu. Trzeba tylko usunąć braki i niedociągnięcia, naprawić błędy i wszystko będzie dobrze. Wszelkie reformy są niepotrzebne, są bowiem niemożliwe, z góry skazane na niepowodzenie, a ich autorzy i głosiciele są... kontrrewolucjonistami i rewizjonistami. Ten ktoś, kto tak uważa, jest konserwatystą. Dla niego nie istnieją ani przeszłość, ani przyszłość. Istnieje tylko czas teraźniejszy, który jest najlepszym z czasów.

Inny ktoś też uważa, że jest źle, ale jego zdaniem socjalizm się nie udał, był pomyłką, epizodem w dziejach ludzkości. Jego zdaniem socjalizm jest niereformowalny, co by się nie robiło, jakich reform by się nie próbowało wcielać w życie, nic to nie zmieni. Trzeba powrócić do stanu sprzed 1917 roku w Rosji i sprzed 1945 roku w Polsce i innych krajach Europy Wschodniej. Dla niego przeszłość jest przyszłością. On nie jest w stanie pojąć, co już odkryli starożytni Grecy, że dwa razy nie da się wejść do tej samej rzeki, bo ona jest już inna, choć niby taka sama. To też jest konserwatysta, który swój konserwatyzm ubiera w niby-postępowy frazes, gdyż pozornie dąży do zmian, do tego, aby było lepiej.

Kto natomiast będzie zwolennikiem postępu? Będą nim ludzie — niezależnie od partyjnej przynależności i politycznych deklaracji — którzy rozumieją konieczność zmian zachodzących w życiu społecznym, dla których kapitalizm z 1989 roku nie jest kapitalizmem z 1945 roku, ani tym bardziej z początku XX wieku, dla których socjalizm lat osiemdziesiątych nie może być socjalizmem lat czterdziestych. Zwolennik postępu rozumie, że musi dokonać rewizji przeszłości, aby pojąć istotę klęsk poniesionych w tej przeszłości, jak też musi dokonać rewizji zamierzeń przyszłościowych, bo nie mogą one mechanicznie przylegać do ustaleń „teoretyków", ale powinny rodzić się ze zmieniającej się rzeczywistości, interesów i potrzeb ludzi pracy, społeczeństw i narodów. Zwolennik postępu musi mieć siłę i odwagę, aby odrzucić stereotypy wynikłe z ideologii nawet wówczas, gdyby je głęboko kochał, był do nich mocno przywiązany, ale zrozumiał ich całkowitą nieprzydatność w życiu społecznym i politycznym.

Jeśli więc miałbym się posługiwać starym i mało dziś przydatym pojęciem: *„lewica"*, to właśnie nadałbym mu treść związaną z postępowością. I myślę, że tak rozumianą lewicę znajdziemy w każdym ugrupowaniu politycznym, w PZPR również.

4.

Jakie wnioski z wyborczej kampanii powinna wyciągnąć PZPR? Przede wszystkim powinna pojąć, że już skończył się luksus monopolu na rację, słuszność, nieomylność i niepodważalność decyzji. Swego czasu modne było takie teatralne nieco porównanie: *pracujemy przy otwartej kurtynie*. Otóż dziś trzeba było dodać: *pracujemy przy otwartej kurtynie, a na sali loża pełna krytyków*. Pracować przy otwartej kurtynie — to znaczy pracować otwarcie, jawnie, nie mieć nic do ukrycia. Pracować przy otwartej kurtynie przy loży pełnej krytyków — to znaczy zdawać sobie sprawę z tego, że każdy gest będzie surowo oceniony, skrytykowany, a taka ocena upowszechniona. Do niedawna też krytykowano różne postanowienia instancji partyjnych czy rządu, ale w... kuluarach. Dziś pisze się o tym w opozycyjnej prasie. Wielu ludzi to oburza, do tego nie przywykli, nie mogą się z tym pogodzić. Gdyby jednak spojrzeli na to z innego punktu widzenia, gdyby zastanowili się, jakie to daje korzyści, to może i doszliby do wniosku, że to wcale nie jest takie złe. A nie jest złe dlatego, że może ustrzec przed błędnym posunięciem, przed którym nie mógł ustrzec serwilizm wielu partyjnych towarzyszy, którzy mieli odwagę krytykować jedynie w kuluarach.

Trzeba zatem wytężyć wyobraźnię i przed podjęciem decyzji solidnie ją przewartościować, aby nie spotkać się z uzasadnioną krytyką. Tu już nie chodzi o to, że krytyka jest bolesna i nieprzyjemna, ale o to, że słuszna, uzasadniona. Krytyka błędnych posunięć podrywa zaufanie do partii, a partia musi o to zaufanie walczyć, musi je odzyskać i nie może sobie pozwalać na błędy wynikające z luksusu nieliczenia się ze zdaniem innych. To już minęło i trzeba się uczyć działać przy otwartej kurtynie pod ogniem krytycznych uwag ludzi nie zawsze naszemu działaniu przychylnych.

5.

Mówi się u nas często: my nie mamy kultury politycznej. Jest to — w moim przekonaniu — pogląd błędny. Mamy kulturę polityczną, ale jej charakter i model jest prymitywny i nie odpowiada oczekiwaniom współczesnych Polaków. Jest to model kultury politycznej ukształtowany w przeszłości i polegający na uznawaniu tylko własnych racji. Powoli odchodzimy od tego modelu, próbujemy kształtować nowy, bardziej odpowiadający współczesnym czasom. Ten model zakłada, że rację mogą mieć obie strony. Potrzeba zatem szacunku dla tych racji, potrzeba warunków, aby te racje mogły być wyłożone, aby ludzie je poznali i dokonali samodzielnego wyboru, które racje uznają za swoje, którym udzielą poparcia. Nie ma już takich racji, które ktoś wymyślił w imieniu innych i dla nich, nie pytając zresztą ich o zdanie. To kształtowanie nowego modelu kultury politycznej jest żmudne, trudne, mozolne i długotrwałe.

W toku kampanii ze znaczną siłą ujawnił się przestarzały model kultury politycznej. Zrywano plakaty, ludziom na plakatach domalowywano wąsy, wydłubywano oczy, dopisywano różne brzydkie rzeczy. Sam widziałem takie plakaty porwane, podopisywane, plamione, bezczeszczone. To jest bardzo zły model kultury politycznej, bo jest to model barbarzyński, z poziomu praktyk czarodziejskich, kiedy figurkom przeciwnika wbija się szpile, aby dotknęła ich choroba i umarli. Taki model kultury politycznej jest już nie do przyjęcia. Polskę mamy jedną i choć różnimy się w poglądach co do jej teraźniejszości, w ocenie przeszłości i widzeniu przyszłości, to właśnie dla tej przyszłości musimy uczyć się współżyć ze sobą, współdziałać. To, co wydarzyło się na Placu Niebiańskiego Spokoju w Pekinie, pokazuje drogę, którą nam nigdy nie wolno pójść. Mam szczerą nadzieję, że na tę drogę nigdy nie wejdziemy, że potrafimy rozmawiać i wspólnie szukać wyjścia z najtrudniejszych sytuacji i w najtrudniejszych warunkach.

Złym przejawem złego modelu kultury politycznej jest sytuacja, kiedy przed kamerą telewizji staje szef wojewódzkiej organizacji partyjnej i nic nie mówi o odwołaniu prezydenta miasta Łodzi. Rada Narodowa jest suwerenna i z jej decyzjami należy się liczyć, ale prezydent miasta Łodzi jest członkiem władz partyjnych i wotum nieufności wobec niego jest również pewnego rodzaju wotum nieufności wobec kierunku polityki, jaki — jako członek władz partyjnych — był zobowiązany realizować. Kierownictwo łódzkiej organizacji partyjnej ma zatem obowiązek ustosunkowania się do tej decyzji, a jeśli uznaje jej słuszność, to powinno zobowiązać zespół partyjnych radnych do wystąpienia o odwołanie dyrektorów wydziałów UMŁ, którzy również nie spełnili swoich zadań tak, jak tego oczekiwała RNMŁ i mieszkańcy miasta. Tymczasem szef łódzkiej organizacji partyjnej fakt ten pomija całkowitym milczeniem, jakby go nie było albo jakby fakt ten nie miał żadnego znaczenia.

Jestem innego zdania. Uważam, że zajęcie stanowiska w tej sprawie podniosłoby autorytet wojewódzkiej organizacji partyjnej, poprawiłoby samopoczucie jej członków, skłaniałoby do szacunku wobec odwagi jej kierownictwa, wobec poczucia odpowiedzialności i szczerej chęci służenia miastu i jego mieszkańcom. Z możliwości takiej nie skorzystano. Uważam to za poważne niedopatrzenie.

6.

Mam nadzieję, że i „Solidarność" się czegoś nauczyła w tej kampanii. Komitety obywatelskie poprowadziły kampanię wyborczą z dużym rozmachem, agresywnie, nie zawsze celnie, a niekiedy wręcz z takim samym skutkiem, jak to inni robili przed wielu laty. Gdy czytam w „Gazecie Wyborczej" deklaracje różnych znanych ludzi, ich na kolanach pisane wyznania, to przypominają mi się teksty równie znanych ludzi z lat pięćdziesiątych. Przeczytałem na przykład zwierzenia Wojciecha Reszczyńskiego — byłego prezentera „Teleexpressu" — w których opowiada, jak to jego były radiowy szef, który „od lat już mieszka w RFN", wykreślił mu „zabór rosyjski" z felietonu. Po tych strasznych prześladowaniach Wojciech Reszczyński wybrał „Solidarność". Przypomniałem sobie wtedy młodzieńczy wiersz Wiktora Woroszylskiego napisany 31 grudnia 1949 roku „Czuwającym w noc noworoczną".

„(...) No, a czego
mam dziś życzyć
wam,
towarzysze ze Służby
Bezpieczeństwa?
(...)
Towarzysze moi,
silni i twardzi,
przyjaciele moi,
niezawodni i pewni —
wybrano was,
najlepszych z klasy i partii,
byście Rewolucji, jak córki,
strzegli".

Parę osób zwierzyło mi się, że propaganda „Solidarności" zamiast przyciągać, zraziła ich. Przychylam się do tych opinii. Dla mnie propaganda radiowo-telewizyjna „Solidarności" była miejscami nachalna, pełna samozadowolenia, nietolerancyjna, złośliwa, a niekiedy wręcz ziejąca nienawiścią. Jej autorzy i wykonawcy popełnili klasyczny błąd PZPR z minionych lat, gdyż starali się przekonywać nieprzejednanych i poprawiać samopoczucie przekonanych jednocześnie. A trzeba było adresować ją do nieprzekonanych dla ich pozyskania.

Błędy młodości — jak się okazuje — są zawsze takie same lub co najmniej podobne

7.

Na koniec kilka pytań, które wymagają osobnych rozważań.

1. Jak szybko PZPR zdoła zmienić swój sposób działania i przystosować go do nowych, pluralistycznych warunków?

2. Jak kształtować się będzie — szczególnie na niższych piętrach partyjnej hierarchii — nowy model koalicji partyjnej i jak PZPR zdoła się do tego przystosować?

3. Co trzeba zrobić, aby działające poza systemem prawnym PRL partie i ugrupowania polityczne miały możność prezentowania swoich programów i działania? Jakie nadać temu prawne ramy?

4. Jak usunąć bariery hamujące nasz rozwój gospodarczy? Na ile reformy polityczne przyczynią się do postępu reform gospodarczych?

Dalsze pytania mile widziane.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Czekanie jest sprzeczne z naturą wiecujących, więc szlak Marka przesuwa tłum jakieś 300 metrów dalej na skrzyżowanie ulic Zwierzynieckiego i Straszewskiego. Tu ponownie rozsiadają się na ulicy dezorganizując ruch samochodowy i tramwajowy. Gorączkowe narady trwają, ale przynajmniej znika poczucie bezczynności. Są widzowie, wobec których tuba może prowadzić akcję propagandową.

— *Prasa podała komunikat, że częściowo wojska radzieckie będą z Polski wycofywane. Wygląda to na pierwsze efekty naszych akcji.*

— „*Sowieci do domu! Sowieci do domu*" — skanduje młodzież.

— *Nie pozwolimy się bezkarnie bić. To, że wczoraj zostało pobitych kilku milicjantów, niech będzie przestrogą dla nich. Skończyły się czasy rozbijania demonstracji przez trzech milicjantów. To już więcej nie przejdzie.*

— *Bić się nie damy! Bić się nie damy!* — odpowiadają manifestanci.

Wreszcie zapada decyzja. Do ulicy Westerplatte można przecież dojść od strony Dworca Głównego. Jest tam zawsze sporo przechodniów, co utrudni działania milicji, a ponadto pobliskie Planty dają poczucie bezpieczeństwa. Droga to okrężna, bo przez Plac Dominikański, później Grodzką, Stary Rynek, Floriańską i Basztową, ale dająca jakieś szanse powodzenia. Pochód wypełnia uliczki Krakowa. Słychać pełen repertuar przewidzianych na dzisiaj okrzyków:

„*Sowieci do domu!*"

„*Precz z Gajewiczem!*" (I sekretarz KK PZPR w Krakowie).

Z przodu „zomowcy" mają kłębiący się tłum, za sobą absolutną pustkę Floriańskiej. Kilku nieszczęśników, których dosięgły pałki, pełza lub kuśtyka do bram kamieniczek. „Zomowcy" nie mają osłony. Nie ryzykują więc dalszego pościgu. Wracają. Dowodzący ugrupowaniem major nakazuje im rozebrać barykadę.

— *Tylko ostrożnie, nie poniszczcie ławek* — mówi z wyraźną troską w głosie i dodaje: — *My jesteśmy zawodowcami. Nie naszą sprawą jest rozstrzyganie, co należy przedsięwziąć przeciwko demonstrującym. My jesteśmy od tego, by skutecznie wykonać każde zadanie, jakie postawią przed nami nasi dysponenci. Mogę tylko jako fachowiec ocenić, że gdyby kazano nam dzisiaj siłą rozwiązać tę manifestację, zajęłoby to nam co najwyżej kwadrans.*

„Wipowcy" wracają przez Rynek na Plac Dominikański i kontynuują boje na wysokości ulicy Poselskiej. Ogromny szczur nie wytrzymuje nerwowo i wyskakuje z rynsztoku na przepełnioną ludźmi ulicę. Przedłużająca się w tym miejscu bitwa zaczyna irytować oczekujących na tramwaje pasażerów. Krytycznych uwag coraz więcej.

Pacyfiści często spotykają się z potępieniem przechodniów. Wyrazy poparcia są rzadkie. Dezaprobata ulicy stanowi dla bojowców WiP największy problem. Pół biedy jeśli pochodzi od mężczyzn. Jeśli facet nie da się przekonać argumentem: „*przecież walczę za pana z komuną*", rzuca mu się: „*ty ubeku!*" i sprawa załatwiona. Kobiety z wyładowanymi siatkami epitetem „*ubeka*" załatwić się nie da.

— *Jeśli już musisz szczeniaku manifestować, to czyń to po godzinach szczytu, a nie w porze największego ruchu* — krzyczy jedna z takich pań.

— *Nic mnie nie obchodzi twoja polityka, ja się chcę jak najszybciej dostać do domu, do dziecka, a wy wstrzymujecie tramwaje* — dodaje druga.

— *Gliny powinny was solidnie napałować, żeby was wreszcie nauczyć rozumu* — atakuje trzecia.

Manifestanci mają po 19—23 lata, a napastujące kobiety są w wieku ich matek. Kobiety przerzucają swoje sympatie w zależności od tego, co widzą. Jeśli są świadkami tamowania ruchu, rzucania kamieniami oraz spokojnej reakcji milicji, to wymyślają demonstrantom, ile wiezie. Serce im mięknie, gdy oglądają interwencję „zomowców", której same przed chwilą się domagały.

— *Jak można ich bić, przecież to jeszcze dzieci* — utyskują.

Młodzież na ulicy

MIROSŁAW KULIŚ

„*Młodzież z partią — się rozliczy*"
„*Gruba — precz*" (szef krakowskiej milicji)
„*Precz z komuną!*"
„*MO — gestapo*".

Ulica Basztowa. Pusto. Jedyny pojazd, to znajdujący się w odległości 150—200 metrów „Fiat" Telewizji Polskiej. Z tylnego siedzenia widać operatora filmującego zbliżający się tłum. W tym właśnie momencie dochodzi do pierwszego zaobserwowanego przeze mnie incydentu „zbrojnego". Czarnowłosy chłopak w białej koszulce z niebieskimi pasami wyskakuje nieoczekiwanie kilkanaście metrów do przodu i rzuca kamieniem. Dzieje się to tak szybko, że gwałtowny ruch kilkunastu innych najbliższych mu kolegów jest trudny do zrozumienia. Próbowali go powstrzymać czy sami również rzucali? Szyba rozpryskuje się, a samochód podrywa się do galopu skręcając na pobliskim skrzyżowaniu w prawo w głąb ulicy Westerplatte.

3.

Pacyfistom „Wolności i Pokoju" przybywa do ich uniformu następny, nieodłączny już do końca tego dnia element — kamienie w rękach. Za skrzyżowaniem pochód zatrzymuje się na widok kordonu zomowców. Małymi kroczkami młodzież zbliża się do mundurowej przeszkody. Kilka pojazdów hamuje z piskiem tuż za milicjantami. Dwie polewaczki i zradiofonizowana „Nysa".

— *Proszę rozejść się!* — nawołują umieszczone na dachu głośniki. Odstęp jest już bardzo niewielki, gdy w szeregu „zomowców" powstają dwie wyrwy, przez które wjeżdżają polewaczki ścigając „wipowców" strumieniami wody Jednocześnie tyralierą podążają za nimi uzbrojeni w pałki, kaski i tarcze piechurzy.

Nowy rodzaj szyku — rozproszenie — pacyfiści mają wyćwiczony najlepiej. 30—50-osobowe ich grupy kontratakują głównie w takich miejscach, gdzie „zomowcy", wysforowawszy się za bardzo do przodu, odsłaniają im swoje plecy. Terenem potyczek staje się najbardziej ruchliwy pas Plant łączący dworzec kolejowy ze Starym Miastem. Padają pierwsi ranni, najczęściej spośród przypadkowych przechodniów, którzy łamią się wpół pod strumieniem wody bądź też łapią się z bólu za głowę po ciosie lecącego kamienia.

Jedna z takich bitew toczy się na Plantach na wysokości Teatru im. J. Słowackiego, czyli na ulicy Szpitalnej. „Zomowcy" walą pieszo Plantami od strony dworca oraz placu św. Ducha przed teatrem. „Wipowcom" grozi oskrzydlenie z dwóch stron. Nadchodzą posiłki i z obrony przechodzą w pościg.

— *Ludzie, rozejdźcie się!* — krzyczą atakujący i nie czekając na reakcję przechodniów wypuszczają w powietrze grad kamieni. Siedzącemu na ławce starszemu panu przelatuje nad uchem kilka takich pocisków. Zrywa się i sapiąc z wysiłku przedziera się przez zieleń do ulicy.

Pacyfiści to dobrzy taktycy i gdyby tylko zechcieli pójść do wojska, pewnie szybko dochrapaliby się buław marszałkowskich. Kilku z nich zaczyna niezależnie od siebie wydawać pozostałym rozkazy i są one zadziwiająco podobne, a przede wszystkim jedynie słuszne w ich obecnej sytuacji Najgroźniejsza broń przeciwnika to polewaczki, więc zarówno od strony placu przed teatrem, jak i Plant budują z ławek barykady Jeden ze stosów zaczyna płonąć, co na chwilę zatrzymuje milicyjny pojazd. Doskonała to okazja, by Plantami przerzucić się w rejon Barbakanu i Bramy Floriańskiej. Nadciągają tu wiedzione cudownym instynktem pozostałe ugrupowania bojowe pacyfistów.

4.

Przed Bramą Floriańską wyrasta szybko następna barykada ławek i koszy. Czasu na solidniejszą budowlę nie ma, gdyż z prawej strony Barbakanu wyładowują się z samochodów „zomowcy". Sprawnie przegrupowują się. Atakują w takim temple, że młodych ludzi ogarnia panika i bez nawiązania walki uciekają w kierunku Rynku.

— *Jestem mediatorem* — przedstawia się i bunkier robi szczelinę. Dowodzący „zomowcami" major uśmiecha się sympatycznie:

— *Słucham pana...*

— *Ich propozycja jest taka* — mówi kandydat na senatora. — *Chcą iść pod Komitet, przez dziesięć minut wykrzyczeć, co mają i się rozejść...*

— *Nie jestem od takich decyzji, proszę poczekać, skontaktuję się z przełożonymi...*

— *Jadę do komendanta Gruby* — oświadcza krótko profesor po powrocie na barykadę.

— *W porządku, ale niech w tym czasie „zomowcy" wycofają się z zasięgu rażenia wobec Placu Dominikańskiego* — stawiają nowe żądania demonstranci.

— *Słuchajcie, tak nie można, gdyż oni to rozumieją jako zdobywanie terenu.*

— *To nie jest zdobywanie terenu, my im nie ufamy.*

— *Oni przecież was nie atakują, zostawcie ich chociaż na chwilę w spokoju.*

— *Niech się wycofają i zostawią plac nam.*

— *Dobrze, mogą się wycofać, ale wtedy wy się też rozejdźcie.*

— *Proszę nas poważnie traktować. Nie po to się tutaj zebraliśmy, żeby się teraz rozejść.*

— *Przekazać to mogę, ale nie widzę takiej możliwości, by druga strona to spełniła.*

Mediatorzy znikają. Zapada spokój na 40 minut. Tylko jednak naiwni oceniają, że mediacja zakończy się sukcesem. „Wipowcy" pracowicie wznoszą barykady, które raczej do pokojowego zakończenia demonstracji nie posłużą. Ta, od strony milicyjnego kordonu, imponuje — wysoka do pasa dorosłego człowieka, jej szkielet to olbrzymie betonowe kręgi. Podobne zapory wyrastają też na Grodzkiej, Dominikańskiej, od strony ulicy Zwierzynieckiej oraz Poselskiej.

Kiedy profesor Krzysztof Kozłowski zjawia się tu ponownie, demonstranci są już mocno okopani ze wszystkich stron placu. Rozpędzić ich teraz nie będzie łatwo.

— *Oto wynik naszych rozmów. Przedstawicie swoje żądania w Urzędzie Miasta, gdzie oczekuje na was wiceprezydent Krakowa — Nowak. Jeśli demonstracja tam się skieruje, milicja ustąpi w tym samym momencie.*

— *Brawo* — rozlega się kilka głosów.

— *Alternatywa jest taka* — kontynuuje mówca. — *Jeśli tego się nie zrobi, to milicja ma rozkaz powstrzymania demonstracji.*

Gwizdy i okrzyki są jednoznaczną odpowiedzią tłumu.

— *Słuchajcie, albo się bijecie, albo idziemy do Urzędu Miasta. Wybierajcie.*

— *Bijemy się!* — młodzież jest zdecydowana.

6.

Walki wybuchają natychmiast i to z większą niż poprzednio intensywnością. Zgromadzone podczas przerwy kamienie dają możliwość nieustannego ostrzeliwania „zomowców". Tamci nie próbują się nawet zbliżać. Odpowiadają petardami i gazami. Grupa „Solidarnościowców" z profesorem Krzysztofem Kozłowskim i Maciejem Szumowskim stoi z boku i zrezygnowana rozkłada ręce.

Pocisków jest coraz więcej. Huk detonacji milicyjnych nie ustaje. Nagle, jakieś dwadzieścia metrów za barykadą, rozlega się jęk rozpaczy. Jedna z dziewcząt pada na ziemię.

— *Petarda wybiła jej oko* — krzyczą najbliżej stojący.

— *Widzi pan* — napastują profesora Krzysztofa Kozłowskiego. — *Oni strzelają w kierunku ludzi, przecież mogliby kierować petardy wyżej.*

Profesor wzrusza ramionami, lecz po chwili znowu nawiązuje z „wipowcami" dialog.

— *To na was spadnie odpowiedzialność za tę dziewczynę i następne ofiary* — tłumaczy. Jakby na jego zamówienie podobne obrażenia odnosi kolejna osoba. Kiedy jednak przyjeżdża karetka pogotowia, rannych już nie ma, a demonstranci nie są nawet pewni, czy petardy rzeczywiście wybiły im oczy, czy doznali mniej tragicznych w skutkach obrażeń.

Ofiary nie idą na marne. Przywódcy zmiękli i z „Solidarnościowcami" szukają teraz sposobu rozwiązania demonstracji. Ponownie włącza się tuba.

— *Za pół godziny zapada zmierzch* — krzyczy Marek. — *Pójdziemy wtedy na Rynek, skąd ma być dzisiaj bezpośrednia transmisja telewizyjna na Europę Zachodnią. Wykorzystajmy to, by pokazać się światu.*

Wezwań Marka mało już kto słucha. Większość walczy. Przywódcy są bezradni. Stracili panowanie nad tłumem.

7.

Zwrot w rozwoju wydarzeń następuje w momencie pojawienia się Leszka Moczulskiego. Szef Konfederacji Polski Niepodległej w ładnie skrojonym, jasnym garniturze unosi ręce w pozdrawiającym geście i szybkim, zdecydowanym krokiem idzie środkiem placu do barykady.

— *Moczulski! Moczulski!* — nowe hasło rozgrzewa zebranych. Przemarsz ma coś z groteski, która wynika z przypadkowego zapewne skopiowania charakterystycznego ongiś dla Edwarda Gierka sposobu wchodzenia na sale zjazdów i partyjnych zgromadzeń.

— *Dokonaliście rzeczy wielkiej* — przemawia Leszek Moczulski. — *Plac Dominikański stał się wolnym skrawkiem Krakowa. Jesteśmy tu u siebie w wolnej i niepodległej Polsce.*

— *Weźcie mnie na ręce* — rzuca półgłosem do otoczenia. Usłużna młodzież unosi go na ramionach i ruszają w kierunku Rynku.

Leszek Moczulski proponuje marsz do Urzędu Miasta Krakowa.

— *Mieści się on na placu Wiosny Ludów* — mówi. — *To co się dzieje w Krakowie, to też wiosna. To nasza wiosna.*

Przywódcom „WiP" nie podoba się przejęcie kierownictwa manifestacji przez KPN. Poprzez swoją tubę oświadczają, że kończą swoją pracę. Oczywiście pójdą z Leszkiem Moczulskim pod Urząd Miasta, ale demonstrację, którą zwołali, uważają za zamkniętą.

Manifestacja przybiera bardziej zorganizowany i zdyscyplinowany charakter. Zasługa to porządkowych KPN. Są wyraźniej sprawniejsi od chaotycznych „wipowców".

Wśród wiecujących pojawia się przed gmachem swojego Urzędu wiceprezydent Nowak. Oświadcza, że według informacji, jakie ma od generała Jerzego Gruby, zatrzymanych przez milicję tego dnia w Krakowie nie ma. Leszek Moczulski też się chce dołączyć do gości generała Jerzego Gruby, więc prezydent idzie na górę do telefonu. W tym czasie milicja ponawia kanonadę. Tłum pod Urzędem Miasta ogarnia histeria, która udziela się stopniowo Leszkowi Moczulskiemu.

Gen. Jerzy Gruba zaprasza Leszka Moczulskiego do siebie na ulicę Mogielnicką. Szef KPN wraz z prezydentem i wiecującymi udaje się ponownie na barykadę. Obserwatorzy przecierają oczy ze zdumienia. Na czele procesji na Placu Dominikańskim kroczą zgodnie urzędnik państwowy i z państwem tym walczący Leszek Moczulski, który wyraźnie stara się pokazać w roli męża opatrznościowego Rozkazuje swej gwardii zaprowadzenie porządku, co wykonują szybko i sprawnie.

„Zomowcy" na widok wkraczającego w ich szeregi Leszka Moczulskiego tylko machają rękami Dla nich to cyrk. Nie mogą zrozumieć, dlaczego tamci po drugiej stronie ciągle dyktują im warunki. Po co wciąż tyle niepotrzebnego gadania i tych spacerów do niczego nie prowadzących. Wreszcie milicyjny „Polonez" odjeżdża z Leszkiem Moczulskim i jego świtą. Przy barykadzie zapada spokój.

Nie ma spokoju jednak w innych rejonach Starego Krakowa. Bojowcy nie mogąc walczyć w rejonie centralnej barykady tworzą kilkuosobowe bojówki, które obrzucają kamieniami kocz ujących na Plantach milicjantów. Jedną z barykad nawet podpalają, przyjeżdża straż.

— *Będziemy teraz prowadzić uliczne manewry* — oświadczą po powrocie Leszek Moczulski. — *My wycofamy się pięć metrów od barykady, po czym uczyni to samo milicja.*

Z olbrzymim trudem straże KPN przesuwają do tyłu tłum Leszek Moczulski znów u milicjantów. Czekając na ich ruch przepytuje „zomowców" o możliwościach polewaczki, którą ogląda z najwyższym zainteresowaniem. Robi sobie nawet pamiątkowe zdjęcie na jej tle. Towarzyszy mu jeden z chłopaków z barykady.

8.

Milicjanci cofają się.

— *No, to wreszcie wojnę nerwów ma pan za sobą* — rzucam do Leszka Moczulskiego. Ten odpręża się i za chwilę szepce do swojego zastępcy: „*Wojnę nerwów wygraliśmy*". Zastępca bierze tubę i oświadcza młodzieży:

— *Słuchajcie, wojnę nerwów wygraliśmy.*

Do całkowitego rozładowania sytuacji trzeba jeszcze blisko godziny. Dalsze manewry nie udają się z powodu niemożliwości wywiązania się Moczulskiego z obietnicy rozebrania barykady. Milicjanci są gotowi do dalszych kroków w tył, ale twardo żądają, by zgodnie z zapowiedzią szefa KPN demonstranci usunęli uliczną przeszkodę. Jest już późna pora W telewizji leci na żywo program z Rynku i Moczulskiemu spieszy się. Zabiera demonstrantów z sobą polecając oczyszczenie ulicy gwardzistom. Plac Dominikański wreszcie pustoszeje.

Przy barykadzie jest jeszcze ze trzydziestu ludzi, w większości podpitych i agresywnych. Dla nich nie istnieje autorytet Leszka Moczulskiego. Komunie trzeba dołożyć i barykada ma stać. Straże KPN zarzucają im prowokację. Omal nie dochodzi do bójki.

— *Ubecy zostają, my idziemy na Rynek* — stwierdzają KPN-owcy i odchodzą.

Po kilkunastu minutach zwija się także milicja. Szybko też kończy się ostatni tego wieczoru wiec Leszka Moczulskiego na Rynku, kilkadziesiąt metrów od zaimprowizowanego studia telewizyjnego w Sukiennicach. Skandowanie haseł, krótkie przemówienie i po wszystkim.

Jest po wpół do dwunastej. Ulice Krakowa pustoszeją. Bohaterzy wydarzeń odpoczywają.

■

podstawowe propozycje. Oczywiście, jeśli nie liczyć dalszych ograniczeń napływu do Niemiec cudzoziemców w ogóle, co jest sprawą zasadniczą.

Nasz stosunek do cudzoziemców wynika również z potrzeby poprawienia sytuacji na rynku pracy, która z roku na rok jest coraz gorsza — szczególnie tu, w Berlinie, gdzie mamy obecnie 100 tysięcy bezrobotnych, co stanowi 11 proc. zatrudnionych. Coraz bardziej odczuwamy też brak mieszkań, a przecież specyfika i ograniczony teren miasta sprawia, że nie możemy rozwijać budownictwa poza pewne, określone granice. Nie ma więc innego wyjścia, jak tylko ograniczyć popyt na pracę i mieszkania.

— A sprawa azylantów?

— W RFN każdego roku o azyl ubiega się około 100 tysięcy ludzi z całego świata. Nie mamy nic przeciwko temu. Mówimy: Niemcy nadal powinny być otwarte dla azylantów tak z państw bloku wschodniego, jak i innych krajów. Ale należy wreszcie udaremnić wszelkie praktyki nadużywania prawa do azylu, a przy tym — koniecznie doprowadzić do skrócenia procedury przyznawania azylu. Nie może być bowiem tak, że ktoś przyjedzie do nas z przyczyn czysto ekonomicznych, poprosi o azyl, otrzymuje go, a potem zajmuje się handlem narkotykami, jak czyni to wielu azylantów z Libanu, Ghany czy Nigerii. Albo — że po złożeniu wniosku o azyl jeszcze przez trzy czy pięć lat żyje na koszt niemieckich podatników, często pracując równocześnie „na czarno", czy w inny sposób łamiąc prawo. Uważamy, że czas już z tym skończyć!

Pragniemy, aby Niemcy były państwem naprawdę praworządnym i by każdy obywatel czuł się w nim bezpiecznie. A tak, niestety, nie jest. W Berlinie w ciągu ostatnich 20 lat poziom przestępczości wzrósł aż trzykrotnie. I niemały w tym udział właśnie cudzoziemców oraz narkomanów, którzy włamują się do mieszkań, do samochodów i kradną co się da, gdyż potrzebują pieniędzy na narkotyki. Dlatego uważamy, że handlarzy narkotyków powinno się karać ze szczególną surowością — do kary dożywocia włącznie.

Ale za wzrostem przestępczości kryje się także ogólny spadek świadomości prawnej w społeczeństwie. Tylko czy można się temu dziwić, jeśli oszust podatkowy przewodzi frakcji partyjnej w Bundestagu? Albo jeśli toleruje się i uważa za normalne, gdy demonstranci rzucają kamieniami, niszczą mienie, atakują policjantów? Wszystko to prowadzi do stanu, w którym ludzie wierzą, iż wszystko im wolno.

Wiąże się z tym także problem układów, w jakie wchodzi wielu polityków. Reprezentując swoją partię w różnych gremiach, bardziej patrzą na jej interes niż na dobro całego kraju. Wielu myśli też głównie o tym, jak by wzbogacić się dzięki zajmowanemu stanowisku. Niektórzy posłowie, ministrowie wchodzą w skład zarządów banków, spółek budowlanych, wielkich przedsiębiorstw, co przynosi im nie tylko duże dochody, ale też utrudnia im ich kontrolowanie.

Nasze zastrzeżenia budzi ponadto system finansowania przez państwo partii politycznych, które otrzymują dotacje na swą działalność — a także zwrot kosztów kampanii wyborczych do Bundestagu, landtagów czy Parlamentu Europejskiego. Są to sumy sięgające wieluset milionów marek, nie licząc poborów poszczególnych polityków, którzy również są bardzo dobrze opłacani.

Będziemy chcieli to wszystko zmienić!

— Odnieśliście niespodziewany sukces w niedawnych wyborach do Izby Deputowanych Berlina Zachodniego, uzyskując aż 7,5 proc. głosów, co dało wam 11 mandatów. Czym pan ten sukces tłumaczy?

W wyborach do Izby Deputowanych w Berlinie Zachodnim, które odbyły się 29 stycznia br., odnotowano następujące wyniki (w nawiasach — stan posiadania z 1985 r.):

CDU (chadecy) —	**37,8 proc. głosów (46,4) — 55 mandatów (69)**
SPD (socjaldemokraci) —	**37,3 proc. głosów (32,4) — 55 mandatów (48)**
AL (zieloni) —	**11,8 proc. głosów 10.6) — 17 mandatów (15)**
FDP (liberałowie) —	**3,9 proc. głosów (8,5) — 0 mandatów (12)**
Rep. (republikanie) —	**7,5 proc. głosów (—) — 11 mandatów (0)**

— Przede wszystkim tym, że w naszym programie wyborczym znalazły się te problemy, na które inne partie, w tym także CDU, nie zwróciły większej uwagi lub zupełnie pominęły milczeniem. Mam tu na myśli głównie problem przestępczości, bezrobocia, braku mieszkań, imigrantów oraz korupcji wśród polityków. Oczywiście łatwo sobie wytłumaczyć, dlaczego tak się stało. Po prostu są to sprawy trudne i kłopotliwe dla partii będących u władzy. One też, gdyśmy je podjęli, rozpętały w mass-mediach wielką kampanię oszczerczą przeciwko republikanom. Mówiono, że jesteśmy skrajnie prawicowi, że mamy rasistowskie poglądy, chcemy rozpętać III wojnę światową i temu podobne rzeczy. Ale kampania ta doprowadziła do całkiem nieoczekiwanego zjawiska, gdyż — wbrew intencjom jej inspiratorów — przyczyniła się tylko do wzrostu popularności republikanów. Okazało się, że społeczeństwo jest na tyle krytycznie nastawione do dużych partii politycznych i związanych z nimi mass-mediów, że od tego, co o nas mówiono i pisano, najpierw odjęło połowę, a potem uznało, że i tak mamy jednak sporo racji.

Głosowało na nas 90 tysięcy ludzi, co biorąc pod uwagę, że w Berlinie działamy dopiero od dwóch lat i nie stawaliśmy przedtem w szranki wyborcze, jest wielkim naszym sukcesem. Sukcesem bez precedensu w dziejach parlamentaryzmu.

Co jeszcze dziwniejsze, ani nasi kandydaci nie byli powszechnie znani, ani nie dysponowaliśmy zbyt dużymi pieniędzmi. Dla porównania może podam, że CDU wydała na swoją kampanię wyborczą 3 mln marek, a my — zaledwie 90 tysięcy.

— Kto głosował na republikanów?

— W pierwszym rzędzie byli to dawni wyborcy CDU (58 tys.) i SPD (11 tys.). Resztę stanowili zaś ci, którzy głosowali po raz pierwszy w życiu lub nie brali przedtem udziału w wyborach. Te ostatnie głosy cenimy sobie najbardziej i mamy nadzieję, że w przyszłości zyskamy jeszcze większe poparcie wśród tej właśnie grupy wyborców.

Jeśli natomiast chodzi o strukturę społeczną, to najwięcej było robotników wykwalifikowanych i pracowników służb państwowych: policji, komunikacji miejskiej, służb oczyszczania miasta.

— Stawiacie więc głównie na ludzi młodych?

— Tak.

— Ostatnie ankiety wskazywały jednak, że gdyby wybory odbywały się teraz, czyli w kwietniu, zdobylibyście nie więcej niż 5 proc. głosów.

— Przed samymi wyborami ankiety mówiły, że mamy szansę na około 3 proc., a zdobyliśmy 7,5, czyli ponad dwa razy więcej. Więc jeśli teraz przewiduje się 5 proc., to można sądzić, że naszych zwolenników jest dziś jeszcze więcej. Zresztą...

„Berliner Morgen Post", gazeta ściśle związana z CDU, powołując się właśnie na wyniki ankiet, odradzała głosowanie na republikanów, gdyż — jak twierdziła — w ogóle nie mamy szans wejść do Izby Deputowanych. Stało się inaczej. Nie należy więc tych wszystkich ankiet traktować zbyt poważnie.

— Jak zamierzacie działać na forum Izby, będąc tam w opozycji do rządzącej „czerwono-zielonej" koalicji SPD-AL?

— Koalicja ta ma niewielką, ale stabilną większość. Nie liczymy więc na większe sukcesy w Izbie Deputowanych, choć oczywiście

Czego chcą republikanie?

będziemy zgłaszać tam nasze propozycje i projekty ustaw. Będziemy natomiast nalegać, aby prawo pozostało prawem. To znaczy, aby wydalać z Berlina azylantów, którzy je łamią, aby opróżniać zajęte przez dzikich lokatorów mieszkania, aby surowo karać handlarzy narkotyków...

Niewątpliwie wniesiemy też projekt nowego systemu finansowania partii politycznych, gdyż uważamy, że powinny one utrzymywać się same — z pieniędzy swoich członków i sympatyków, nie zaś — kosztem państwa.

Z kolei gdy chodzi o kontakty z NRD, chcemy, aby większy nacisk został położony na rozmowy nie z oficjalnymi władzami, ale — z przedstawicielami i działaczami ugrupowań opozycyjnych, które istnieją tam tak samo, jak w innych krajach. Krytycznie patrzymy więc na nowego burmistrza, Waltera Mompera, który nie wahał się składać oficjalnych wizyt w NRD w czasie, gdy strzelano tam do ludzi próbujących przekroczyć mur.

— Dlaczego aż tak ostro i zdecydowanie występujecie przeciwko obcokrajowcom w Berlinie? I czy widziałby pan jakąś ich maksymalną liczbę, która byłaby dla was do przyjęcia?

— To będzie zależało od sytuacji. Najpierw jednak liczba cudzoziemców w Berlinie nie powinna już rosnąć, potem zaś — spaść do poziomu poniżej 10 proc.

W wielkich miastach cudzoziemcy będą zawsze. I to jest normalne. W Berlinie jednak sytuacja jest wyjątkowa, gdyż skupiają się oni w niektórych dzielnicach, takich jak: Tiergarten, Wedding, Kreuzberg, na północy Neukoelln i Schoeneberg, a są rejony, gdzie Turcy czy Jugosłowianie stanowią już 30 do 50 proc. ogółu mieszkańców. Przynoszą tam ze sobą swój język, swoją kulturę, zwyczaje, zakładają swoje banki, sklepy, restauracje... Mieszkający obok nich Niemcy czują się przez to nieswojo, są coraz bardziej wyobcowani, a to prowadzi do napięć społecznych — zwłaszcza że środowiska cudzoziemców są bardziej kryminogenne.

Także w szkołach obserwujemy niepokojące zjawisko. Na przykład w dzielnicy Kreuzberg do rzadkości należą dziś klasy, w których jest mniej niż połowa dzieci cudzoziemców. A ponieważ na ogół trudniej radzą sobie one z nauką, nauczyciele muszą dostosowywać swoje wymagania do ich poziomu. Oznacza to w efekcie mniejszą skuteczność nauczania i jest krzywdzące dla dzieci niemieckich.

Uważamy, że wszystko to niewiele ma wspólnego ze sprawiedliwością społeczną i jak najszybciej powinno ulec zmianie.

— A czy nie obawia się pan, że to, co proponujecie, może prowadzić do jeszcze większych napięć społecznych?

— Na razie jesteśmy jeszcze w opozycji, więc trudno powiedzieć, co uda się nam przeforsować, chociaż po następnych wyborach układ sił politycznych w Berlinie może ulec poważnym zmianom i wtedy...

Po drugie — to właśnie obecna polityka władz wobec cudzoziemców rodzi napięcia i jeśli przy naszej pomocy nie zostanie w porę skorygowana, może dojść do sytuacji, jaka panuje w wielu angielskich miastach przemysłowych czy w USA, gdzie takie mniejszości narodowe, jak Portorykańczycy czy Murzyni żyją w slumsach, biali zaś — w bogatych dzielnicach, w dużo lepszych warunkach. Nie chcielibyśmy tego u nas.

Poza tym środki, które proponujemy są w pełni praworządne. Przecież Turkowi, który mieszka w Berlinie, nie chcemy odbierać żadnego z przysługujących mu tu praw. Nie chcemy pozbawiać go legalnego mieszkania, legalnej pracy, ubezpieczenia, prawa do zasiłku dla bezrobotnych, jeśli wcześniej był zatrudniony i opłacał składki. Chcemy tylko, aby nie mógł sprowadzić swojej rodziny.

Naród niemiecki jest suwerenny i sam powinien decydować, jak ma to być uregulowane.

— Mówiąc o cudzoziemcach, nie sposób pominąć sprawy przesiedleńców, a więc ludzi, którzy ze względu na swe prawdziwe lub rzekome niemieckie pochodzenie przyjeżdżają do Berlina bądź RFN, aby osiedlić się na stałe. Otóż słyszałem, że więcej rodowitych Niemców opowiada się za ograniczeniem liczby przesiedleńców, niż — cudzoziemców.

— My oczywiście zawsze widzieliśmy różnicę między przesiedleńcami a robotnikami cudzoziemskimi. I zawsze mówiliśmy, że mamy moralny obowiązek przyjmować przesiedleńców, także z Polski, ale — pod pewnymi warunkami.

Po pierwsze — nie może dochodzić do nadużywania statusu przesiedleńca. To znaczy, nie może być tak, że ktoś w Hamburgu czy Berlinie za sowitą opłatą kupuje sobie od gangów fałszerzy niemieckie świadectwo urodzenia, przemyca je do Polski, a potem na jego podstawie stara się o przesiedlenie. A takie przypadki się zdarzały.

Po drugie — przesiedleńcy nie powinni być uprzywilejowani przy przydziale mieszkań komunalnych oraz emerytur. Jesteśmy przeciw traktowaniu ich lepiej, niż rodowitych berlińczyków, co, niestety, często się dzieje. Mówi się bowiem: przecież oni w ogóle nie mają tu dachu nad głową, więc najpierw ich trzeba usatysfakcjonować. Tymczasem wielu berlińczyków czeka na mieszkanie komunalne całymi latami.

Jeśli zaś chodzi o renty i emerytury, to na mocy układu zawartego z Polską każdy, kto udowodni, że płacił składki w Polsce, a przeniósł się do nas na stałe i przysługuje mu renta lub emerytura, otrzymuje ją w pełnej wysokości. Natomiast zdarza się, że jeśli Niemiec nie ma poświadczonych niektórych lat pracy, to dostaje świadczenia w mniejszej wysokości.

— Czy to prawo do renty bądź emerytury dotyczy w ogóle Polaków, czy też tylko tych, którzy mają status przesiedleńców?

— Nie, nie tylko przesiedleńców.

— A czy wie pan o tym, że bardzo wielu przesiedleńców z Polski wcale nie czuje się naprawdę Niemcami? Że to względy czysto ekonomiczne każą im nagle przypominać sobie, że na przykład ich babki były Niemkami?

— Tak. Są dziesiątki tysięcy przypadków, że ludzie osiedlają się w RFN z powodu wyższego standardu życia, a niemieckie pochodzenie jest jedynie pretekstem. I trudno się nawet temu dziwić. Z drugiej jednak strony...

Pojęcie niemieckiego pochodzenia jest w świetle naszego prawa ściśle określone. Warunkiem jest zachowanie niemieckiego języka, kultury, przy czym odnosi się to nie tylko do przesiedleńców z Polski, ale także z Rumunii, ZSRR czy innych krajów. Sama babka — Niemka z pewnością więc nie wystarczy.

Oczywiście w praktyce różnie z tym bywało. Popełniono wiele błędów, przyjmując ludzi, których pochodzenie było co najmniej wątpliwe. Bo przecież jeśli ktoś nie znał języka, był zintegrowany z polskim społeczeństwem i musiał zaczynać być tu Niemcem praktycznie od podstaw, to — naszym zdaniem — nie powinno się przyznawać mu statusu przesiedleńca.

— Powiedział pan, że opowiadacie się za zjednoczonymi Niemcami ze stolicą w Berlinie. W jaki sposób republikanie widzą możliwość realizacji tego hasła?

— Trudno na to pytanie jednoznacznie odpowiedzieć, ale wyobrażam sobie, iż dojdzie do takiej sytuacji w Europie, kiedy ZSRR, coraz bardziej zajęty swoimi wewnętrznymi problemami, zawrze z krajami Europy Środkowej jakiś nowy układ, w wyniku którego granica między supermocarstwami nie będzie już przebiegała przez Niemcy, a wtedy sprawa ich zjednoczenia będzie miała szansę być inaczej, niż dotychczas, traktowana.

Rzecz jasna, inicjatywa powinna wyjść z naszej strony, gdyż trudno spodziewać się, że USA, Wielka Brytania, Francja czy ZSRR bardziej mogą być zainteresowane jednością Niemiec, niż sami Niemcy. Dlatego też oczekujemy od naszych polityków, aby problem zjednoczenia traktowali jako najważniejszy nasz cel narodowy.

— A w jakich granicach widzielibyście przyszłe, zjednoczone Niemcy?

— Sądzę, że trzeba tu rozróżnić dwie sprawy. Uważamy bowiem, że Rzesza Niemiecka nadal istnieje w granicach z 1937 roku. I z tego nie zrezygnujemy. Jednocześnie nasuwa się jednak pytanie, czy powrót do tych granic w przyszłości będzie możliwy i uzasadniony? Otóż naszym zdaniem — nie.

To znaczy, w owym hipotetycznym układzie między krajami Europy Środkowej, jaki miałby zostać podpisany, powinien zawierać się jakiś kompromis odnośnie do przyszłych granic, a także — gwarancje prawne dla mniejszości narodowych, zamieszkujących poszczególne kraje.

Chyba dostatecznie dałem do zrozumienia, o co nam chodzi?

— Innymi słowy, problem granic nadal uważacie za otwarty?

— Tak. Z tym, że trudno oczywiście z góry przesądzać, jaki kształt miałby mieć ów kompromis graniczny. Zresztą — przyznam otwarcie — nie ma na razie wśród republikanów na ten temat jednomyślności. I uważano by nas za ślepych fanatyków, gdybyśmy podeszli dziś do mapy Europy i powiedzieli, że właśnie te ziemie będą w przyszłości nasze, a nie wasze. Nic nas dziś do takiego stawiania sprawy jeszcze nie upoważnia. Można tylko zakładać, że kiedyś to jednak nastąpi.

— Panuje opinia, że partia republikanów ma neofaszystowski charakter. Zwraca się przy tym uwagę, że wasz przywódca, Franz Schoenhuber otwarcie przyznaje się do tego, iż jako ochotnik wstąpił do Waffen-SS. Co pan na to?

— Sądzę, że jest to opinia ukuta przez naszych przeciwników z przyczyn czysto taktycznych. CDU pragnie w ten sposób zahamować odpływ do nas swoich wyborców, co jej się, nawiasem mówiąc, nie udaje; zaś partie lewicowe chcą nas po prostu skompromitować.

A że Franz Schoenhuber przyznał się, iż jako 17-latek wstąpił do Waffen-SS, to chyba dobrze. Tym właśnie różni się od innych polityków niemieckich, którzy nadal uparcie udają, że cierpią na zanik pamięci.

„Berlińskim wyborcom udało się 29 stycznia 1989 r. to, że w RFN znowu mówi się o Berlinie. Wybory do Izby Deputowanych przyniosły wprawdzie sporo godnych uwagi rezultatów — na przykład wyeliminowanie FDP — lecz najważniejsze jest pojawienie się republikanów w składzie Izby, których sukcesu nie przewidywały ani sondaże, ani dziennikarze, ani politycy. (...) To, że berlińczycy zaskoczyli opinię publiczną, może mieć dwojakie przyczyny. Mogło być tak, że berlińczycy kryli się dotychczas ze swymi poglądami. Możliwe jednak jest również, że profesjonalni obserwatorzy sceny politycznej niedobrze się wsłuchiwali i przyglądali temu, co się dzieje w Berlinie, że zapomniano o znanej regule: na nieznośny stan socjalny reaguje się kartką wyborczą. Dlatego byłoby fatalnie lekceważyć sukcesy republikanów jako pojedyncze wydarzenie na „wyspie" Berlin".

— „Die Zeit" z 8 lutego

Franz Schoenhuber nie był w SS nikim ważnym, nigdy nie wchodził w skład grup specjalnych, nie pełnił żadnych funkcji w obozach koncentracyjnych, walczył jako zwykły żołnierz. Kiedy, pracując jako dziennikarz, zbliżał się do sześćdziesiątki, poczuł wewnętrzną potrzebę publicznego ujawnienia swej przeszłości, gdyż chciał wreszcie żyć otwarcie. I wtedy napisał o tym, wyjaśniając co robił w czasie wojny i dlaczego. Zrobił to także po to, aby pokazać, iż sprawy faszystowskiej przeszłości wielu ludzi powinny przestać być tematem tabu.

Ja również uważam, że nie trzeba tego przemilczać. Trzeba mówić, jak było naprawdę. Nie przypuszczam też, aby przeszłość Franza Schoenhubera rzucała faszystowski cień na wszystkich republikanów.

— Proszę w takim razie określić wasz stosunek do hitleryzmu.

— No cóż... Nie mamy zamiaru zaprzeczać, że podczas II wojny światowej popełnione zostały wielkie zbrodnie, jak na przykład eksterminacja Żydów. Nie mamy zamiaru udawać, iż nie znamy historii i wcale nas ona nie interesuje. A jeśli tak, to należy również przypomnieć bombardowania niemieckich miast, przepędzenie niemieckiej ludności z naszych terenów wschodnich, co pociągnęło za sobą miliony śmiertelnych ofiar, czy też — współpracę Hitlera z ZSRR przy napaści na Polskę we wrześniu 1939 roku. Bo przecież to też są fakty historyczne — równie ważne, jak zbrodnie popełnione przez Niemców.

Musimy bronić się przed patrzeniem na historię Niemiec tylko przez pryzmat 12 lat panowania nazistów, gdyż okres ten był jedynie krótkim załamaniem w dziejach praworządnego narodu niemieckiego. Ciągłość tej tradycji została przerwana przez Hitlera, to prawda, ale przecież trudno mówić, że na przykład Prusy nie były państwem praworządnym i miały coś wspólnego z ludobójstwem.

I za taką właśnie interpretacją historii się opowiadamy.

— A czy mógłbym wiedzieć, który z wielkich polityków — dawnych lub współczesnych — wywarł na pana największy wpływ?

— Na mnie? Bismarck.

— No tak... Dziękuję za rozmowę...

Rozmawiał:
PAWEŁ TOMASZEWSKI

Wanna była pełna zmasakrowanych psów.

Urodziłaś dziecko szatana

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

1.

Stefan mieszkał kątem u kolegi, więc żeby nie komplikować spraw damsko męskich i o każdej porze dnia i nocy dbać o rozkwit miłości wprowadził się do kawalerki, którą Aldona wynajmowała na Retkini. Do kościoła nie chodził, bo mówił, że jego wiara i religijna edukacja skończyły się zaraz po dostaniu roweru na pierwszą komunię. Kiedy pytała skąd bierze pieniądze, odpowiadał całując ją w ucho, że diabeł mu pomaga, bo duszę dla niej sprzedał.

2.

W zadymionej kawiarni w „Centralu" facet o urodzie typu świński blondyn leniwie palił papierosa. Na przegubie lewej ręki tarcza zieleniła się japoński „Orient", na małym palcu sygnet. Przegub drugiej ręki oplatał srebrny łańcuch z „blachą". W przerwach między łykami wina papieros zwisał przyklejony do dolnej znacznie grubszej niż górna, wargi. Białe sztyblety, skóra na plecach i tyłku — pełny bajer i szpan.

W rogu między oknem i ścianą siedziała Aldona. Twarz pucołowata, lekki meszek na policzkach — nie można powiedzieć, że była piękna. Popijała herbatę z cytryną i myślała o tym, „o czym marzy dziewczyna, gdy się starzeć zaczyna". A ona według miary z małych miasteczek była już starą panną — dwadzieścia pięć lat.

Kelnerka postawiła przed nią kieliszek wina.

— *Ale ja nie zamawiałam...*

— *To od tamtego pana* — skinęła głową w kierunku blondasa. On lekko się skłonił artystycznie wypuszczając dym nosem. Ona w uśmiechu odsłoniła zęby i sama się zdziwiła, że zrobiła to bez szczególnej nieśmiałości.

— *Pozwoli pani, że się przysiądę. Stefan mam na imię. Może po jeszcze jednym?*

3.

— *To co, jutro o czwartej podjechać po panią, pani Aldono? Do kawiarni i do kina czy na odwrót?*

— *Najpierw na film* — błysnęła inteligencją pamiętając z liceum różnicę między kinem a filmem — *a później, to już niech pan wybierze kawiarnię.*

Kiedy samotnie wracała do domu, w głowie kłębiły się jej różne myśli. Może to jakiś oszust matrymonialny? Ale przecież nie jest taki przystojny, żeby od razu na niego lecieć.

Zamykając za sobą drzwi metalicznego audi widziała, jak koleżanki z pokoju nauczycielskiego zerkają zza firanek. Przed szkołą pozostał obłoczek spalin.

Dla samotnej nauczycielki fizyki nagle otworzył się raj. Kolacje w „Malinowej" spacery przy księżycu i długie nocne rozmowy o bycie na tym łez padole. W piątkowe popołudnia przejażdżki za miasto i, choć było mieszkanie, upojny, cichy jęk resorów podczas postojów przy drogach, gdzie diabeł mówi dobranoc. Kiedy przeciągi między blokami szarpały jej ubranie, czule otaczał ją ramieniem Kwiaty bez okazji, śniadania z szampanem w łóżku „Pewex" i „Moda Polska". Kiedy przypominała sobie jak ją przezywano w szkole — *Aldona z pękniętego kondona* — coś ją ściskało w gardle. Przytulała się wtedy do swojego szczęścia i ze szczęścia wilgotniały jej oczy.

4.

Po 120 dniach mieszkania pod jednym dachem comiesięczna przypadłość kobiet nie pojawiła się u Aldony. Kiedy Stefan o tym się dowiedział bez słowa wybiegł z mieszkania. Wrócił z bukietem róż. Pierwsza rozmowa o małżeństwie była niemal ostatnią. Wspólną decyzja było odłożenie ślubu do czasu szczęśliwego rozwiązania. Te wszystkie przygotowania do wesela mogłyby źle wpłynąć na przyszłą matkę i dziecko.

Aldona poszła do szpitala. Czuły narzeczony codziennie całował jej ręce. Aldona chciała, żeby to była córka, więc on mówił, że też chce, a na imię miała mieć Patrycja. I była taka jak wymarzona. W przeddzień wypisania ze szpitala, Stefan obiecał, że przyjdzie po swoje dziewczyny punktualnie w południe.

Zmartwiona i pełna obaw Aldona jechała taksówką do domu. Nie wiedziała, czemu Stefan nie przyszedł. Czy przypadkiem ciężko nie zachorował, no bo chyba o niej nie zapomniał? A może w domu czeka na nią niespodzianka?

Trzymając Patrycję na rękach łokciem nacisnęła dzwonek. Raz, drugi, trzeci. Ciszа! Spróbowała jeszcze raz. Co jest do diabła! Za sąsiednimi drzwiami ktoś się poruszył. Czuła, że jest obserwowana. Ze zdenerwowania cała się spociła.

— *Pan Stefan prosił, żeby pani oddać klucze. Powiedział, że musiał wyjechać* — przywitała ją sąsiadka na progu swojego domu. Później zaczęła zachwycać się maleństwem, w końcu wciągnęła Aldonę do siebie i poczęstowała mleczną kawą. Pogadały trochę o szpitalach i lekarzach. Sąsiadka, choć nieproszona, delikatnie udzieliła młodej matce kilka rad, a wiedziała o dzieciach sporo, bo urodziła i wychowała ich czwórkę.

5.

Kiedy Aldona otworzyła drzwi do swojego mieszkania, kobiecą intuicją wyczuła, że coś jest nie w porządku. Najpierw zajrzała do kuchni — wszystko posprzątane, pochowane. Nawet się zdziwiła, że mężczyzna mógł utrzymać taki porządek. Nacisnęła klamkę drzwi do pokoju i zamarła z przerażenia, zaraz później zemdlała.

Tylnymi łapami przywiązany był do żyrandola pies z rozprutym brzuchem. W niedawno zakrzepłej krwi leżały jego wnętrzności. Kryształowa patera do owoców do połowy była wypełniona genitaliami psów, które zmasakrowane leżały w wannie.

W pożegnalnym liście było kilka zdań:

„Jak mnie będziesz szukała, to spotka cię to samo co psy. Urodziłaś diabła, dbaj o moje dziecko i módl się do Szatana, żeby nic złego mu się nie stało".

Zamiast podpisu rysunek kozła i odwróconego krzyża, takiego samego, jaki krwią namalowany był na ścianie.

Collage: Grzegorz Gałasiński

Dalszy ciąg sprawy wymuszania korepetycji w XXIX LO w Łodzi.

Dlaczego dyrektor zrezygnował?

ZOFIA KĘDZIORA

Do powrotu do tematu skłoniły mnie częste pytania Czytelników — jaki jest finał sprawy, o której pisałaś?

Matka Agnieszki, uczennicy XXIX LO, złożyła do Kuratorium Oświaty i Wychowania skargę o wymuszanie korepetycji. O takich uczennicach jak Agnieszka mówi się „średnia", nie była ona bowiem ani specjalnie dobra, ani zła. Panowało o niej przekonanie, że rodzice muszą mieć sporo pieniędzy, skoro ojciec jest właścicielem prywatnego zakładu. Rozumowanie było więc proste — mają pieniądze, więc stać ich na płacenie za korepetycje nawet przez cały rok.

W klasie maturalnej korepetycji przez jakiś czas udzielał jej dyrektor szkoły, ale to nie wystarczyło.

Matka w swojej skardze do Kuratorium napisała, iż otrzymała propozycje, aby Agnieszka w 1988 roku złożyła oświadczenie, iż rezygnuje ze zdawania matury, za co nauczyciele przez cały następny rok zobowiązują się udzielać jej korepetycji, tak że w roku następnym z maturą nie będzie już problemów.

W zastraszający sposób słabł wzrok Agnieszki i lekarze nie dawali gwarancji, że w przyszłości choroba jeszcze nie pogłębi się. Dziewczyna zagrożona więc utratą wzroku nie mogła pozwolić sobie na utratę roku. Dlatego dała z siebie wszystko, aby jak najlepiej przygotować się do matury. Niestety, wysiłek nie przydał się na wiele. Często skarżyła się, że im więcej pracuje i umie, tym jest surowiej oceniana.

Matury nie zdała. Trudno ocenić poziom jej przygotowania, ale warto wspomnieć, że nauczyciel historii, jeden z członków komisji egzaminacyjnej, odmówił podpisania oceny niedostatecznej pod jej pracą maturalną z historii. Napisał nawet oświadczenie, w którym wnioskował wystawienie oceny dostatecznej. Oświadczenie to nie zostało przyjęte przez komisję egzaminacyjną.

Gdy pisałam o sprawie Agnieszki, chodziło mi o przedstawienie metody. Nie było moją intencją ujawnienie, gdzie to wszystko rozegrało się. Zainteresowani ujawnili nazwę szkoły.

Skarga matki Agnieszki wpłynęła do Kuratorium w maju 1988 roku, ale dopiero w styczniu roku 1989 zebrała się Komisja Dyscyplinarna dla Nauczycieli przy prezydencie miasta Łodzi. Dyrektor XXIX LO Krzysztof Jakubiec został uznany winnym tego, iż w roku szkolnym 1987/88 udzielał płatnych korepetycji uczennicy klasy IVc oraz tego, że mało skutecznie sprawował nadzór pedagogiczny w wyniku czego nie ujawnił uchybień w pracy pedagogicznej nauczycielki tej szkoły Elżbiety Frydrych. Krzysztof Jakubiec ukarany został naganą.

Dyrektor nie uważa się jednak za winnego.

Owszem, przyznaje się, korepetycji udzielił, ale tylko sześć razy i to za pół darmo. A właściwie, gdzie jest napisane, że nie można udzielać korepetycji? Niby nie jest, ale nie jest też zgodne z etyką nauczyciela udzielanie korepetycji uczniowi tej samej szkoły, w której się uczy. No, bo jak, nie nauczyć ucznia na lekcji, żeby potem móc go uczyć po południu, ale już za pieniądze.

Dyrektor XXIX LO — Krzysztof Jakubiec w lutym 1989 roku złożył w Odwoławczej Komisji Dyscyplinarnej dla Nauczycieli przy ministrze edukacji narodowej działającej w Warszawie odwołanie od orzeczenia łódzkiej Komisji Dyscyplinarnej. Sformułował zarzuty w stosunku do komisji powołanej przez inspektora oświaty i wychowania, która miała prowadzić postępowanie wyjaśniające (zanim sprawa była rozpatrywana przez Komisję Dyscyplinarną). Oto najpoważniejsze z nich: informacje składane przed komisją były przeinaczane i przedstawiane w innym brzmieniu następnym przesłuchiwanym, komisja dawała do zrozumienia, że interesują ją tylko wypowiedzi negatywne, a co gorsza, nakłaniano do składania zeznań przeciwko nauczycielce oraz komisji maturalnej działającej pod przewodnictwem dyrektora. Dyrektor nie wyjaśnia jednak przyczyn tak gwałtownej niechęci komisji w stosunku do jego osoby.

Odwoławcza Komisja Dyscyplinarna uznała, że ze względów formalnych sprawa jest przedawniona. Zastosowano art. 81 Karty Nauczyciela, który mówi:

„Postępowanie dyscyplinarne nie może być wszczęte po upływie trzech miesięcy od dnia uzyskania przez właściwy organ administracji państwowej wiadomości o popełnieniu czynu, uzasadniającego nałożenie kary".

Za datę powiadomienia uznano dzień, w którym do Kuratorium wpłynęła skarga matki Agnieszki (19 maja 1988 roku) a nie 25 października, kiedy to kurator oświaty i wychowania powiadomiony został o wynikach pracy komisji badającej zarzuty. Wprawdzie od daty, kiedy wpłynęła skarga matki, upłynęło siedem miesięcy, ale od daty październikowej, do chwili gdy zebrała się Komisja Dyscyplinarna 23 stycznia 1989 r., trzy miesiące jeszcze nie upłynęły.

Mimo że w opublikowanych „Zasadach Działania Komisji Dyscyplinarnej dla Nauczycieli oraz Trybie Postępowania Dyscyplinarnego" przeczytać można, iż nie należy utożsamiać daty dowiedzenia się o popełnieniu czynu z datą zrodzenia się podejrzenia o jego popełnienie.

Podano przykład — data wpływu skargi do Kuratorium nie jest datą dowiedzenia się o popełnieniu wykroczenia, będzie nią natomiast data złożenia w Kuratorium sprawozdania z jej zbadania, w którym potwierdzone zostały zarzuty sformułowane w skardze, jednak warszawska Komisja Odwoławcza uznała, że nastąpiło przedawnienie ścigania czynu.

Komisja nie zwolniła jednak dyrektora XXIX LO od stawianych przed nim zarzutów.

W kwietniu 1989 roku inspektor oświaty i wychowania Łódź-Śródmieście otrzymał pismo, w którym Krzysztof Jakubiec napisał:

„Niniejszym składam rezygnację z zajmowanego dotychczas stanowiska dyrektora XXIX LO z dniem 31 sierpnia 1989 roku i jednocześnie oświadczam, że korzystając z zapisu art. 18.1 Karty Nauczyciela pragnę pozostać nadal wśród moich uczniów jako nauczyciel PNOS i geografii, wychowawca i instruktor harcerski".

W uzasadnieniu decyzji można przeczytać:

„1. Funkcję dyrektora XXIX LO w Łodzi objąłem trzy lata temu na usilną prośbę Wydziału Oświaty. Namawiając mnie do objęcia tej funkcji władze oświatowe obiecywały najdalej idącą pomoc i wsparcie. Niczego takiego nie doświadczyłem, za to przeciwnie, kontrole, lustracje, wizytacje, połajanki, niedostrzeganie osiągnięć.

2. Brak jakiejkolwiek reakcji władz administracyjnych dzielnicy i miasta Łodzi na przekazywane przeze mnie uwagi, spotrzeżenia i skargi dotyczące postępowania przedstawicieli władz oświatowych pozwala domniemywać (domniemania to też metoda pracy administracji oświatowej), że władze traktują sygnalizowane przeze mnie sytuacje jako coś normalnego i prawidłowego.

3. Nie mam ochoty dłużej walić dyrektorską głową w mur biurokracji, ignorancji, opieszałości, bezduszności, sobiepaństwa, odpowiadać za to, o czym nie mogę decydować, gdy odpowiedzialność jest większa niż kompetencje.

4. Mam świadomość, że moje jasno i ostro sformułowane poglądy nie są w smak Wydziałowi Oświaty i Kuratorium. Nie potrafię szczerze współpracować z osobami, które mnie nienawidzą i dają mi to odczuć na każdym kroku".

W rezygnacji nie wspomina dyrektor ani słowa o swoim potknięciu, nie wydaje się, aby w jakikolwiek sposób chciał wyrazić żal czy ubolewanie nad zaistniałą sytuacją.

Rezygnacja została przyjęta i inspektor oświaty i wychowania dzielnicy Łódź-Śródmieście odwołał Krzysztofa Jakubca z zajmowanej funkcji dyrektora XXIX Liceum Ogólnokształcącego w Łodzi z dniem 31 sierpnia 1989 roku.

A co w szkole?

Uniwersytet Łódzki chce na zasadzie eksperymentu wziąć pod swoją opiekę młodzież jednego z łódzkich liceów. Początkowo myślano o podjęciu współpracy z XXIX Liceum Ogólnokształcącym, usytuowanym bardzo blisko Uniwersytetu. Toczyły się już rozmowy między ministrem edukacji narodowej, Uniwersytetem Łódzkim i Kuratorium Oświaty i Wychowania. Dotyczyły bardziej ustalenia programu i zasad tej współpracy niż które liceum zostanie do niej wytypowane.

W kwietniu 1989 roku prezydent miasta Łodzi otrzymał od Rady Pedagogicznej XXIX LO pismo, w którym wyraziła *„głębokie oburzenie faktami podejmowania jakichkolwiek rozmów mających wpływ na decyzję o reorganizacji i zmianie statusu XXIX LO bez udziału Rady Pedagogicznej. (...) Takie postępowanie kuratora oświaty i wychowania jest sprzeczne z zasadami demokracji i kultury* — pisze dalej Rada Pedagogiczna — *jest przykładem sobiepaństwa, lekceważenia Rady Pedagogicznej, podważania jej autorytetu i braku szacunku dla społecznej służby nauczycieli".*

Czy rzeczywiście wszystko odbywało się „za plecami" władz szkoły? Otóż okazuje się, że nie. Dyrektor szkoły doskonale znał projekty utworzenia eksperymentalnego liceum. Kilka razy rozmawiał o tym z pełnomocnikiem rektora UŁ do spraw tworzenia LO przy UŁ i podczas tych rozmów projekt popierał.

Pełnomocnik rektora UŁ tak ocenił zaistniałą sytuację:

— *Dyrektor XXIX LO postąpił wobec mnie nieuczciwie, gdyż wiedząc o naszych zamierzeniach sprowokował Radę Pedagogiczną do napisania protestu.*

Uniwersytet wycofał się z projektu współpracy z XXIX LO. Skorzysta z tego XII LO, bo tam najprawdopodobniej powstanie klasa eksperymentalna. Dla XXIX LO (z którego tylko około 50 proc. absolwentów dostaje się na studia) współpraca z Uniwersytetem była bez wątpienia szansą na podniesienie poziomu. Ale szansa, jaka przed nim stanęła, nie została wykorzystana.

ZOFIA KĘDZIORA

MAREK KOPROWSKI [-----] [Ustawa z dn. 31.VII.1981, O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt. 3 (Dz. U. nr 20, poz. 99, zm.: z 1984, nr 5, p. 24, z 1987, nr 37, p. 209)].

ze str. 1

na forum ogólnopolskim aż do 1986 roku. Pierwsze ostrzeżenie przyszło bodajże w 1985 r., kiedy to żona Ryszarda Kostrzewy, przebywając za granicą, wypowiedziała się publicznie, iż RKW nie ma z nami nic wspólnego. Długo usiłowałem wyjaśnić, czy jest to oficjalne stanowisko RKW — okazało się, niestety, że tak. Usłyszeliśmy to wreszcie od Marka Edelmana, który stwierdził, że dalsza nasza działalność w RKW jest niemożliwa ze względów... bezpieczeństwa. To prawda, że mieliśmy stałą obstawę SB, ale z tego właśnie powodu zajmowaliśmy się wyłącznie jawną stroną działalności Komisji. Utrzymywaliśmy jednak stałe kontakty: Kropiwnicki z Edelmanem, Grzegorz Palka z Kostrzewą, ja z Jerzym Dłużniewskim. Nagle okazało się, że odmawiają oni dalszej współpracy. W tej sytuacji od 1986 roku zaczęliśmy tworzyć własną strukturę, na bazie dawnego Prezydium Zarządu Regionu (proponując kolegom z RKW miejsca w tym Prezydium) i komisji zakładowych, najpierw kilku, potem kilkuunastu. Rozpoczęliśmy też działalność na forum ogólnopolskim, w ramach Grupy Roboczej, powstałej wręcz z inspiracji Lecha Wałęsy, który następnie zmienił do niej stosunek na negatywny.

— Wynika z tego, że bezpośrednim impulsem do próby odtworzenia Zarządu Regionu było niedopuszczenie „trójki" do dalszej działalności w RKW?

— Można powiedzieć, że przyspieszyło to jedynie tę próbę, bo idea odtwarzania „przedwojennych" statutowych władz związku przyświecała nam od początku. Przypomnę raz jeszcze, że RKW było dla nas organem tymczasowym; na jej bazie miał być reaktywowany zarząd, w możliwie pełnym składzie.

— W dalszym ciągu nie jest dla mnie jasne, czemu właściwie doszło do rozłamu. Czyżby różnica w koncepcji odtwarzania związku mogła aż tak zaważyć? Jaka była — pańskim zdaniem — istota tego konfliktu?

— Istotę konfliktu sprowadzić można do braku zgody co do miejsca i roli związku w przyszłości. Uważamy, że „Solidarność" powinna być związkiem zawodowym, natomiast z tamtej strony, bez wypowiadania tego głośno, czyniono starania w celu przekształcenia „Solidarności" w coś na kształt partii politycznej czy też ruchu społecznego. Interesują nas sprawy polityki, zwłaszcza tej wielkiej. Ale sądzimy, że im bardziej „Solidarność" będzie się upolitycznić, tym odleglejsze będą dla niej sprawy pracowników, aż w końcu grozi jej zagubienie tego, co najważniejsze w związku: nachylenia się nad losem ciężko pracującego człowieka, dania mu nadziei i wiary, że może żyć lepiej i godnie.

— W dokumencie przygotowanym przez działaczy z Łodzi na gdyńskie spotkanie w grudniu 1988 r czytamy m.in.: „Wzywamy do (...) rekonstrukcji programu związku przy położeniu większego nacisku na obrone praw pracowniczych w kontekście szeroko rozumianych praw człowieka i obywatela oraz przy bardziej zdecydowanym i konsekwentnym nawiązywaniu do katolickiej nauki społecznej jako podstawy programowej".

— Dokument ten, autorstwa Jerzego Kropiwnickiego, Grzegorza Palki i Andrzeja Słowika przyjęty został w styczniu 1989 r. za oficjalną wykładnię poglądów Grupy Roboczej. W przytoczonym fragmencie mówimy o kwestiach, na które patrzymy inaczej niż większość osób z otoczenia Lecha Wałęsy. Niektóre ich wypowiedzi bardzo mnie niepokoją. Na przykład wypowiedź Jacka Kuronia, opublikowana w tygodniku „Mazowsze". Mówi on, cytuję:

„Siła „Solidarności" płynęła z faktu, że był to ruch antykomunistyczny. Armia Krajowa, historia i patriotyzm — to wszystko pracowało na „Solidarność". Ale skoro już przeszliśmy przez Urząd Rady Ministrów, to se ne vrati".

Nie ma w tej wypowiedzi ani słowa o tym, że siła związku płynęła również z wiary, z łączności z Kościołem, z religii. W kraju, który ma 90 procent obywateli przyznających się do więzi z Kościołem, jest wysoce nienormalne, aby taka organizacja jak „Solidarność" pomijała wartości duchowe, płynące z religii. Nie wolno nam też podchodzić obojętnie do katolickiej nauki społecznej, szczególnie gdy odnosi się ona do takich wartości, jak praca i godność człowieka. Są to wartości uniwersalne, do przyjęcia dla wszystkich. Również dla niewierzących.

— Poproszę o komentarz do innego fragmentu stanowiska Grupy Roboczej. Cytuję: „W wyniku warunków, w jakich od 7 lat działa NSZZ „Solidarność" (...) zablokowane zostały właściwe mu procedury demokratyczne. Doprowadziło to do (...) prób wprowadzenia komunistycznej zasady centralizmu demokratycznego i rozgrywania sporów politycznych wewnątrz związku metodami tłumienia informacji, zniesławiania i czystek personalnych (...); prób zaszczepienia obcej mu, właściwej komunistom tzw. etyki rewolucyjnej, której przejawami są lekceważenie własnego statutu i uchwał, lekceważenie wyników jedynych demokratycznych wyborów w historii PRL"

— Zacznę od ważnego zastrzeżenia, od którego powinienem był zacząć naszą rozmowę. Otóż jesteśmy — i my i oni — w tym samym związku. Nie ma dwóch „Solidarności". Są natomiast różnice programowe, które powinny być uważane za coś normalnego w każdej żywej, rozwijającej się organizacji społecznej. Niestety, te różnice nie są przez naszych adwersarzy tolerowane. Dlatego m.in. lekceważą oni wyniki związkowych wyborów, są na to dowody. Jak inaczej wytłumaczyć, że mandat Lecha Wałęsy zachował ważność, a mandat Andrzeja Słowika ją utracił? Na jakiej stało się to zasadzie? Co do metody czystek personalnych, to Lech Wałęsa na spotkaniu w hali ŁKS powiedział wprost: „ja tnę z lewa i tnę z prawa". W „Solidarności" tej zasady w 1981 roku nie było. Decyzje podejmowano większością głosów, poprzez głosowanie. Ten, kto został przegłosowany, nie był „cięty", pozostawał nadal w związku. Dzisiaj Lech Wałęsa przyznaje się, że jest uzurpatorem. Pozostawiam to bez komentarzy.

— Powiedział pan o tym, że jesteście wszyscy w jednym związku, ale stan faktyczny jest taki, iż funkcjonują — przynajmniej w Łodzi — dwa solidarnościowe związki zawodowe. Jak zatem doprowadzić do jedności? Jak pan sobie tę jedność wyobraża?

— Jedność nie może oznaczać identyczności poglądów. Różnorodność w jedności — oto, co nam odpowiada. Sądzimy, że jedyną drogą do przywrócenia demokracji wewnątrzzwiązkowej, do wewnętrznego pluralizmu, będą wybory, wspólne wybory zwaśnionych stron. Warianty mogą być różne, na przykład oddzielne wybory delegatów w każdym ugrupowaniu, a potem — wspólny zjazd delegatów regionu. Są to problemy do uzgodnienia. Myślę, że kampania wyborcza mogłaby się zakończyć wczesną jesienią. To powinno się udać, bo tak naprawdę, poza grupą zacietrzewionych działaczy z RKO, większość członków „Solidarności" jest za przywróceniem jedności związkowej. Oni bez ogródek domagają się tego. Dlatego powstają „poziomki".

— ...?

— „Poziomki", czyli struktury poziome, tworzone doraźnie przez przewodniczących komisji zakładowych z przedsiębiorstw, zrzeszonych zarówno w RKO, jak i w Zarządzie Regionu. Na ostatnim ze spotkań „poziomki" domagano się, aby w terminie 14 dni rozpoczęto konstruktywne rozmowy, w celu m.in. — cytuję za oświadczeniem — „powołania statutowej reprezentacji drogą demokratycznych wyborów (...). Jest to jedyny sposób na doprowadzenie do normalnej sytuacji. Tylko władze statutowe będą władne dokonywać ocen i wyborów, które teraz dokonywane są dowolnie, arbitralnie, ze szkodą dla idei naszego związku". Apel podpisali reprezentanci m.in. MPK, „Elty", EC II i III, „Skogaru", „Pamotexu", Zakładów 1 Maja, „Wifamy" i „Very".

— O ile wiem, Lech Wałęsa poprosił o mediację ojca Miecznikowskiego. Jak pan ocenia rezultaty tej misji?

— Rezultatów nie ma. A dlaczego? Najlepiej będzie, gdy przytoczę fragment oświadczenia ojca Miecznikowskiego, które zostało wydane 13 kwietnia 1989 r.

„Uczciwość nakazuje mi stwierdzić, że przedstawiciele Zarządu Regionalnego odnieśli się do decyzji Przewodniczącego „Solidarności" Lecha Wałęsy powierzającego mi rolę mediatora pozytywnie, natomiast przedstawiciele RKO przyjęli to niechętnie, mnożąc przeszkody i zarzucając mi brak obiektywizmu. Bóg mi świadkiem, że starałem się ze wszystkich sił wznieść ponad półprawdy, jakimi się posługują i ponad fakty dokonane, jakie stwarzają (...). Wiem, że te słowa będą dla działaczy RKO gorzkie, ale nie mogę uchylić się od świadectwa prawdy, które w tej chwili jest niezbędne".

— Kiedy po raz ostatni rozmawialiście bezpośrednio z działaczami RKO?

— Moja ostatnia rozmowa z obecnym przewodniczącym PKO (wówczas członkiem RKW) odbyła się 3 maja 1988 roku. W każdej chwili gotowi jesteśmy do podjęcia nowych rozmów. Na razie jest to gotowość jednostronna.

— Jak pan sądzi, czy druga strona nie może obecnie uważać, że jej polityka, określana przez Lecha Wałęsę, odniosła bezsporny sukces? Czy nie utwierdza jej to w przekonaniu, iż opinie Grupy Roboczej o tej polityce były i są błędne?

— Błędne? Przecież to Kuroń i Celiński głosili koniec „S" jako związku zawodowego, a nie my. A poza tym wyniki „okrągłego stołu" nie mogą być konsumowane jedynie przez jego uczestników, bo dotyczą całego społeczeństwa. Nie można wprowadzać podziału na uczestników „okrągłego stołu" i obserwatorów, którzy — ponieważ za tym stołem nie zasiedli — wypadli rzekomo z gry. Takie postępowanie doprowadzi do zmiany monopolu jednej partii na dualizm, z pominięciem — znowu — znaczącej części społeczeństwa. Mam również nadzieję, iż nie zabraknie nam w Polsce sprawnie działających związków zawodowych. Postęp społeczno-polityczny jest bezsporny, to fakt. Oby jednak nie stało się tak, że przy większych swobodach demokratycznych i pluralizmie zabraknie miejsca dla działalności związkowej. Kampania wyborcza do Sejmu i Senatu to nie jest działalność związkowa. Jest to wejście w politykę.

— Czy dlatego nie uczestniczycie aktywnie w tej kampanii?

— Tak. Przecież ktoś, kto zostanie wybrany posłem lub senatorem, musi już myśleć w innych kategoriach. Nie może nastawiać się wyłącznie na obronę interesów pracowniczych, musi działać i myśleć w kategoriach ogólnopaństwowych, gdzie interes pracowniczy jest tylko jednym z elementów, nie zawsze uwzględnianym. Podobny problem mieliśmy już w „Solidarności" przy okazji omawiania kwestii, czy do naszych władz będą mogły kandydować osoby z kierownictw zakładów. Teraz może dojść do powtórki. Oby nie stało się tak, że posłowie czy senatorzy z ramienia RKO dokonają w Sejmie zmian, które będą godziły w interesy ich wyborców!

— Przyzna pan jednak, że wybory do Sejmu są następstwem porozumień „okrągłego stołu", które — jakkolwiek by na to patrzeć — również Zarządowi Regionu umożliwiły legalną działalność.

— Legalność działania, to nie wyłączna zasługa negocjatorów „okrągłego stołu". Wywalczyli ją sobie wszyscy ci, którzy ani na chwilę nie przestali wierzyć w wolne związki zawodowe, którzy organizowali manifestacje, siedzieli po więzieniach, byli represjonowani, zwalniano ich z pracy. Dlaczego nie wszyscy spośród nich zasiedli przy „okrągłym stole"?

— Jako związkowiec, nie interesuje się pan ustaleniami politycznymi. Czy dotyczy to całości porozumień „okrągłego stołu"?

— Interesują mnie wyłącznie ustalenia, które dotyczą przyszłości ruchu związkowego w Polsce. Jest to moje kryterium oceny tych negocjacji. Uważam zatem, że stworzono tam warunki do legalnego działania „Solidarności". Dano też nadzieję na częściową przynajmniej rekompensatę krzywd. Duże wątpliwości budzi natomiast sprawa indeksacji. Podeszliśmy do niej, jako związek, zupełnie nie przygotowani. Sądzę, że z ustaleniem zasad indeksacji należało się wstrzymać, aby wysłuchać najpierw opinii rzesz członkowskich.

— Również OPZZ domagał się zakładowych konsultacji...

— Nie studiowałem stanowiska OPZZ. Jeśli istnieją podobieństwa — nie jest to uszczerbek ani dla nich, ani dla nas. W łódzkim MPK pracują obok siebie członkowie obydwu związków... Natomiast indeksację powinno się rozpocząć od ustalenia podstawowego koszyka dóbr, których wzrost cen będzie się rekompensować. Powinno się też ustalić, jakie grupy społeczne wymagają największej pomocy. Dopiero na tej podstawie można wprowadzać indeksację, zróżnicowaną w zależności od poziomu życia danej grupy społecznej. Te różnice, które będą przy uzgodnionym modelu indeksacji, nie gwarantują lepszego życia tym, co wegetują na granicy nędzy. Czy rekompensata w wysokości 3 tys. zł może im przynieść poprawę? Przyniesie — ale gorycz, a może gniew. Są to często ludzie, którzy przez całe życie budowali nasze państwo. Nie jest ono takie, jak wymarzyli, ale czy to ich wina?

— Od dwóch miesięcy pracuje pan znowu — po długich staraniach — w łódzkim MPK. Czy w przyszłości będzie pan takim samym kierowcą autobusu, jak Lech Wałęsa elektrykiem w stoczni?

— Przyznam się do czegoś, do czego jako kierowca nie powinienem się przyznać. Zdarzyło mi się ostatnio, że spędziłem 36 godzin bez snu. Prowadząc pod koniec autobus, narażałem nie tylko siebie, ale i pasażerów. Te sytuacje nie mogą się powtarzać. Najprawdopodobniej zostanę wkrótce oddelegowany do działalności związkowej. Pożegnam się więc z kierownicą i — nie chcę używać wielkich słów — ale będzie to dla mnie prawie dramat. Organicznie tęskniłem za tą pracą, za prowadzeniem autobusu. Lubię to robić... W więzieniu przypominałem sobie ten swój przegubowiec... Ale dziś wiem, że albo będę dobrym kierowcą i kiepskim organizatorem, albo na odwrót.

— Czy nie obawia się pan, że wywiad z Andrzejem Słowikiem, który ukaże się w okresie wyborów, zostanie przez wielu działaczy „Solidarności" źle przyjęty? Zwłaszcza, że udzielony został tzw. prasie reżimowej...

— Nie widzę powodów, aby czynić ze swej działalności tajemnicę. O wszystkim, co robię, świadczą publikowane wcześniej dokumenty. Są one dowodem na to, że linia, którą reprezentuję, nie zmieniła się od roku 1981. Myślę też, że ludzie powinni mieć prawo wyboru, a to oznacza, że powinni być dobrze poinformowani. Od pewnego czasu są informowani jednostronnie, m.in. przez tygodnik „Mazowsze" i „Głos Łodzi", które to pisma drukowały początkowo nasze oświadczenia, a potem nagle przestały... Konflikt w „Solidarności" jest dostatecznie nabrzmiały, więc nie ma sensu go ukrywać. Najwyższy czas, aby ludzie wiedzieli, o co toczy się ten spór. „Solidarność" musi się odrodzić w kształcie demokratycznym. Innej drogi nie widzę.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
ANDRZEJ GĘBAROWSKI

P.S. Andrzej Słowik nie jeździ już autobusem, został oddelegowany do działalności związkowej.

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI PREZENTUJE:

Strajk studentów

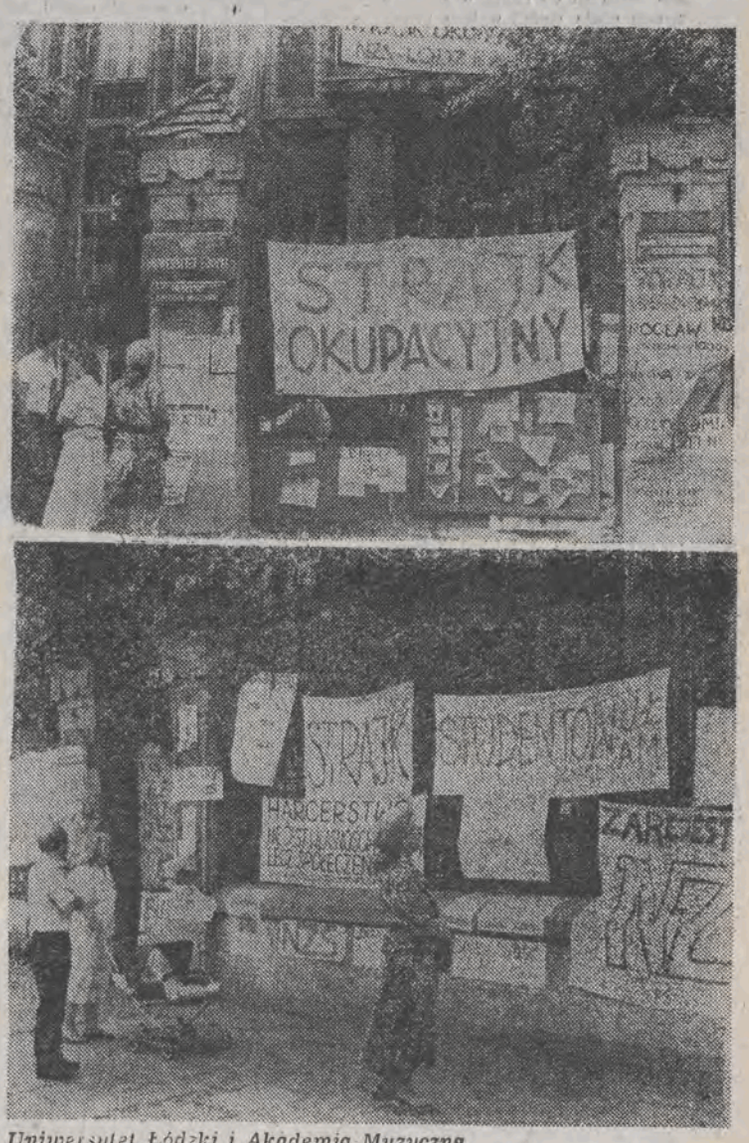

Uniwersytet Łódzki i Akademia Muzyczna

„Nie wszystko na sprzedaż..."

Panuje dość rozpowszechnione przekonanie, że w obliczu tak wielkiego rozstroju gospodarczego, społecznego mówienie o pieniądzach na kulturę jest niemal nietaktem. Otóż sądzę, że to tak krótkowzroczne widzenie jest szkodliwe, prowadzi bowiem najkrótszą drogą do marnotrawienia ogromnego dorobku powstałego w wielkim trudzie i niełatwych czasach.

Tuż po wojnie, kiedy żyliśmy bardzo biednie, zdołaliśmy stworzyć najbardziej ożywcze warunki dla rozwoju kultury. Wynędzniali czasami zniszczeń i pogardy, znajdowaliśmy środki na uruchomienie i prowadzenie świetlic robotniczych, na tworzenie różnego rodzaju placówek kulturalno-oświatowych, nie mówiąc już o powstawaniu najrozmaitszych towarzystw społecznych, jednoczących swych członków według zamiłowań. Oczywiście towarzyszyły temu ustanowione wtedy przepisy, wedle których dla każdego zatrudnionego należało przeznaczyć 50 zł w stosunku miesięcznym na pracę kulturalno-oświatową. Gromadzone w ten sposób środki, klimat, jaki tworzono dla kultury — wszystko to łącznie pozwoliło w ciągu krótkiego czasu na otwarcie w Łodzi ponad... 300 świetlic robotniczych. Każdy zakład pracy, zatrudniający ponad 100 robotników, był obowiązany dać pieniądze na prowadzenie nowo powstałej placówki.

Lecz wcale nie mniejszy niż środki finansowe był wśród łódzkich załóg zapał do realizowania programów świetlic i klubów przyzakładowych. „Hale fabryczne — jak pisała **Maria Niemyska-Hessenowa** w eseju o ruchu kulturalno-oświatowym i amatorskim tamtych lat — były wówczas świadkami niezwykłych chwil, gdy gromadki robotnicze samorzutnie i z ożywieniem dyskutowały nad programem kół teatralnych, nad zawartością gazetek ściennych, nad hasłami wzywającymi do upowszechniania kultury i wiedzy..."

Ktoś powie, że były to czasy wyjątkowe, czasy wielkiego entuzjazmu, nadziei, odradzania się drzemiących w ludziach, tłumionych pragnień wyniesionych z ruchu oświatowego, w którym przez dziesiątki lat uczestniczyły rzesze włókniarzy (przypomnijmy towarzystwa oświatowe „Światło", „Naprzód"); pragnień urzeczywistnianych kiedyś na robotniczych scenach Łodzi, w ulicznych orkiestrach, równie licznych bibliotekach mających dziś ponad stuletnią tradycję. To prawda, ale prawdą niepodważalną jest i to, że ten entuzjazm zaowocował dorobkiem, którego nie wolno zmarnować. Zniszczyć łatwo, zbudować — najtrudniej.

Na ostatniej sesji Rady Narodowej miasta Łodzi, przewodniczący Komisji Kultury RN, **Jacek Krzekotowski**, unaocznił aktualny stan rzeczy. „Pragnę na początek stwierdzić — powiedział — że Komisja przyjęła sprawozdanie z wykonania Wojewódzkiego Funduszu Rozwoju Kultury za rok 1988; ale chcę także podkreślić, iż **jest to tylko konstatacja faktu, że niezwykle ubogi, nieadekwatny do potrzeb plan w zakresie kultury roku 1988 został w zasadzie wykonany.** Mówię „w zasadzie" dlatego, że skromna informacja o wykonaniu planu w dziedzinie kultury grzeszy pewnymi nieścisłościami, obliczonymi jakby na podkolorowanie obrazu. Bo np. prawdą jest, że odbyło się więcej niż planowano spektakli i koncertów, ale także jest prawdą, że przyznanych środków nie wystarczyło na wykonanie planowanej ilości premier (44 zamiast 48); sprawozdanie słusznie podkreśla wartość programu edukacji kulturalnej w roku 1988, ale środków na jego kontynuację w roku 1989 zabrakło.

Co prawda przybyły w roku ub. dwa Gminne Ośrodki Kultury (w tym jeden na zasadzie przekształcenia statusu organizacyjnego — Wiejski Ośrodek w Wiśniowej Górze uzyskał status Gminnego Ośrodka Kultury), ale w wykonaniu planu zabrakło Domu Kultury na Widzewie-Wschodzie. Powiadamy dumnie, że oddano do użytku nowe biblioteki, ale trzeba tu wyraźnie powiedzieć, że sieć biblioteczna zmniejszyła się w **roku 1988 o 6 placówek, bądź to z powodu złego stanu obiektów bądź braku personelu.**

Na tle oceny roku ubiegłego — powiedział Jacek Krzekotowski — **chcemy jeszcze raz stwierdzić w Łodzi katastrofalny stan bazy materialnej kultury. Wszyscy wiemy, co dzieje się: z Biblioteką im. L. Waryńskiego, z obecnym stanem i perspektywą łódzkiej filharmonii, ze złudnymi koncepcjami rozwoju Muzeum Sztuki, z budynkiem Liceum Plastycznego** itd. — nie chcę tej listy wydłużać. Sądzę jednak, że potrzebna jest dzisiaj konstatacja: problemy gospodarki komunalnej miasta dotyczą w całej rozciągłości jego obiektów zabytkowych, jego obiektów kultury; obiektów, które długie lata służyły całej kulturze polskiej, a dziś, kiedy się rozsypują — są tylko lokalnym problemem miasta.

Jest wiele goryczy w tej opinii, ale wynika ona z obawy, abyśmy zbyt łatwo nie wyzbywali się dzisiaj wszystkiego, co nie jest rentowne, samofinansujące, ekonomicznie opłacalne. **Rachunek społeczny nakazuje powiedzieć, że „nie wszystko jest na sprzedaż".** To stwierdzenie pragniemy zaadresować zarówno do władz administracyjnych, jak i np. rad pracowniczych, spółdzielczych, tak łatwo dziś skłonnych do likwidacji swoich placówek kulturalnych..."

Czynniki odpowiedzialne za zdrowie, za postęp kulturalny i moralny społeczeństwa zdają się zapominać, że **czas wolny** ludzi tworzy dziś więcej problemów niż praca zawodowa. Czas wolny bowiem konfrontuje człowieka z samym sobą, daje mu możliwość samodzielnego wyboru. Inaczej niż w fabryce, gdzie system produkcji wyznacza każdemu ściśle określone miejsce, funkcję i czas wykonywania pracy, wolny czas można spędzić jak się chce. Można wykorzystywać go wedle nadarzających się okoliczności i warunków. Można wśród nich wybierać. A wybór, jak wiemy z codzienności, bywa różny. Czasami są to „rozrywki" bardziej męczące i szkodliwe dla zdrowia niż praca zawodowa. Wystarczy wymienić alkohol i jego skutki. Trzeba więc tworzyć i chronić istniejące warunki dla pożyteczniejszego wykorzystywania wolnego czasu.

MARIAN ZDROJEWSKI

PESTKI DYNI

W piśmie dla prawdziwych mężczyzn — nie! nie! nie w „PANU"! — w dwumiesięczniku **„Zrób to sam"** (nr 1/89) znalazłem przepis na papier toaletowy (zastępczy). Oto on: „Stronę gazety moczy się w wodzie przez 0,5—1 h, ostrożnie wyjmuje (papier jest bardzo słaby) podsusza na sznurku do stanu lekko wilgotnego, a następnie gniecie w niewielką kulkę. Po delikatnym rozprostowaniu czynność gniecenia powtarza się jeszcze dwukrotnie, po czym rozprostowany papier pozostawia się do całkowitego wyschnięcia. Suchy papier gniecie się jeszcze raz. Powstały wyrób różni się od papieru toaletowego nieco mniejszą wytrzymałością mechaniczną, szczególnie w kierunku równoległym do włókien oraz zadrukowaniem".

Zrobiłem, sprawdziłem i przyznaję, że istotnie jest on mniej wytrzymały mechanicznie w kierunku równoległym do włókien. Od czego jednak pomysłowość i wyobraźnia! Zacząłem go zatem używać nie równolegle, a poprzecznie i muszę przyznać, iż obecnie jego wytrzymałość jest zadowalająca. Po prostu trzeba uważać — ot, i cała tajemnica. Można też, dla większej wygody, właściwy kierunek użycia zaznaczyć kolorowymi strzałkami, narysowanymi barwnymi flamastrami, które można w kompletach po 3, 6, 12 i 24 sztuki kupić bez kłopotu w sklepach papierniczych i kioskach „RUCHU". Wybór samego koloru jest już kwestią osobistych gustów estetycznych...

W wypadku, gdyby kolorowa strzałka przypadkiem przemieściła się z papieru toaletowego (zastępczego) na obsługiwaną nim część ciała, łatwo wywabimy ową strzałkę, pocierając ciało tamponem nasyconym rozpuszczalnikiem nitro, „Fosolem" bądź płynem „KRET" do przetykania rur kanalizacyjnych.

Niestety — z czego i jak zrobić tampon, nie mogę na razie zdradzić. Załatwiam w tej chwili sprawy patentu, poza tym zainteresowanych jest jego produkcją kilka firm z kapitałem zagranicznym. Przepraszam.

Co zaś do tego, że papier toaletowy, przez nas zrobiony, jest zadrukowany — to świetnie! Bardzo świetnie!

Znane są i są w użyciu od lat na Zachodzie Papiery Toaletowe zadrukowane w bławatki, różyczki, niezapominajki, inne kwiatki, biedronki, zajączki, sarenki, widoczki, pieniążki... itd., itp. A my przecież możemy przy produkcji własnego papieru zdać się bądź na całkowity przypadek w doborze tekstów — jak dadaiści lub surrealiści; możemy być poetami papieru toaletowego (zastępczego)!!! Bądź też możemy teksty starannie dobierać pod kątem własnych zainteresowań i gustów, bądź określonych programów propagandowych, edukacyjnych, jeszcze innych... Można też używać prasy i wydawnictw przeciwnego obozu politycznego, gospodarczego, moralnego...

Wiele rzeczy można zrobić samemu. Nie tylko u nas. Na całym świecie.

Niedługo po rewolucji pewien pastuch na stepach Mongolii wymyślił sam i sam zrobił drewniany rower... Pojechał na nim do Moskwy... I dojechał... Na czym wrócił — nie wiem.

Pewien lokal nocny w Las Palmas reklamuje od lat swoje atrakcje ogromnym, kolorowym neonem — hasłem nad wejściem: — ZRÓB TO SAMA! Rzecz w tym, iż po świetnym żarciu i świetnym piciu, jakie tam serwują, około północy, przebywające na sali turystki z całego świata dokonują striptizu... Lokal nazywa się „GRIG" i cieszy się ogromną popularnością i frekwencją obu płci...

ANDRZEJ GRUN

BOŻENNA MARKOWICZ

Ćwiczenia

Raz — płaczesz
dwa — zapominasz
trzy — nadzieja-sz się
cztery — czekasz
5 — od początku
6 — patrzysz w oko lusterka
7 — zasypiasz z oczami na stojąco
8 — fruwasz
9 — dodajesz obydwie swoje nogi
10 — maszerujesz
raz — po raz drugi cynicznieje
dwa — itakdaley
Uszanowanie

Poczta literacka

Cecylia z Opolszczyzny. Opowiadania przeczytałem z zainteresowaniem. To — jak sądzę — autentyczne zapiski z biografii. Życzę powodzenia w trudnej kuracji (znam ten ból!), jeśli jeszcze jest potrzebna. Wiersze jakby z różnych parafii. Mimo szlachetnych intencji teksty poświęcone Śląskowi są najsłabsze. Tak to często bywa z poezją okolicznościową. W innych — widać już wyraźniejszy koncept, obraz poetycki, ale widać też poetyckie „szwy" — mozolne szykowanie poetyckiego warsztatu. Dwa wszakże teksty są doprawdy urokliwe. To „Zmierzch" oraz „Pacierz". Z tego ostatniego zacytuję zakończenie:

Sam więc widzisz, Panie Boże
nie mam tu co robić w mieście
Dusza moja wciąż wstecz goni
Przyślij po mnie już nareszcie
Twój wóz, Panie, w cztery deski
zaprzągnięty w chłopskie konie.

Czekam na dalsze teksty. Pozdrawiam.

Śmierć jako eksperyment

Susan Sontag znana jest u nas głównie jako autorka interesujących esejów o literaturze i sztuce i zaliczana bywa do grona głównych twórców i teoretyków postmodernizmu. Sontag jest jednak pisarką niezwykle wszechstronną — w jej dorobku, obok licznych prac krytycznych, znajdziemy także scenariusze, opowiadania oraz dwie powieści: wydany w 1963 roku **„The Benefactor"** i w 1967 r. **„Death Kit"**, czyli **„Zestaw do śmierci"**, opublikowany właśnie po raz pierwszy w języku polskim przez PIW. Warto przyjrzeć się nieco bliżej tej niezwykłej powieści, jako że Sontag napisała ją w pewnym sensie w celu podjęcia polemiki (na gruncie literackim) z martwą jej zdaniem i przeżywającą poważny kryzys prozą amerykańską lat sześćdziesiątych. Najogólniej mówiąc zastrzeżenia Sontag co do ówczesnej kondycji literatury dotyczyły głównie braku nowych, inspirujących rozwiązań formalnych, przeto jako rzecz naturalną wypadnie przyjąć fakt, iż „Zestaw do śmierci" stanowi eksperyment literacki przede wszystkim w zakresie formy.

Właściwie tylko identyfikacja bohatera powieści nie nastręcza czytelnikowi „Zestawu do śmierci" większych trudności: Duduś (obdarzany w zależności od sytuacji i stanu swego ducha odpowiednimi przydomkami), czyli Dalton Harron, 33-letni przedstawiciel warstwy średniej amerykańskiego społeczeństwa konsumcji i dobrobytu, jest osobą przeciętną i szarą, wyróżniającą się może jedynie nieco większą od normalnej wrażliwością i podatnością na liście freudowskie lęki oraz kompleksy, skutecznie zakłócające i tak niezbyt unormowane życie psychiczne protagonisty. Od wczesnego dzieciństwa Duduś pozbawiony był tkliwego ciepła uczuć rodzicielskich, a jego wspomnienia z okresu dojrzewania i dorastania stanowić mogą wdzięczny materiał badawczy dla całego zespołu psychoanalityków, bowiem „Zestaw do śmierci" buduje Sontag z całą premedytacją z symbolicznych elementów nieświadomości odkrytych i opisanych przez Freuda ku uciesze tych psychiatrów, którzy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych „leczyli", zgodnie z obowiązującą modą, trzy czwarte dorosłej populacji Stanów Zjednoczonych. Ale Sontag bada nie tyle psychologię bohatera, ile raczej jego percepcję, jego życie wewnętrzne (z udziałem zarówno emocji, jak i intelektu) na poziomie podstawowych kategorii filozoficznych czasu i przestrzeni. Problem czasu zwłaszcza potraktowany jest przez autorkę w nowatorski i zaskakujący sposób, co wiąże się także z trudno rozpoznawalną osobą narratora, ukrytą za dowolnie zmieniającymi się czasami gramatycznymi; czasowniki pozornie bezładnie wędrują z przeszłości i zaprzeszłości w teraźniejszość, a narracja w trzeciej osobie przechodzi niejednokrotnie w narrację, w pierwszej osobie liczby mnogiej. Często pojawiające się w tekście słowo „teraz" ujęte zostaje w nawias, umożliwiający czytelnikowi wybór czasu działania się opisywanych wydarzeń. Teraźniejszości jest kilka, przynajmniej dwie — „teraz" odnosi się zarówno do świata marzeń sennych Dudusia, jak i do aktualności jego istnienia, kontynuowanego na szpitalnym łóżku. Uważny czytelnik dostrzeże bowiem, że mimo dziwacznych trików i rzekomych niekonsekwencji narratorem powieści jest właśnie Duduś i tylko on, leżący w szpitalu w stanie śpiączki po próbie popełnienia samobójstwa i przeżywający swój sen w dwojaki sposób: jako jego aktywny uczestnik i jako obserwator, rejestrujący i przekazujący informacje. Motyw snu wyjaśnia ponadto alogiczność i nieprawdopodobieństwo wydarzeń, rządzonych prawami sennej halucynacji.

Tak więc Duduś umiera, i cała opowieść jest niesamowitym w swej wyrazistości opisem procesu umierania przetwarzającym na użytek snu fakty i przedmioty mające swe miejsce w „realnym" świecie bohatera, jeśli oczywiście możemy mu w tej materii zaufać.

„Zestaw do śmierci", jak niemal każdy śmiały eksperyment literacki, nie jest książką przeznaczoną dla masowego odbiorcy, a przy tym nie tak trudno byłoby wytknąć tej powieści pewne słabości, jak choćby drażniącą schematyczność i typowość psychiki bohatera. Jednak każda pomysłowa wycieczka w rejony omijane z konieczności przez powieść tradycyjną warta jest uwagi i zastanowienia.

MACIEJ ŚWIERKOCKI

Susan Sontag — „Zestaw do śmierci", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1989, wyd. I, nakład 30 000 egz.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

Rys. Sławomir Łuczyński

DLACZEGO NIE WYPADA?

„...Środowisko artystyczne jest kolorowe, wspaniałe i nieznośne — powiedział dla „Tygodnika Kulturalnego" **Michał Bajor.** — Każdy z nas ma przyjaciół i wrogów. I ja także. Chociaż przyznam, że czasami zdumiewają mnie niektórzy artyści. Bo np. nie wystarczy być zdolną i piękną aktorką, żeby zacząć śpiewać, albo wybitnym aktorem, żeby parlandować. Mógłbym wiele o tym powiedzieć, ale podobno nie wypada, bo sam zostałem wyniesiony na tzw. gwiazdora piosenki aktorskiej — według niektórych, niemalże bez mojego udziału. Ile w tym mojej koszmarnej harówki — o tym również nie wypada mi mówić. A właściwie dlaczego nie wypada? Do diabła z tym. Nie dla wszystkich, koleżanki i koledzy, wszystko. Ja również nie zagram pięknego amanta i nie dążę do tego. Robię to, co mi właśnie wychodzi i wiem, że mi wychodzi. Troszeczkę samokrytyki i pokory. Tylko tyle... Głosu nigdy nie wystarczy na zawsze i nie w każdym momencie będzie on silny i zdrowy... Zdzieram głos, ale inaczej nie potrafię... Właśnie tą drapieżnością w głosie zdobyłem publiczność. A drapieżność zdziera struny. Wolę żyć i tworzyć mocniej, choćby krócej... Patrzeć, czuć, jak ludzie się wzruszają. Nie myślę wtedy o cenie, jaką płacę. I nie myślę wtedy o teatrze, filmie, telewizji. Oczywiście, zaraz odezwą się głosy, że to daje pieniądze. To prawda. Zarabiam na estradzie tyle, ile nigdy razem w teatrze, TV i filmie nie mógłbym otrzymać. Ale to w końcu nie ja wymyśliłem takie dysproporcje, że nawet trzeciorzędny estradowiec może zarobić za kilka występów tyle, ile Aleksandra Śląska za miesiąc ciężkiej pracy w teatrze. To skandal. Nic więcej..."

TO NIE TO SAMO

„...To nie jest tak, że ja jestem wyłączony z polskiej rzeczywistości i ja mam absolutną wolność wewnętrzną i zewnętrzną. Nie. Nieprawda — mówi **Tadeusz Różewicz** w rozmowie z **Kazimierzem Braunem**, „Odra" nr 1. — Na mnie działają ograniczenia rodzinne, społeczne, cenzuralne, obyczajowe, hałas na ulicy, hałas polityczny. A nawet lęki... Lęki przed narażeniem się... To, co mnie tak dotknęło po „Do piachu", wiesz... Bardzo ostro. A także po „Białym małżeństwie"; mniej... To nie jest tak, że ja jestem Czarnym Piotrusiem, psotnym Zyziem. Być Genetem w Gliwicach to jest inna sytuacja niż być Genetem w Paryżu. Jest się tutaj w innej sytuacji, gdzieś pomiędzy Januszewicką a Ostrowem Tumskim, pomiędzy Warszawą a Krakowem, pomiędzy... Sandauerem a Błońskim, Woroszylskim a Bratnym... Trzeba sobie z tego zdawać sprawę. A nigdy nie byłem typem pisarza pogardzającego społeczeństwem, opinią publiczną... Ja nie jestem w sytuacji Janusza Głowackiego... czy Hłaski... Jestem całkowicie innym typem pisarza. Inna też jest sytuacja Mrożka. Inna Miłosza. A na dodatek nie jestem w sytuacji kontestatora, walczącego lub gadającego dysydenta. W typie Sołżenicyna czy Kołakowskiego... Moje milczenie jest diagnozą sytuacji w Polsce. Również mojej..."

KTO MA PRZEPRASZAĆ?

„Co do ZASP. Po wyborach, u biegłorocznym zjeździe ZASP, należy do niego też większość aktorów. Sporo wszakże pozostaje poza nim. Nie wiem, może oczekują przeprosin. Tylko kto ma ich przepraszać?! Minister Krawczuk?! Przecież nie ja rozwiązywałem związek! Oczywiście istnieją bóle, pretensje. Dzisiaj inaczej patrzymy na wydarzenia 1980/81 i lat następnych. Myślę, na wnikliwą analizę wszystkich decyzji przyjdzie nam jeszcze poczekać. Tyle tylko, że teatr, sam teatr, ludzie teatru nie mogą czekać. Sporo zadań należy rozwiązać. Konieczne jest reformowanie samego życia teatralnego. Dzisiaj ogromną władzę otrzymali dyrektorzy, oni decydują prawie o wszystkim. Czy ma obowiązywać zasada demokracji finansowej w teatrach, że praktycznie prawie wszyscy zarabiają tak samo, czy promować system gwiazd, gdzie gwiazda otrzymuje stosowne honorarium. I tu jest rola ZASP, niech on decyduje, niech podejmuje decyzje! Łatwiejsza jest dyskusja o przeszłości, lecz jeśli ZASP będzie się uchylał od wzięcia na siebie odpowiedzialności za przyszłość teatru, to i minister kultury będzie się od tego uchylał..." (**A. Krawczuk w rozmowie z Ł. Wyrzykowskim na łamach „Dziennika Zachodniego"**).

X ŁÓDZKIE SPOTKANIA BALETOWE

Prezentacje krajowe

Miłośnicy Terpsychory, ci najwytrwalsi, minęli już, mówiąc po sportowemu, półmetek X Łódzkich Spotkań Baletowych, a tymczasem niniejsze omówienie, ze względu na cykl drukowania tygodnika, pozostaje sporo w tyle. Kiedy to piszę, mam za sobą trzy zaprezentowane programy, nie licząc oczywiście powtórek i naszego łódzkiego programu **„Wacław Niżyński in memoriam"**, którego premierę recenzowaliśmy przed tygodniem. Teraz i ja go mogłem obejrzeć i tylko dodam, że zgadzam się z ogólną opinią recenzentki, która zechciała mnie zastąpić.

Spotkania otworzył Teatr Wielki w Warszawie. **Wariacje Chopina nt. arii „La ci darem la mano" z op. Mozarta „Don Giovanni"** oddziałały inspirująco na wyobraźnię choreograficzną wielkiego **Maurice Bejarta**, znanego bywalcom przeszłych Spotkań zarówno z niezapomnianych występów jego zespołu, jak i choreograficznych realizacji przez inne zespoły.

„Wariacje „Don Juan" zaczynają się pięknie i oryginalnie. Tancerka przesuwa się z książką w ręku między żeńskimi grupami tanecznymi, czemu towarzyszy nagrany molierowski tekst — hedonistyczna, rozbrajająca filozofia Don Juana. Damskie korowody wsparte dowcipnym ruchem i gestem wyrażają nieodpartą chęć ofiarowania cnoty słynnemu uwodzicielowi, który ani razu nie pojawi się w otwartych drzwiach, lecz zamiast niego przemaszeruje obojętnie przez scenę pracownik teatralny w roboczym kombinezonie. „Tak to biednych ludzi rzeczywistość ze snu budzi" — powtórzymy za Boyem, tłumaczem molierowskiego dzieła i stronnikiem kobiecych emancypacyjnych dążeń.

Kolejna wielka sława baletu współczesnego to Holender **Hans van Manen**, który swoje „Trzy utwory" (Three pieces) osnuł na „Muzyce na smyczki, trąbki i perkusję" najwybitniejszej do dziś, nie tylko polskiej, kompozytorki, **Grażyny Bacewiczówny**. Układ Manena zrealizowała w przedstawieniu jego uczennica i asystentka **Mea Vanema**. Mimo klarowności i logiki ruchu scenicznego, pomysłowości układów, utwór wydał mi się rezultatem chłodnej, mózgowej spekulacji, zwłaszcza w konfrontacji z nasyconą emocjami muzyką drugiej części.

Trzecia gwiazda światowej choreografii **David Lichine**, jest w Polsce mniej znany od poprzednich, z jego udziałem jako tancerza odbyło się przed półwiekiem pierwsze wykonanie **„Balu kadetów"** do muz. **Johanna Straussa** (syna). Później Lichine zrealizował utwór z London Festival Ballet, a warszawską premierę przygotował angielski tancerz i choreograf **Richard Collins**. Sama fabułka i rodzaj dowcipu według mnie wyraźnie trącą myszką. Owe bowiem umizgi i lansady, dąsy i przekomarzania, wyprane całkowicie z erotyzmu, powinny rekompensować ten mankament mniej pensjonarskim wdziękiem. Oglądając to można określić widowisko Bejarta spektaklem dla dorosłych. A przecież i ten punkt programu tańczyli goście z wzorową sprawnością i precyzją.

Poznański Teatr Tańca, którego kierownictwo przejęła niedawno po Conradzie Drzewieckim Ewa **Wycichowska**, nawiązując godną uznania szeroką współpracę z różnymi choreografami, dał nam również program **„Niżyńskiemu une soiree"**, przypominając dzieła przez tego artystę tworzone, bądź te, w których występował. A tańczył on m.in. rolę tytułową w **„Pietruszce" Strawińskiego**, a także opracowywał ją choreograficznie.

Andrzej Glegolski dość osobliwie uczcił pamięć Niżyńskiego. Zamiast barwnych postaci jarmarcznego tłumu, zamiast bohaterów ludowego teatru ulicznego — sprytnego Pietruszki, zalotnej Kolombiny i okrutnego Maura — pojawili się mundurowi funkcjonariusze osławionej Czerezwyczajki, których ofiarą pada sympatyczny młodzian w czapce polskiego skauta. Nad młodzianem pastwią się najpierw w śledztwie, a potem w szpitalu wariatów, oprawcy o wybitnie azjatyckich rysach, wskutek czego nasz młodzian o urodzie jasnego blondyna jawi się nam jak „aryjczyk" czystej krwi. Tak spreparowany „Pietruszka" nie przyniósł jednak oczekiwanego aplauzu widowni, która nastawiona była raczej na przeżycia estetyczne niż na agitkę, nie przystającą zresztą do wspaniałej muzyki Strawińskiego, mimo iż **ROBERT SZYMAŃSKI** i inni soliści brawurowo wykonywali ciekawie pomyślane układy.

Następnie obejrzeliśmy dwie miniaturki choreograficzne, pogodnego z melancholijnym finałem **„Arlekina"** do muz. **Schumanna**, w wielce obiecującym wykonaniu **Tomasza Dębczyńskiego**, jeszcze ucznia Gdańskiej Szkoły Baletowej, a następnie refleksyjną i zagadkową **„Samotność Fauna"** ciekawie odtańczoną przez trzech wykonawców, z kolei podziwialiśmy nacechowanego subtelnym dowcipem **„Ducha róży"** do „Zaproszenia do tańca" **Webera**, we wdzięcznej interpretacji **MARII LEBIODY** i trzech partnerów.

Ukoronowaniem wieczoru okazał się utwór **„Nie jest to miłość"** (wolałbym tu raczej formę pytającą), do muz. **Jerzego Satanowskiego**, w chor. **Gustawa Klauznera**. Ta opowieść o artystach baletu odważnie i niebanalnie przedstawia rozterki miłosne młodego tancerza o nie wykrystalizowanych inklinacjach erotycznych. Tę drażliwą kwestię przekazano z taktem i umiarem, wywołując z pewnością niejedną refleksję wśród widzów, a wielka w tym zasługa niezwykle ekspresyjnej interpretacji **ROBERTA SZYMAŃSKIEGO**. Świadomie pomijam tu i gdzie indziej wszelkie „historyczne" odniesienia do dzieł, a zwłaszcza życiorysu Niżyńskiego. Ważne jest to, co odbiera się bez tych sugestii.

Kolejny wieczór poświęcił teatr gospodarzy debiutom choreograficznym, co godne jest kontynuacji. Poznaliśmy cztery utwory trojga początkujących choreografów, związanych z ośrodkiem łódzkim.

Czesław Bilski, nim trafił na deski naszego teatru jako tancerz, dał się poznać z gościnnych występów wrocławskiej pantomimy **Henryka Tomaszewskiego**. Nie powinno więc dziwić, że podobnie jak w jego rolach tanecznych, tak i w propozycji choreograficznej uwidoczniły się doświadczenia pantomimiczne. W utworze **„Sen zamordowany"**, inspirowanym motywami szekspirowskiego „Makbeta", piętno języka mimu zwiększało ekspresję scen utrzymanych w konwencji teatru tańca, skutki były jednak mniej owocne, gdy aktorstwo ruchowo-mimiczne usiłowało „wyręczyć" ściśle baletowe środki wyrazu. Autor, będący również twórcą scenografii, ujawnił tu swoje zamiłowania do „środków bogatych", było więc m.in. dużo efektownych zmian dekoracji, jednak jakby zatarło się przesłanie utworu. Ryzykowałbym sugestię oszczędniejszego posługiwania się środkami w myśl zasady, że „mistrza poznaje się w ograniczeniu". Ciekaw jestem dalszych prac Czesława Bilskiego.

Z kolei **Roman Komasa**, nasz znakomity solista, pierwszy tancerz baletu, pokazał dwa utwory różniące się charakterem, opracowując też choreografię, przy współpracy (podobnie jak poprzednik) **Jadwigi Misztur**. W **„Dedykacji"** do muz. **Marka Błaszczyka** (debiut kompozytorski, a także akompaniament fortepianowy „na żywo") bardzo niejasny okazał się sens całości: na tle rozświetlonych figur geometrycznych partie solowe o charakterze „etiud", nie pozbawione zresztą dowcipu. Natomiast **„Dialog I" do Ryszarda Straussa „Śmierci i wyzwolenia"** przekazywał silne napięcia emocjonalne, współbrzmiące z nastrojem muzyki, a układ tańca dał pole do popisu **ANNIE KRZYŚKOW i ROMANOWI KOMASSIE**.

Maria Wójcicka, tancerka o przygotowaniu choreograficznym i uniwersyteckich studiach oraz publikacjach z zakresu estetyki, wzięła na warsztat rzecz chyba arcytrudną do adaptacji: **„Tilla Sowizdrzała"** do muz. **Ryszarda Straussa**. Co zainscenizować z rozlicznych przygód Tilla, flandryjskiego urwipołcia i zarazem symbolu narodowego bohaterstwa, jakim go wykreował w ub. wieku belgijski pisarz **Carol de Coster**?

Nie silę się rozszyfrowywać, czy książka Costera, czy poemat Straussa były dla Wójcickiej dominującą inspiracją, zwłaszcza iż skorzystanie przez nią z innych utworów tegoż kompozytora czyni tę kwestię dość nieprzeniknioną. Przy całej barwności widowiska, w oprawie scenograficznej **Tomasza Sobczaka**, miałem poczucie niepełnej spójności utworu. Muzykę „Sowizdrzała" przeplatały inne utwory, a np. pojawienie się w prologu strojnej damy nie miało żadnych dalszych konsekwencji, sam zaś Till, bohater ludowego eposu, wystąpił wspólnie z postaciami comedii del'arte. Owszem soliści mieli co tańczyć, jak np. świetny **KRZYSZTOF STARCZEWSKI** jako **Till**.

Jestem zresztą pełen podziwu dla ludzi, którzy mają odwagę mierzyć się z zadaniami arcytrudnymi.

JERZY KWIECIŃSKI

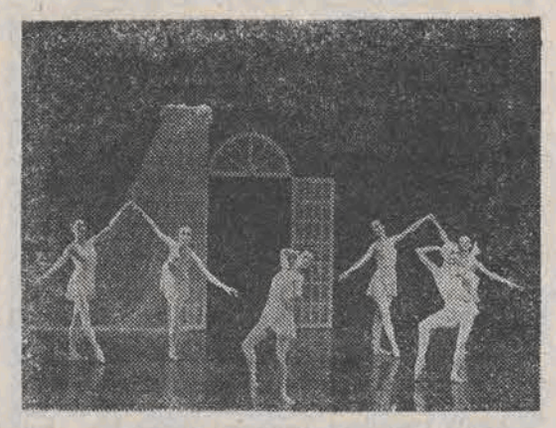

„Wariacje »Don Juan«" Bejarta
Foto: Jacek Gilun

Kronika

W BELWEDERZE odbyły się uroczystości wręczenia nominacji profesorskich, nadanych przez **Radę Państwa 22 uczonym**. Tytuły **profesora** nadzwyczajnego nauk medycznych otrzymali m.in. **Stanisław Kotwica, Tomasz Pertyński, Anna Płużańska** i **Jerzy Zieleniewski** z łódzkiej Akademii Medycznej.

NA BIENNALE PLAKATU POLSKIEGO w Katowicach I nagrodę w kategorii plakatu ideowo-społecznego zdobył łódzki artysta — **Tadeusz Piechura** za „Miesiąc Pamięci Narodowej". Wcześniej, na II Triennale Plakatu w Toyama w Japonii prace tego artysty jury uhonorowało brązowym medalem.

PREZYDIUM ODDZIAŁU PAN I KONFERENCJI REKTORÓW łódzkich uczelni przyznało nagrody młodym naukowcom za wybitne osiągnięcia w pracy naukowo-badawczej. Otrzymali je: **doc. dr Marek Zirk-Sadowski** z UŁ w dziedzinie nauk humanistyczno-społecznych, w dziedzinie nauk ścisłych — **doc. dr Ryszard Pawlak** z UŁ, w dziedzinie nauk technicznych — **dr inż. Andrzej Górak** z PŁ, zaś w dziedzinie nauk biologiczno-medycznych — **doc. dr Andrzej Lewiński**.

DELEGACJA ŚRODOWISK KULTURALNYCH KUBY, z wiceministrem kultury **Omarem Gonzalezem**, przybyła w minioną niedzielę do Łodzi na zakończenie Dni Kultury Kubańskiej w Polsce. W składzie delegacji — której towarzyszyły: ambasador Kuby w Polsce, pani **Isabel Allende-Karam** oraz wiceminister kultury i sztuki PRL, pani Krystyna Marszałek-Kawalerowicz — znajdował się **Ballet Nacional de Cuba**, który wystąpił na scenie Teatru Wielkiego w ramach X Łódzkich Spotkań Baletowych.

„40 LAT W SŁUŻBIE DZIECKA" — tak określono piękny jubileusz łódzkiego **Teatru Lalek „Arlekin"**, któremu z tej okazji Kapituła Dziecięca przy Komitecie Dziecka w Łodzi przyznała pierwszy medal **„Serce Dziecka"**.

LICZĄCA SOBIE 70 LAT Szkoła Podstawowa nr 87 otrzymała imię **Włodzimierza Puchalskiego**, znanego przyrodnika, twórcy polskiego filmu naukowego o faunie i florze.

Z OKAZJI 70-LECIA Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich w Łodzi, w salach Muzeum Historii Miasta otwarto wystawę **„Skarbów kultury narodowej w bibliotekach łódzkich"**. Znajdują się na niej inkunabuły, stare druki, rękopisy oraz wiele innych cennych książek nie udostępnianych zwykle szerszej publiczności.

WŚRÓD DOROCZNYCH LAUREATÓW Nagród Prezesa Rady Ministrów za twórczość artystyczną dla dzieci i młodzieży w 1989 r. znalazł się zespół pracowników działu naukowo-oświatowego Muzeum Sztuki w Łodzi. W jego skład wchodzą: **Jadwiga Borzęcka, Dariusz Bugalski, Jan Kałłaur, Dorota Krutow, Alina Mołdawa, Helena Przychoda, Katarzyna Szymanek, Izabela Trelińska, Lucyna Urbańska-Kidon** i **Małgorzata Wiktorko**. Zespół ten otrzymał nagrodę za osiągnięcia w upowszechnianiu wiedzy o sztuce wśród młodzieży szkolnej. Gratulujemy.

W GALERII W PARKU SIENKIEWICZA otwarto wystawę **„Tkanina łódzka 89"** zorganizowaną w cyklu „Prezentacji Plastycznych". Są tu prace artystów wszystkich generacji, od klasyków po awangardę. Wśród nagrodzonych znaleźli się: **Andrzej Rajch, Aleksandra Mańczak, Krystyna Nadratowska-Górska, Elżbieta Kędzia** i **Włodzimierz Cygan**.

W WARSZAWIE odbył się zjazd założycielski **Stowarzyszenia Pisarzy Polskich**, do którego akces zgłosiło 500 ludzi pióra z kraju i zagranicy. Prezesem Stowarzyszenia został wybrany **Jan Józef Szczepański**.

W NAJBLIŻSZĄ SOBOTĘ w Małej Sali Teatru Nowego odbędzie się premiera sztuki **Murraya Schisgala pt. „Sie kochamy"**, w reżyserii **Jerzego Hutka**, ze scenografią **Marka Brauna** i muzyką **Janusza M. Grzelązki**.

Z KOLEJNĄ PROPOZYCJĄ wystąpił nowo powołany impresariat „Art-Pol". Otóż 15 czerwca, w Sali Lustrzanej Muzeum Historii Miasta Łodzi, odbędzie się recital **Wojciecha Młynarskiego** z udziałem **Jerzego Derfla**. Pierwszy koncert przewidziano na godz. 18, drugi zaś — 20.15.

INNA AGENCJA — „Pro-Arte" zaprasza w dniu 15 czerwca, o godz. 20 do sali ŁDK na koncert holenderskiej grupy jazzowej **„CO MENNO'S"**.

SPROSTOWANIE. W mej recencji („Odgłosy" nr 22) z nowego tomiku poetyckiego **Jerzego Jarmołowskiego** znalazł się (mea culpa!) zabawny lapsus czyniący z „Jarmoła" poetę szesnastowiecznego. Zamiast: „w pół wieku później" winno być w „pięć wieków później". Czytelnicy „Historii literatury polskiej" mogliby bowiem bezskutecznie poszukiwać informacji o twórczości Jerzego Jarmołowskiego w 50 lat po ukazaniu się wiersza Słoty „O zachowaniu się przy stole" Sądzę, że J. Jarmołowski i tak trafi do podręczników historii literatury polskiej. Niemniej jednak serdecznie przepraszam Autora i Czytelników. **Henryk Pustkowski**.

Spotkanie muzycznych pokoleń

Podczas wieczoru symfonicznego, który odbył się w połowie maja br., na estradzie Filharmonii Łódzkiej spotkali się dwaj polscy artyści, reprezentujący różne generacje naszej muzyki. Koncert poprowadził znakomity mistrz batuty, **Witold Krzemieński**, solista był młody pianista — **Karol Radziwonowicz**.

W pierwszej części usłyszeliśmy dwa dzieła muzyki polskiej. We współczesnej twórczości muzycznej ważny nurt stanowią utwory zainspirowane muzyką dawnych epok. Świetnym przykładem tego typu dzieła jest wykonana na wstępie **„Suita staropolska"** na smyczki **Andrzeja Panufnika**. Ten polski kompozytor starszego pokolenia, osiadły w Anglii, oparł swój utwór na materiale trzech anonimowych XVI-wiecznych tańców polskich. W zaprezentowanym utworze bardzo ciekawie zostały wyzyskane wszelkie odcienie wyrazowe i kolorystyczne orkiestry smyczkowej.

Drugim dziełem koncertu był wykonany przez solistę Koncert fortepianowy f-moll **Fryderyka Chopina**. Jest to utwór na wskroś liryczny, utrzymany w jasnych, pastelowych barwach. Właśnie te momenty okazały się najmocniejszym punktem wspomnianej interpretacji. Szczególnie urzekające było prowadzenie przez pianistę tematu pierwszego drugiej części — Larghetto. W orkiestrowym akompaniamencie najlepiej brzmiały smyczki. Słabszą stroną tego fragmentu była intonacja „drzewa" — szczególnie fletów i klarnetów. Pewien niedosyt sprawiła też dynamika tutti orkiestry części pierwszej, Allegro maestoso — zbardzo masywna w stosunku do instrumentu solowego. Za to pięknie dopracowany rytmicznie był dialog solisty z orkiestrą w roztańczonym finale dzieła — Allegro vivace. Trzeba przyznać, że młody artysta w swojej wizji chopinowskiego dzieła dał przede wszystkim upust talentowi lirycznemu.

Wieczór zakończyło jedno z największych dzieł światowej literatury symfonicznej — **V Symfonia c-moll Ludwika van Beethovena**. Muzyka ta — poprzez kontrasty emocjonalne, silną uczuciowość i dramatyczną wymowę — wywołuje głębokie wrażenie. W pierwszej części — Allegro con brio, najbardziej wyrazisty był czołowy, czterodźwiękowy motyw wprowadzony w gwałtownym forte smyczków i klarnetów. Zabrakło siły wyrazu pogodniejszemu epizodowi pobocznemu, granemu przez waltornie. W drugim ogniwie — Andante con moto, ujętym w swobodną formę wariacji — dyrygent mistrzowsko oddał nastrój skupienia i refleksji. Część trzecia — Allegro jest typowo beethovenowskim, fantastyczno-demonicznym scherzem. Godne uznania były groteskowe figury fletu i fagotu. W utrzymanym w formie triumfalnego marsza finale — Allegro — najbardziej sugestywna była „blacha" — szczególnie trąbki i puzony.

PIOTR KUKIEŁKA

Uwaga, Eros!

W związku z pracami nad Antologią-albumem polskiego rysowanego żartu i humoru erotycznego (tytuł roboczy „Eros polski") Krajowa Agencja Wydawnicza zwraca się do wszystkich artystów, którzy ów temat w swojej twórczości podejmowali, z uprzejmą prośbą o przysłanie — w możliwie szybkim terminie! — rysunków pod adresem: Krajowa Agencja Wydawnicza, Oddział w Łodzi, 90-113 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5, z dopiskiem „ALBUM-EROS".

Prace mogą być czarno-białe lub barwne, publikowane lub zupełnie nowe. Mogą to być zdjęcia prac bądź wycinki z gazet, na tyle jednak dobre, by nadawały się do reprodukcji. Agencja prosi również o dołączenie noty biograficznej.

Sądzimy, że sam tytuł „Eros polski" (roboczy!) określa w dostatecznym stopniu tematykę Antologii. „Humor, dowcip, żart, liryzm, poezja, zaskakujące skojarzenia — podkreśla wydawca — TAK!!! Wulgarność, pornografia, obscenia i tym podobne — NIE, NIE, NIE!"

Agencja oczekuje zatem na rysunki w terminie możliwie jak najkrótszym, albo na listowne zgłoszenia, że zostaną dostarczone niebawem.

Wszelkich informacji związanych z Albumem udzieli Andrzej Grun, 93-124 Łódź, ul. Zarzewska 53/61 m 66 A, tel. 81-93-73.

M. B.

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

WIDEO W KUCHNI

„O tym, że Włosi lubią dużo i dobrze zjeść, wiemy od dawna, mniejsze natomiast mamy wyobrażenie o tym, jak w uprawianiu tej narodowej namiętności pomocną okazuje się technika wideo. Dla wszystkich wideomanów-smakoszy przeznaczone są kasety-poradniki odpowiadające na pytanie — jak z czego przygotować posiłek? Dla kulinarnych profesjonalistów — wyszukane przepisy i nowe propozycje, dla pań domu specjalizujących się w ciastach i deserach — seria kaset, po obejrzeniu których najbardziej wyszukana rolada nie sprawia trudności. Wideo-kuchnia ma swe niekwestionowane gwiazdy, należy do nich m.in. **Wilma De Angelis** („Sto małych i dużych sekretów kuchni") oraz **Vincenzo Buonassisi**. Ten ostatni jest nie tylko znanym dziennikarzem telewizyjnym, ale także znawcą historii europejskiej i światowej sztuki kulinarnej. Właśnie niedawno ukazała się 11 już kaseta, na której „sympatyczny konserwatysta" — jak się określa Buonassisiego — opowiada o tradycyjnych potrawach i przyprawach Italii". („Ekran" nr 19)

ZWIĄZEK PODRYWACZY

„Kamakis, czyli zawodowi podrywacze, działający na wyspie Rodos, postanowili zorganizować się w związek, aby możliwie najlepiej przygotować się do nadchodzącego sezonu turystycznego. Członkowie założyciele doszli bowiem do wniosku, że ich działalność ma ogromne znaczenie dla gospodarczego i turystycznego rozwoju ich wyspy. Setki cudzoziemek odwiedzają Rodos nawet pięć razy w roku w poszukiwaniu przygód. Turystyka jest oczywiście tylko pretekstem tych częstych wizyt. Członkami związku mogą zostać mężczyźni w wieku 30—35 lat, choć przewiduje się przyjęcie dwu członków honorowych w wieku ok. 50 lat. Warunkiem przyjęcia jest przedstawienie zaświadczenia wydanego przez szpital w Rodos stwierdzającego, że kandydat nie jest chory na AIDS. Członkowie związku otrzymają karty upoważniające ich do korzystania ze zniżek w wielu hotelach na wyspie". (AFP)

MUZYKOTERAPIA

„Jeszcze w dwa tygodnie po wypadku samochodowym 12-letnia Liana Preston nie odzyskała przytomności. Lekarze z Brook Hospital na przedmieściu Londynu, idąc za radą rodziców dziewczynki, postanowili zostosować terapię „uderzeniową" i wezwali do chorej jej ulubiony zespół rockowy Bros. Piosenkarz zespołu Luke Gross zgodził się na udział w eksperymencie. „Usiadł na łóżku dziewczynki — opowiadał ordynator szpitala — powiedział do niej parę słów, a potem cicho zaśpiewał piosenkę". Nagle dziewczynka otworzyła szeroko oczy i spojrzała na piosenkarza ze zdumieniem. Lekarze uznali, że niebezpieczeństwo minęło". („La Repubblica")

Galeria pisarzy

Rys. Sławomir Arabski

RAFAŁ ORLEWSKI

Choć w Piotrkowie ptak to znany,
Dumny z pióra swego,
Jednak w Łodzi musiał czasem
Słuchać... Orłowskiego!

ROMAN GORZELSKI

Za całokształt walk w akcji „Burza" Stanisław Wiącek otrzymał Krzyż Walecznych. Był wtedy lipiec 1944 r. i nastąpiła reorganizacja oddziału. „Jędrusie" jako 4 kompania weszli w skład 2 Pułku Piechoty Legionów AK, który włączono do 2 Dywizji AK Ziemi Kieleckiej. Stanisław Wiącek został dowódcą I plutonu. Tuż przed zajęciem przez Armię Czerwoną przyczółka sandomiersko-baranowskiego „Jędrusie" stoczyli szereg krwawych walk z Niemcami, rozbijając m. in. 2 pułk saperów i zdobywając ich sztab, mapy, amfibie. Najboleśniejsze, że czyn ten przez pewien okres przypisywano Armii Ludowej...

Tamta część Polski mogła być wówczas wyzwolona, gdyż Niemcy uciekali w ogromnej panice. Ale wtedy Rosjanie zatrzymali się i Niemcy zaczęli wracać. Rozpoczęło się powstanie warszawskie i 2 Dywizja AK ruszyła na pomoc Warszawie. Nie doszło do współdziałania z Armią Czerwoną, ponieważ znane już były losy m. in. wileńskiej dywizji AK.

Formacja, w skład której wchodzili „Jędrusie", sforsowała Pilicę, gdzie natknęła się na pierścień nie do przebycia — dywizję Hermann Göring. Partyzanci wycofali się w lasy kieleckie. Gdziekolwiek się pojawili, Niemcy urządzali pacyfikacje, palili wsie. Kwaterowali więc tylko w lesie, w deszczu bez żywności. Rozformowali się na mniejsze oddziały, a następnie na małe szkieletowe grupy. Od 28 października 1944 r. kilkunastu „Jędrusiów" próbowało przedostać się na teren Sandomierszczyzny, lecz nie udało się. Utknęli w lasach aż do stycznia 1945 r., kiedy ruszyła ofensywa, skazani na głód i mróz...

broń. Jednak Stanisław i Józef Wiąckowie nie tworzyli oddziału i nie strzelali ani do Polaków, ani do Rosjan. Rzecz jednak w tym, że po wejściu Rosjan w 1944 r. do Sandomierza, NKWD znalazło w jednym z domów kilka karabinów. U Stanisława Wiącka, człowieka o piętnaście lat starszego od naszego bohatera. Facet uciekł, a NKWD sporządzoną notatkę przekazało Powiatowemu Urzędowi Bezpieczeństwa. W ten sposób nasz „Jędruś" oskarżony był, choć mu tego nie powiedziano, o posiadanie magazynu broni w prywatnym mieszkaniu w Sandomierzu. Tamten Stanisław Wiącek, starszy, został później ujęty i skazany na 7 lat. Amnestia zdjęła mu pięć lat i po dwóch latach wyszedł na wolność. I o tych faktach w 1946 r. powiadomiono matkę „naszego" Stanisława Wiącka, aby w rok później rozwiać jej nadzieje i poinformować, że sprawa dotyczy kogo innego.

Wróćmy jednak do 4 kwietnia 1945 r., gdy St. Wiącek został ujęty, a konkretnie do pierwszych przesłuchań w Kielcach. Śledztwo prowadził Lebergin. Grzeczny był. Kim jesteś, gdzie się urodziłeś itd. Potem podpiszesz, ale czytać ci nie wolno. Wiącek nie podpisał. Do piwnicy. I tak dziesięć razy w podobnym stylu. A gdy wyprowadzali do ustępu w drugim końcu korytarza, słyszał krzyk oprawców i jęki katowanych. Rano widział leżącego pod schodami nieprzytomnego więźnia lub trupa.

— Wieczorem — wspomina Stanisław Wiącek — zaprowadzono mnie na górę na ostatnie przesłuchanie. Znalazłem się w małym pokoiku nad piwnicą, w której siedziałem. Lebergin polecił mi podpisać protokół, ale nie pozwolił przeczytać. Odmówiłem. Wtedy Lebergin wrzasnął: „Ty skurwysynu! Jeszcze na kolanach będziesz prosił, żeby podpisać!" Wyszedł i po kilku minutach wrócił w towarzystwie Majchrzaka, Kieca i Kwaska z bezpieki. Poszły w ruch gumowe pały. Byłem silny, wysportowany, toteż zacząłem im oddawać...

No tak, ale był także głodny, zmęczony bezsennością, a ich było czterech, potem zaś jeszcze więcej. Postawili na środku pokoju taboret, chwycili go za włosy, wykręcili ręce na plecy i rzucili brzuchem na taboret. Dwóch przydeptywało mu rozłożone nogi, a ten, co siedział mu na głowie, wyłamywał ręce. Gdy Wiącek ugryzł go w udo, puścili go zmasakrowanego, z sinym grzbietem i siedzeniem. Potem ściągnęli zeń odzież, postawili taboret do góry nogami i polecili, aby usiadł na nim. Gdy przykucnął między nogami, Kwasek podbił taboret, nóżka weszła w odbytnicę i nastąpiła polucja...

Była to jedna z tych nocnych zabaw, jakich próbowali już gestapowcy i enkawudyści. W tę noc Stanisław Wiącek stracił 6 zębów i doznał złamania żeber. Po numerze z taboretem upadł nieprzytomny na podłogę, więc oblali go wodą i tłukli pałami. Tonący brzytwy się chwyta. On uchwycił się stojącego w kącie przenośnego pieca kaflowego. Piec runął, iskry, sadze i dym wypełniły pokój i ubowcy wybiegli na korytarz.

Zanim doszedł do siebie, wrócili w większej grupie, uzbrojeni w pepesze bez zamków. Ustawili się pod ścianami i podawali sobie więźnia na lufach, rzucając go jak piłkę. Gdy padał na ziemię zemdlony, oblewali go wodą. Zabawa trwała do rana.

Kwasek, zwany „Rudym", bo takie mu Bozia dała włosy, nagabywał w przystępie „szczerości":

— Wiącek, ty idioto! Podpisz, bo do rana ciebie zatłuką. W sądzie wszystko odwołasz...

Był przeciek, że zatłuczono już brata Antoniego Hedy, ps. „Szary", lecz Wiącek nie podpisał. Nad ranem zawleczono go do piwnicy, gdzie przez dwa tygodnie, bez pomocy lekarskiej, leżał na brzuchu. I dopiero potem przewieziono go do więzienia na ul. Zamkową. Po dwóch i pół miesiącach głodu, bez mycia i golenia, można się było wreszcie pozbyć robactwa, było też coś do zjedzenia.

W tym czasie działy się rzeczy, o jakich Stanisław Wiącek nie miał pojęcia. Chodzi o to, że w czasie okupacji wieś Trzcianka, oprócz kontyngentów i akcji żandarmów, gdy zginęło trzech „Jędrusiów", nie ucierpiała specjalnie od Niemców. Rodzina Wiącków także nie ucierpiała. Represje zaczęły się po odejściu Niemców. Brat Józef został aresztowany i zwolniony, następnie wezwany do PUB i zamknięty, chociaż nie działał w żadnej jednostce zbrojnej. Józef Wiącek przesadził mur i zaczął się ukrywać, a obławy na niego organizował sam major Stanisław Dorosiewicz, miał bowiem do tego specjalne powody.

Podczas jednej z obław zastrzelono uciekającego mężczyznę, bardzo podobnego do Józefa. Wcześniej wpadli pewnego razu funkcjonariusze UB i NKWD, wypędzili wszystkich z domu na łąkę i dokonali rabunku, zabierając wszystko, co cenne, w tym i obrazy, lustra, chociaż butami też nie gardzili. Zabito kilka zwierząt i urządzono orgię alkoholową. Po roku czasu, na interwencję starej Wiąckowej, z prokuratury w Kielcach przyszło pismo, że może zabrać wóz i swoje dwa konie.

C.D.N.

Byli legendą — wspomnienia z najbliższej przeszłości (2)

Ballada o „Jędrusiu"

RYSZARD BINKOWSKI

— Zostaliśmy zamelinowani w wioskach nad Pilicą. Ja z moim koniem trafiłem do majątku Poręba koło Przedborza, gdzie występowałem jako praktykant rolny ale każdy wiedział, o co chodzi. W Dobromierzu poznałem braci Knapików, wysiedlonych z Bełchatowa U jednego z nich znalazł się mój znajomy. Paweł Sowa. Armia Czerwona ruszyła i zaczęły się aresztowania akowców Za namową Knapików przeniosłem się do pustego, wysiedlonego przez Niemców Bełchatowa, gdzie spędziłem kilka miesięcy. Potem udałem się do Piotrkowa, zarejestrowałem się w RKU i otrzymałem stosowne zaświadczenie na lewe nazwisko z okupacji.

— Był pan przezorny, co?

— Tak. Występowałem jako Stanisław Granicznik. Stopień wojskowy był prawdziwy — podporucznik. Pod koniec marca pojechałem w mundurze, na motorze, do Kielc. Słyszę, że dowódcą IV punktu przesyłkowego jest major Stanisław Dorosiewicz „Dziekan", który w 1943 r. uciekł z Oświęcimia i w styczniu 1944 roku na prośbę jego brata Bolesława wstąpił do oddziału „Jędrusiów", skąd wyrzucono go za pijaństwo. Wtedy zgłosił się do BCh i po śmierci „Aleksandra", dowódcy w powiecie stopnickim, został dowódcą BCh w tym powiecie. Ale wkrótce Stanisław Dorosiewicz znalazł się już w Armii Ludowej, w oddziale „Maksa" — Józefa Sobiesiaka, który nie znał jego przeszłości. Pewnie nie udałbym się do Dorosiewicza, ale powiedziano mi, że przebywa u niego dwóch „Jędrusiów" i że pomaga akowcom. No i faktycznie, wystawił mi legitymację wojskową na lewe papiery i kartę urlopową...

Stanisław Wiącek poszedł do Stanisława Dorosiewicza, chociaż znał pewną „przykrą" jego tajemnicę. Nie wiedział natomiast, że karta urlopowa przedłuży mu urlop na całe lata. Był okazem zdrowia, a na urlopie stał się zjawą, cieniem człowieka.

Wiosna 1945 roku była wczesna, ciepła i piękna, niosła wolność dla milionów. Ale tak naprawdę to nie dla wszystkich. Stanisław Wiącek pojechał więc motocyklem do rodzinnej Trzcianki. Motor zostawił u znajomego w stodole i pod osłoną nocy ruszył pieszo do domu. Matka przeżyła szok, ponieważ otrzymała wiadomość, że on zginął pod Staszowem, i odbyła się już msza żałobna Dowiedziawszy się, że brat Józef jest ścigany przez NKWD i UB, postanowił szybko opuścić dom Udał się pieszo w stronę Kielc, wziął swój ukryty motor i pojechał W Staszowie motor zgasł, Wiącek odprowadził go w boczną uliczkę i zaczął grzebać w silniku. Nagle wokół niego jak gdyby zgęstniał cień...

— Podniosłem głowę i zobaczyłem stojących wokół mnie sześciu milicjantów z pepeszami. Komendant poprosił mnie o dokumenty Podaję legitymację wojskową, on czyta i patrzy gdzieś za mnie A za moimi plecami kiwa głową jakiś mężczyzna Złodziej, który okradł biednego sąsiada, za co „Jędrusie" wymierzyli mu publicznie karę chłosty, i to akurat w Sylwestra 1943 r., na rynku w Połańcu Ode mnie też dostał w tyłek, a teraz, cholera, w milicji. Komendant mówi, że ja się tak nie nazywam, w związku z czym biorą mnie do wyjaśnienia. Nie ucieknę, bo zanim wyciągnę pistolet, rozwalą z pepeszy, więc idę. Na posterunku rzucili się na mnie, rozbroili i przeprowadzili na drugą stronę ulicy do siedziby NKWD. Tam pytają, czemu mam lewe papiery. Odpowiadam, że po to, aby mnie w czasie okupacji nie wywieźli na roboty. I po rozmowie Do piwnicy.

Potem zawieziono go autem do Sandomierza, gdzie spędził noc, aby wylądować w piwnicach Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa w Kielcach W celi zastał m.in. szefa sztabu 9 Dywizji majora „Siwego" — Michała Mandziarę.

W tym miejscu, aby nie przeciągać struny i jak w kryminale rozwiązywać zagadkę dopiero na końcu, należy powiedzieć to, o czym Stanisław Wiącek nie wiedział, gdy zaczynała się jego wieloletnia droga przez mękę. Ba, nawet jego matkę wprowadzono potem w błąd, łudząc ją wiarą i nadzieją, kiedy pisała prośby w sprawie synów. Trzeba bowiem stwierdzić, że nie wszyscy z „Jędrusiów", pomni losów ujawniających się akowców, złożyli natychmiast

Historia niemal prawdziwa, ale wszelkie podobieństwo do osób, zdarzeń i sytuacji jest absolutnie przypadkowe.

Tragiczne przypadki Antoniego H. (2)

ANDRZEJ KRAKOWSKI

5.

W życiu Antoniego H. pojawił się człowiek imieniem Al. Typ intelektualisty, obrotny, przedsiębiorczy. Jak umiał, pomagał mu w kłopotach. Zwrócił uwagę na samochód, w którym na pewno „siadł" już akumulator.

— Samochód nie eksploatowany po prostu się rozsypuje — powiedział.

— Wiesz co, Al, dam ci ten samochód na czas wyjaśnienia sprawy mojego prawa jazdy.

— No dobrze — zgodził się Al, zdziwiony, że tak łatwo poszło — ale jak będziemy się rozliczać?

— Skóry z ciebie nie zedrę, załatwisz przegląd techniczny, a w wolnej chwili podrzucisz mnie, gdybym miał coś pilnego. Odpowiada?

Uścisnęli sobie dłonie. Al wrócił do domu dumny z siebie jak paw.

— Opowiadałem ci, Basiu, o tym degeneracie, Antonim H.? — zapytał małżonkę.

— Wspominałeś chyba, a co?

— Powierzył mi właśnie swój samochód.

— Powierzył ci samochód! Co to za człowiek? Kto dzisiaj oddaje samochód koledze!

— To degenerat, wszystko mu jedno, byle się napić.

— Chciałabym poznać tego faceta, Al.

— No wiesz! Nie odważyłbym się zaprowadzić cię do tej jego spelunki.

W głowie pani Barbary zaczęły roić się skłębione myśli. Położyła się spać, jak zwykle, w pokoju dzieci, bo mąż cierpiący na ejaculatio praecox nie był dla niej partnerem, i długo w noc próbowała wyobrazić sobie degenerata, który rozdaje znajomym samochody.

6.

Z powództwa Janiny H. odbyła się sprawa alimentacyjna, podczas której Sąd nie brał pod uwagę dochodów pozwanego, ale jego możliwości zarobkowania. „Działalność twórczą (tu ironiczny uśmiech przewodniczącego) może pozwany traktować jedynie jako hobby, a prócz tego musi podjąć pracę, która pozwoli mu zaspokoić potrzeby dzieci na odpowiednim poziomie". Określono ten poziom na 9 000 zł miesięcznie plus świadczenia zalegle.

W parę dni później wezwano Antoniego H. do Izby Skarbowej i złożył tam pisemne oświadczenie, iż nie płaci podatku, nie doszło bowiem do sfinalizowania transakcji, a umowa nadesłana do Izby przez milicję jest nieaktualna. Samochód wróci do poprzedniego właściciela w momencie, gdy zgromadzi on pieniądze na jego odkupienie. Przyjęto ten tekst bez zastrzeżeń.

Na początku października Al zawiózł Antoniego H. do Tarnowa, gdzie mieszkała pewna młoda poetka, co do której Antoni H. żywił plany i nadzieje na przyszłość. Po drodze doszło do dziwnej awarii. Nic się właściwie nie stało, wszystkie urządzenia funkcjonowały prawidłowo, a silnik po prostu zgasł. Po kilku minutach, bez żadnej naprawy, najspokojniej dał się uruchomić i dalej służył już bez problemów. O tej samej godzinie umarła matka Antoniego H., ale miał się on o tym dowiedzieć dopiero w dwa dni później, powiadomiony telefonicznie przez Kazika, kiedy w szampańskim humorze spoczywał w ramionach młodej poetki.

W prosektorium przy Akademii Medycznej odmówiono Antoniemu H. wydania zwłok matki, dopóki nie uzyska na to zgody prokuratora. Okazało się, iż uczynna małżonka, nie pogodzona z faktem uporczywego przebywania męża na wolności, doniosła, że zamordował on własną matkę i spowodowała dodatkową sekcję zwłok. Dopiero po kilku dniach. Z braku funduszy, żałobnik sam ubierał matkę do trumny. Był otępiały, ślepy i głuchy na wszystko. Nie przejął się nawet tym, że zapomniał zabrać z domu butów i pochował nieboszczkę boso.

7.

Były imieniny Antoniego H. Gościł u siebie Ala wraz z małżonką i Księcia Poetów. Wpadł na chwilę kolega szkolny. A prezent przyniosła jedynie pani Barbara, żona Ala. Był to drogi, ciepły golf, więc i na sercu solenizanta zrobiło się ciepło, gdy mu go wręczyła z życzliwością w spojrzeniu zielonych oczu. Antoni H. wtulił twarz w importowaną wełnę i zapłakał. Tak narodziła się jego klęska.

Szkolny kolega nie zabawił długo, Książę upił się i usnął. Alostwo postanowili zabrać Antoniego H. na noc do siebie. Pomysł był pani Barbary, Al nawet próbował oponować:

— Na diabła nam w domu taki zapity brudas!

Ale małżonka przekonała go jednym zdaniem:

— Nie musi on być taki ostatni, skoro ma tyle dobytku — i powiodła wzrokiem po zagraconym pokoju. Był tam segment wypełniony cennymi książkami, wysokiej klasy gramofon, magnetofon, radio, kolorowy telewizor...

Już następnego dnia Antoni H. podarował pani Barbarze futro po matce, a stało się to nie bez pewnej szczególnej przyczyny. Oto żegnając się z Antonim H. w cztery oczy, na parterze swojej willi, pani Barbara powiedziała:

— Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę zadzwonić, proszę się wcale nie krępować.

— Potrzebuję miłości — odparł Antoni H., jakby od razu chciał zdyskontować ofertę. A pani Barbara, która tylko na to czekała, w myśl zasady „kto szybko daje, ten dwa razy daje", uniosła spódnicę, pod którą nic nie miała i dała szybko dwa razy.

Wrócił do domu na gumowych nogach i dopiero wtedy przyszło opamiętanie. Nie znał dotąd przeszłości Alostwa, ale wydawali mu się szczęśliwym małżeństwem. Mieli dwoje dzieci, znakomite warunki bytowe, a on nagle wlazł w to wszystko z buciorami. Uwiódł żonę przyjaciela, któremu tyle zawdzięczał!

Kiedy na dokładkę stwierdził, że podczas imieninowego przyjęcia zginęło z pudełka stojącego na segmencie jego ostatnie 50 tysięcy złotych, kiedy przypomniał sobie piętrzące się nad nim kary i wyroki, osłabł w nim duch i postanowił wycofać się z gry. W tym celu nalał wody do wanny, wciągnął do strzykawki 4 cm³ metalicznej rtęci i siedząc w kąpieli, wprowadził sobie do żyły ten śmiercionośny ładunek.

Przez długą chwilę nie mógł uwierzyć, że kompletnie nic się nie dzieje. Okazało się, że przedobrzył. Zabiłaby go mała kropla, którą krew byłaby w stanie donieść do serca. Dawka, jaką sobie zaaplikował, rozerwała żyłę i pozostała w zgięciu łokciowym ramienia. Zadzwonił więc do Barbary i powiadomił ją o nieudanej próbie. Ukochana przyjechała natychmiast i wezwała pogotowie. Uciszyła jego sumienie, twierdząc, że od dawna nie kocha męża, który ją bije i małżeństwo, które rzekomo zniszczył, nie istniało już znacznie wcześniej.

— Mimo wszystko nie mogę ukrywać tego, co nas łączy, przed Alem — oświadczył w pewnym momencie pan Antoni. — Nie umiałbym patrzeć mu w oczy i udawać, że nic się nie dzieje.

Włosy zaczęły wypadać panu Antoniemu garściami na skutek zatrucia rtęcią. Bolały go wszystkie zęby i ręka. Mimo to odbył poważną rozmowę z Alem w obecności pani Barbary. Wyznał, że kocha tę ostatnią miłością wielką i prawdziwą, a przy tym cieszy się jej wzajemnością.

Al odegrał rolę oburzonego i zrozpaczonego męża, wygnał rywala z domu, a o pierwszej w nocy przyjechał po niego taksówką.

— Widać tak już musi być — powiedział.

W ten sposób Antoni H. zamieszkał w wytwornej willi w północnej dzielnicy miasta. Wkrótce zabrał do siebie syna z pierwszego małżeństwa, który przez okres jego hospitalizacji przebywał u swojej matki.

Al odseparował się od szczęśliwej pary. Podglądał ich wprawdzie kilkakrotnie z nawyku, ale poza tym dawał im wolną rękę. Pani Barbara bez jego pomocy umiała poprowadzić tę grę. Już na początku stycznia zwierzyła się ukochanemu ze swoich kłopotów finansowych i ten stanął na wysokości zadania. Przywiózł z domu telewizor kolorowy „Jowisz" i oddał go do dyspozycji Barbary. Ta szybciutko sprzedała „niepotrzebnego grata" koleżance i mogła zapłacić horrendalny podatek za willę.

8.

Rozwód Janina H. otrzymała bez żadnych problemów, z wyłącznej winy pozwanego. Kolegium orzekło, że obwiniony prowadził samochód w stanie nietrzeźwym i zasądziło 30 000 zł grzywny oraz zakaz prowadzenia pojazdów na okres 2 lat.

Sprawy sądowe były odraczane. Antoni H. godzinami przesiadywał w „kawiarni", mając nadzieję na spotkanie ze swym przygodnym znajomym, Mirkiem, który zawiózł go do Teofilowa. Niestety — bez rezultatu. Wtedy do głowy Antoniego H. przyszedł karkołomny pomysł. Składając swoje wyjaśnienia, używał zawsze tylko imienia Mirek, bo nazwiska przecież nie znał. Wystarczy teraz znaleźć jakiegokolwiek Mirka, który posiada prawo jazdy, i ten potwierdzi zeznania. Ze znalezieniem odpowiedniego kandydata nie było kłopotu. Ale na rozprawie — widać przez kogoś przestraszony — zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek jeździł samochodem „Audi" do Teofilowa. Przyznał, że oskarżonego zna, ale tylko pobieżnie i ich spotkania są przypadkowe.

Gdyby oskarżonego nie bronił doświadczony mecenas, relację ze swojej historii przekazałby mi Antoni H. o ładnych parę lat później. Znakomitemu adwokatowi udało się dowieść, że sprawa dotyczy przestępstwa mniejszej wagi i wyrok opiewał na 90 tysięcy złotych grzywny z zamianą na 90 dni aresztu, po odliczeniu 30 dni, jakie Antoni H. w areszcie już spędził.

Pani Barbara uczestniczyła we wszystkich rozprawach i sama jej obecność dodawała sił oskarżonemu. To jej czary sprawiły, że zmarł nagle przewodniczący składu sędziowskiego, który wydał się jej nieprzychylny Antoniemu H. Jakże nie kochać takiej przyjaciółki! I Antoni H. kochał ją bez pamięci, co manifestował znosząc do jej domu najrozmaitsze dobra ze sklepów i ze swojego mieszkania.

Z nadmiaru wzruszeń pozwolił na początku 1987 roku dopaść się wirusowi grypy Wysoka temperatura nie opuszczała go przez kilka tygodni. Cóż to była za rozkosz pozwalać się pielęgnować czułym dłoniom, z których jedna, jak przystało na czarownicę, miała aż sześć palców! Sielankę przerwało wtargnięcie trzech panów z komisariatu. Bez okazania jakiegokolwiek nakazu, poza granicami swojej dzielnicy, dokonali oni zatrzymania notorycznego przestępcy Antoniego H., pod zarzutem kradzieży telewizora na szkodę współmałżonki, Janiny. Nie zważali na termometr, wskazujący u przestępcy 39,6 stopnia Celsjusza. Osadzili go w areszcie Został zwolniony z aresztu dopiero na interwencję Komendy Miasta, w której pani Barbara prosiła o pomoc. Kochankowie nie nacieszyli się jednak sobą do syta, bo Antoni H. kwalifikował się już tylko do szpitala. I trafił tam z rozpoznaniem obustronnego zapalenia płuc i zaburzeń w akcji serca, nie mówiąc o silnej nerwicy

Wyszedł po miesiącu, podleczony do stanu używalności i zasiadł na ławie oskarżonych. Za kradzież własnego telewizora został skazany na pół roku pozbawienia wolności i 50 000 grzywny. Jego obrońca i tym razem pokazał swoją klasę Na skutek apelacji, Sąd Wojewódzki uchylił wyrok Sądu Rejonowego i uniewinnił oskarżonego

C.D.N.

Andrzej Makowiecki

Pięćdziesiąt melonów '24

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Sądził, że dany mu będzie krótki odpoczynek, ale Gejsza rozglądała się już za pilotem. Przycisnęła stosowny guzik, ekran japońskiego telewizora rozbłysnął, aby wyeksponować zamiast poczciwej twarzy Jana Suzina grono przystępujących do kopulacji artystów, z których tylko jeden nie był całkiem nagi, trzymał bowiem w zębach papierosa.

— Do you like it? — zachichotało pozbawione pruderii dziewczę.

— Wiesz...

— Co?

— Kocham cię i to naprawdę nie jest konieczne.

— Mnie natomiast przyda się ostroga. Porno always makes me fresher.

Moliński był początkowo speszony i zawstydzony, rychło jednak przemówiła do niego magia sztuki. Kwilił wesoło, jako że akcja stebnowana była rytmicznie gagami. A to zarywa się łóżko, a to gość wiesza sobie na piejącym seksie kapelusz, a to znowu psiak wypełza spod kołdry i liże piętę pogrążonej w rozpuście damy, zaś ona myśli, że to odtrącony mąż i stęka miłośnie:

— Och, John, I love you, I love you!

Nie budząca zastrzeżeń męskość Szkota dawała już o sobie znać, tymczasem Gejsza wyjęła z szuflady nocnego stolika przedmiot, który przypominał do złudzenia roll-on, dezodorant z kulką, stosowany przez pocących się ludzi dla zabicia brzydkich aromatów.

— Fakt, że pięknych woni to ja raczej nie roztaczam — stwierdził samokrytycznie obywatel Zjednoczonego Królestwa. Oczekiwał, że panna namaści go pod pachami, ona jednak włączyła wibrator i zaczęła dotykać intymnych części ciała Brytyjczyka, w którym zbudził się ogier Szepnął nad ranem:

— Mógłbym kochać cię bez przerwy.

— I kochasz mnie bez przerwy. Zapomniałam o kolacji.

— Ja też.

— No więc odwrócimy porządek rzeczy i zjemy ją teraz.

— Nie jestem głodny. Chętnie napiję się Armagnacu.

— Nikt nie powiedział, że jedno wyklucza drugie. Napijesz się Armagnacu, a potem coś zjesz.

— I wrócimy do łóżka?

— Oczywiście. Zasłużyliśmy na długi, krzepiący sen.

Obudzili się o czwartej po południu. Poszli na spacer do parku. Minęli po drodze stadion ŁKS, na którym chłopcy Leszka Jezierskiego toczyli zacięty pojedynek z drużyną śląskich najemników, i ogródki działkowe imienia Stanisława Rogowicza, gdzie w chatce Baby Jagi u torów Kopyto dopijał ostatnią butelkę. Wszyscy mówili o napadzie. Na stadionie znudzeni kibice mówili o napadzie. W ogródkach działkowych szykujące się do odwrotu rodziny mówiły o napadzie. Napad był szlagierem weekendu, ale Gejsza nie zaprzątała sobie nim głowy, podobnie zresztą jak Szkot, który nie znał polskiego i dumał o innych rzeczach.

Minęło złudzenie, że wystarczy posiąść piękność i emocje opadną Słowiańska krew wzięła górę nad brytyjską flegmą i chwyciła za gardło szkockie skąpstwo. Pragnął zrobić coś dla dziewczyny. Natychmiast! Wiedział, że ją miał, ale wiedział również, że jej nie ma. Wiedział, że o takie kobiety trzeba walczyć, że trzeba dobrze sobie zasłużyć, aby taka poszła z tobą do ołtarza, a potem, kiedy będzie już żoną, troszczyć się każdego dnia, aby nie spakowała tobołów. Zresztą ślub nie był tu najważniejszy. James gotów był nawet zamieszkać z Gejszą w Łodzi i prosić Radę Państwa o polskie obywatelstwo. Do diabła posłał całą swoją szkocką rodzinę, a także swego szwedzkiego wspólnika. Wychowany w atmosferze zamożnego mieszczańskiego domu, po raz pierwszy w życiu odkrył w sobie szarmancką fantazję. Żyć! Do tej pory wegetował, przerzucał kobiety, lecz nigdy nie dało mu to szczęścia. W Gejszy był po prostu beznadziejnie zakochany, był zahipnotyzowany jej uroda i znarkotyzowany seksem.

— Wyrzucisz mnie dzisiaj do hotelu? — Znowu trząsł mu się głos; wziął ją za rękę tak nieśmiało, jakby zaczynał dopiero zaloty. — Wyrzucisz?

— Nie.

— I będę mógł wrócić z tobą do domu?

— Będziesz, głuptasie!

— Och, Barbara! — Połykał jedno „a" i brzmiało to Barbra. „R" wymawiał twardo i wyraźnie, nie po angielsku. Łzy, które zaszkliły mu źrenice, też niewiele miały wspólnego z brytyjskim temperamentem.

Poczuła litość i odrobinę tkliwości, ale stłumiła te luksusowe uczucia. Tylko bez sentymentów, dziewczyno! O tym, aby mogła się zakochać, nie było mowy. Przy Konstantynowskiej nie opodal ZOO złapali taksówkę i James powiedział:

— Powinienem odwołać hotel.

— Już to zrobiłam.

— Kiedy?

— Wczoraj.

— Terrific! Jesteś niezrównana, Barbaro! Tak czy owak, muszę zapłacić za dwie doby.

— Zrobię to za ciebie, nie myśl o tym.

— Żartujesz!

— Nie myśl o tym — powtórzyła. — Masz bilet na jutrzejszy pociąg?

— Wziąłem od razu w Warszawie powrotny.

— No to nie myśl o niczym — parsknęła i pocałowała go w ucho gorącymi, mokrymi wargami. — Przygotuj się na długą, upojną noc i na Armagnac, i na parę dobrych papierosów, i na kanapki z kawiorem, tyle że wcześniej pójdziemy do wanny.

— Obydwoje?

— Tak.

— Ten mój przeklęty pot! — biadolił Moliński. Ten mój ohydny piżmowaty odór! — Usiadł naprzeciw Gejszy w spienionej, niebieskiej wodzie i pieścił jej duży, jędrny biust o łagodnym stokach i wezbranych z pożądania sutkach, okolonych brunatnymi, zmarszczonymi lekko płatkami skóry, która dalej przechodziła w łagodną, złocistą, właściwą tylko opalonym blondynkom tonację. Gdyby mógł, zjadłby te piersi, zjadłby w ogóle całą Gejszę i dopiero wtedy byłby nasycony. Rozsunęła szeroko uda i dotknął ją, a ona, mrużąc powieki i wciągając z sykiem powietrze, zażądała:

— Odwróć się!

Zrobił to przytulając pośladki do jędrnego, owłosionego łona dziewczyny. Oplotła go nogami w pasie, zapierając stopy o kolana Jamesa, i zacisnęła palce na dorodnym, spuchniętym od miłości członku. Nad wanną zaterkotał telefon. Zdjęła ze ściany słuchawkę, aby przyjąć do wiadomości to, co miał jej do powiedzenia anonimowy wielbiciel.

— Byłabym wdzięczna, gdyby zechciał pan zadzwonić w przyszłym tygodniu — mruknęła niskim, niewinnym, a przecież zwodniczym tonem, drżącym u końca frazy jak muzyka, którą słyszy się tylko raz i której już nigdy nikt nie powtórzy. — Teraz jestem zajęta.

— Kto to był? — dopytywał Moliński.

— Ktoś, kto chciałby znaleźć się na twoim miejscu.

— I znajdzie się?

— Być może.

— Nie dręcz mnie, Barbaro!

— Szszsz! — położyła mu palec na ustach. — Nie psuj tego pięknego wieczoru, kochanie.

— Przepraszam. Uuuu!

— Dobrze ci?

— Cudownie.

— Nie wybuchaj tylko, szanuj amunicję. — Patrzyła na wytoczony z mahoniu stolik o gumowych, obrotowych kołach, i powiedziała nagle:

— Szkoda.

— Czego? — Podążył za wzrokiem dziewczyny.

— Że nie możemy sobie obejrzeć pornusa. Muszę postawić tu trzeci, mały telewizor. Lubię telewizję. Uwielbiam telewizję. Leżeć w wannie i oglądać interesujący program, to niebo!

Wstała. Wstał i Szkot zażenowany trochę swoją wybujałą, arogancką męskością. Ociekająca wodą dziewczyna wzięła tusz, a potem opłukała ciało mężczyzny i zarzuciła na siebie frotowy szlafrok. James wytarł się kąpielowym ręcznikiem i owinął go dookoła bioder. Zerknął fachowym okiem na stolik i nim poprowadził kochankę do łóżka, rzucił pytanie, na które Gejsza, co tu kręcić! czekała:

— Są w Polsce takie telewizory?

— Owszem, ale trzeba płacić w dewizach.

— Zapłacę! — oświadczył stanowczo Szkot. — Nie odmówisz mi chyba tej małej przyjemności? Kocham cię! Strasznie cię kocham! Zawsze będę cię kochał, Barbaro!

3.

W poniedziałek rano Jacek poszedł do kina na „Nieoczekiwaną zmianę miejsc". Widział już wcześniej ten film i uważał go za najwspanialszą amerykańską komedię, tym razem jednak nie wciągnęła go dowcipna, sensacyjna akcja. Nie słuchał w domu radia i nie oglądał telewizji, z daleka omijał kioski z prasą, ale prędko dopadły go złowieszcze informacje. Raniony przez Bernarda strażnik skonał na stole operacyjnym, kasjer, do którego strzelał Jacek, walczył ze śmiercią w powiatowym szpitalu Milicja znalazła porzucony motocykl i poddała go w swoich laboratoriach troskliwym oględzinom. Mimo kasków i nieprzeniknionych od zewnątrz osłon na oczy i nos, sporządzono na podstawie zeznań dyrektora, woźnicy i jakiegoś wścibskiego, przyczajonego za węgłem banku malca portrety pamięciowe obydwu braci. Ich wiek i wzrost oraz postura zostały określone z przerażającą precyzją.

Spokój! Gdyby działo się coś groźnego, miałby już wiadomość od brata. Bernard milczy, a więc wszystko w porządku! Próbował zogniskować wzrok na ekranie. Zaśmiał się kilka razy w momentach, gdy śmiała się sala, lecz brzmiało to sztucznie. Nie wysiedział do końca. Opuścił kino i powędrował piechotą na plac Niepodległości. Chciał być blisko brata. Dojrzał go ponad głowami ciżby. Nie podszedł i nie ujawnił się, poczuł jednak przypływ sił. Stłumił wyrzuty sumienia. Skok był wyczynem! On i Bernard są wielcy! Pomaszerował z powrotem do śródmieścia krokiem Lee Marvina z filmu „Zabójcy", w którym występował również w roli gangstera Ronald Reagan, w związku z czym obraz został wycofany z obiegu na osiem lat jego bojowej prezydentury. Krążył jednak po domach na kasetach wideo.

Wypił herbatę w „Mariolce" i wypalił dwa papierosy. Zabił godzinę w „parku śledzia" obserwując bałuckich hazardzistów, grających przy kamiennych stołach w warcaby, w pokera, w chlusta i w dziewiątego wała, który jest ściśle łódzką formą szalbierczej loterii o niespotykanym uroku. Wstąpił do „Czuj-Czynu", aby obejrzeć rakiety tenisowe, i do sklepu „Jubilera", gdzie przykuły jego uwagę piękne, delikatne, złote klipsy o hinduskiej ornamentyce. Zegar na sklepowej ścianie wskazywał piętnastą. Obiad! Skierował się ku domowi.

4.

Obudził się późno. Gejsza nakarmiła poddanego Jej Królewskiej Mości, po czym pomogła mu włożyć upraną, starannie wyprasowaną koszulę z własnoręcznie przyszytymi guzikami, które zerwał, kiedy szli do łóżka.

— Kwitniesz!

— Bo kocham! — Wciągnął sweter. — Wyjdziesz za mnie?

— Tego nie powiedziałam.

— Ale daj mi chociaż nadzieję.

— Daję ci ją. Człowiek bez nadziei jest beznadziejny. Znasz zapewne to brytyjskie porzekadło?

— Znam. Mogę łyknąć?

— Łyknij. — Sama nie piła. — O której masz pociąg?

— O pół do czwartej.

— Zatem musimy już iść.

— Ale przedtem zajrzymy do sklepu.

— Po co?

— Po telewizor.

— O.K. — powiedziała. — Kupisz mi telewizor. Ilekroć spojrzę w ekran, zawsze o tobie pomyślę.

Podjechali do „Pewexu" przy Piotrkowskiej, salonu otwartego niedawno na parterze i piętrze odremontowanej secesyjnej kamienicy pomiędzy Nawrot i Mickiewicza. Skinieniem głowy, grzecznie i uprzejmie podziękowała Gejsza cinkciarzom za proponowane usługi i pokazała Jamesowi interesujący ją odbiornik marki Sanyo. Szkot był lekko zszokowany. Przeciągnął językiem po wargach i westchnął:

— Czterysta osiemdziesiąt siedem dolarów?

— Zgadza się.

— Good — powiedział. I pomyślał: dziesięć luksusowych dziwek mógłbym za to mieć, ale gdybym nawet miał ich dwadzieścia, i tak nie zaznałbym z nimi choćby cząstki tej rozkoszy, co z Barbarą. — Niech on wypisze rachunek!

Ekspedient, który był raczej bezczelny i rozpaskudzony, okiełznał wyjątkowo swoją niechęć do bogatej klienteli i udzielił informacji na baczność.

— Tak, kolorowy. Można podłączyć wideo. Z gwarancją.

— Proszę go więc zapakować.

— Służę pani.

Szkot podszedł do kasy z wypełnionym czekiem i spotkał się z odprawą:

— Impossible! I'm really very sorry I can't! — zaśpiewała na całe gardło przesadnie uperfumowana kasjerka, skoro bowiem douczała się nocami angielskiego, chciała, aby świat ją usłyszał. — Only cash. Gotówka.

— Przecież te czeki honorują we wszystkich krajach — zainterweniował Moliński, usiłując sprawić wrażenie człowieka oburzonego, w gruncie rzeczy jednak uległ bezsensownej radości. — Płacę nimi w waszych hotelach.

— Ale u nas jest to niemożliwe. — Nie tylko oblewała się perfumami i studiowała języki obce — inwestowała również w dentystę, dzięki czemu jej pięćdziesięcioletni uśmiech błyszczał przeraźliwą bielą. — Dolary, marki, funty, bony.

Moliński wywrócił kieszenie i doliczył się dwustu pięćdziesięciu trzech baksów.

— Tak mi przykro!

— Nie przejmuj się, kochanie.

Gejsza zawiodła go do sali, gdzie ekspedient pakował do tekturowego pudła odbiornik, i powstrzymała ciężko harującego rodaka.

— Rezygnują państwo?

— Nie. — Wskazała mniejsze Sanyo, które kosztowało wówczas dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów, a dzisiaj jest tańsze. — Zrobimy tylko drobną podmianę. Kolorowy?

— Tak.

— Wideo, gwarancja?

— Oczywiście.

— Niech pan łaskawie wystawi nowy rachunek.

Szkot żachnął się; jego portfel znowu był zagrożony.

— Brakuje mi trzydziestu sześciu dolarów.

— Głupstwo. Dokupię je zaraz.

— Gdzie?

— W holu. Poczekaj chwileczkę.

Stanęła przed wysokim, sympatycznym cyckiem o niebieskich oczach i zaczesanej do góry czuprynie. Wyjął ręce z kieszeni dowodząc, że potrafi znaleźć się wobec damy. Nadziane chamstwo, dzięki któremu egzystował, już dawno przestało wprawiać go w zachwyt, co innego jednak piękna i młoda dziewczyna.

— Mógłbym w czymś pomóc?

Obdarzyła go ciepłym uśmiechem i oświadczyła krótko:

— Pięćdziesiąt.

— Bony, papier?

— Bez różnicy.

— Lecimy dzisiaj po jeden sześć.

— W porządku.

— Nie, nie! Udzielę pani bonifikaty.

— Kto by pomyślał, że stać was na taki szarm.

— Mamy swój honor, proszę pani. — Nie przeliczył złotówek, które mu wręczyła. Oddał jej pięć tysięcy i powiedział: — Mamy również swoje słabości. Zawsze do usług!

— Dziękuję.

W chwilę później Francis James Moliński ulokował opakowane Sanyo na tylnym siedzeniu fiacika. Miał lekką zgagę. W drodze na dworzec poprosił Gejszę, aby zatrzymała samochód przed Grand Hotelem i sam uregulował rachunek za dwie skonsumowane doby. Na parkingu u peronów nastąpiło pożegnanie.

— Pojutrze wracam do Sztokholmu.

— Szczęśliwy jesteś.

— Przeciwnie. Chce mi się płakać.

— Boże broń! Keep smiling, honey.

— Kiedy cię znowu zobaczę?

— Jak przyjedziesz. Make haste! The train is overcrowded, nie chcę, żebyś stał.

— To nie ma żadnego znaczenia.

— Do odjazdu zostało tylko pięć minut! Wziąłeś oczywiście pierwszą klasę?

— Drugą.

No, Szkot! — pomyślała. I powiedziała z hamowanym zniecierpliwieniem:

— Idź już, nie komplikuj sprawy. Nie odprowadzę cię na peron, bo buchną mi w tym czasie telewizorek, pa!

— Pa! Zadzwonię do ciebie.

— Będę czekała!

Ucałował rozpaczliwie i niezręcznie odrętwiałe, chłodne usta dziewczyny. Wysiadł. Tylko raz zdążył pomachać jej ręką, gdyż odjechała ponaglona klaksonem taksówki. Wprowadziła samochód na podwórko kamienicy i medytowała, jak przetransportować Sanyo na drugie piętro frontowej klatki schodowej. Zamierzała wynająć syna dozorcy, lecz w bramie pojawił się Wicher.

C.D.N.

Wideonotes

FILM TV WIDEO

Ostatni dancing w Zakopanem

Reżyser Andrzej Domalik na popremierowym spotkaniu z publicznością nazwał swój najnowszy film pod tytułem **„Schodami w górę, schodami w dół"** — ostatnim dancingiem w Zakopanem. I rzeczywiście. Akcja filmu w dużej części rozgrywa się w stylizowanej na góralszczyznę dancingowej restauracji „Krywań", gdzie spotykają się i popijają przedstawiciele inteligencji, artyści, dobrze urodzone damy, birbanci, narkomani i kokoty. Jest to nostalgiczny, nastrojowy obraz inteligencji polskiej na tle umierającej epoki, niedługo przed wybuchem II wojny światowej. Trzeba też powiedzieć, że oglądamy piękną śmierć.

Do Zakopanego przyjeżdża młody człowiek, student Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, który rzucił uczelnię, by zostać uczniem wybitnego malarza osiadłego w tym właśnie legendarnym kurorcie. Wtapia się w miejscową i przyjezdną elitę, bierze udział w wydarzeniach i skandalach towarzyskich, „próbuje" różnych kobiet, a przede wszystkim wdycha tę niepowtarzalną atmosferę, która bardzo sugestywnie przenika swym zapachem z ekranu na widownię. Film ogląda się z satysfakcją i przyjemnością. Reżyser wraz z autorem zdjęć **(Dariusz Kuc)** i kompozytorem **(Jerzy Satanowski)** umiejętnie nabudowali dekadenckie klimaty, stwarzając obraz odchodzącego na zawsze świata. Mimo smakowitego dowcipu i humoru, widz — jeśli to lubi — odnajdzie w filmie (i w sobie) ukrytą tęsknotę do przeszłości i poczuje żal do uciekającego bezpowrotnie czasu, pokrywającego patyną zapomnienia odchodzące na zawsze dni. Jednak nastroje bohaterów filmu są znakomite, a spośród uczestników pogrzebu jednej z dam, tylko narkoman pozbawiony narkotyku i malarz-wizjoner widzą symboliczny pogrzeb, agonię swojej epoki. I agonia się dokonuje niebawem, wraz z wejściem wojsk hitlerowskich. Żołnierze niemieccy przesiadują teraz w „Krywaniu", popijając, oczywiście, piwo z tłustą pianą. A ów malarz, grany świetnie przez **Jana Nowickiego**, to postać wystylizowana na Witkacego, z jego geniuszem i dziwactwami, choć nigdzie nie jest powiedziane, że to on właśnie. I tego jakby w filmie brakuje, choć nie jest aż tak bardzo istotne. Najważniejszy jest klimat, przeniesiony z powieści **Michała Choromańskiego**, który po mistrzowsku odtwarza atmosferę zakopiańskiego przedwojnia w swej prozie.

Rolę młodego malarza, studenta, gra równie młody aktor **Maciej Robakiewicz**, bardzo dobrze wyczuwający intencje reżysera i świetnie komponujący się w epoce, a jego „życiowa" żona, **Adrianna Biedrzyńska**, która przyjechała specjalnie na premierę filmu w kinie ŁDK, pojawia się w niedużej roli, ale takiej, co to wpisuje się w pamięć. Bardzo dobra jest **Anna Dymna**, jako kusząca, rozbuchana kochanka starego malarza, obiekt pożądania przez męską załogę „Krywania" i **Henryk Bista**, jak zwykle niezawodny.

Film wart jest obejrzenia, szczególnie przez tych widzów, którzy lubią poddać się nastrojowi, chcą od czasu do czasu potęsknić do czegoś niewyrażalnego, którzy chcieliby w dzisiejszych galopujących szaleńczo czasach odnaleźć trochę dawnej beztroski, nie zwalniającej wszakże od myślenia i nie zawsze zapowiadającej li tylko przetańczenie życia.

MAREK KOPROWSKI

A może do kina?

W bieżącym repertuarze naszych kin kinematografię niemiecką reprezentuje film **Siegfrida Kuchna pt. „Wojenne dzieciństwo"**, który proponujemy obejrzeć. Historia opowiedziana przez Kuchna jest projekcją wspomnień reżysera z dzieciństwa, kiedy jako 10-letni chłopiec przeżywał doświadczenia wojny na tyłach frontu. Nie ma tu wielkiej batalistyki, w sferze zainteresowań reżysera znajdują się kameralne losy ludzi, ich psychologiczne sylwetki. Stąd też w „Wojennym dzieciństwie" ściszony, delikatny ton, miejsce na wzruszenie i wiele ciepła, z jakim traktowani są bohaterowie.

Fakty ◆ Plotki ◆ Anegdotki

● **Marlon Brando** został właśnie 65-latkiem. Ten, który uchodzi za jednego z najlepszych aktorów naszego stulecia ma nadal najgorsze mniemanie o swej profesji. »To praca mało konkretna i niepotrzebna« oświadczył niespodziewanie parę dni temu. Ten buntowniczo usposobiony artysta który rozpoczął karierę jako przedstawiciel »angry young men« młodych gniewnych północnoamerykańskiej sceny lubi mieć wszystkim za złe. »Mówi tak jak gdyby miał usta pełne papieru toaletowego« napisał o nim pewien bezlitosny krytyk czyniąc prawdopodobnie aluzję do jego roli Marka Antoniusza w **„Juliuszu Cezarze"** i Napoleona w filmie **„Desirée"**. W jednej ze swych nielicznych wypowiedzi Brando stwierdził: »Sztuka sceniczna jest objawem nerwicy. Porzucenie sceny — to akt dojrzałości« Ale jednocześnie — Brando ukończył właśnie orace nad rolą filmową która stawia go podobno w rzędzie kandydatów do przyszłorocznego Oscara. Film zwie się **„A Dry White Season"**, dzieje się w RPA reżyseruje go kobieta, a Brando gra w nim rolę adwokata". („Corierre Della Sera")

● **Jak podaje „La Stampa"**, „niebawem wideo zawędruje nawet na cmentarz. 62-letni włoski lekarz **Gaetano Costa**, były burmistrz Syrakuz, zapragnął mianowicie, by oglądano go żywym nawet wtedy, gdy nie będzie go już na tym świecie. W tym celu postanowił zainstalować na swym grobie rodzinnym ekran oraz magnetowid kasetowy. »To wspaniały sposób na to, by jeszcze po śmierci być obecnym dla wszystkich krewnych i przyjaciół« — stwierdził zapobiegliwy pan Costa, który nagrał już kasetę. Wystarczy, by każdy, kto pójdzie odwiedzić kiedyś grób pana Costy, nacisnął odpowiedni przycisk — a drogi zmarły ożyje i przemówi »Na kasecie nagrane są pozdrowienia i podziękowania« — objaśnia pan Costa. I co jeszcze? Tego pan doktor nie zdradzi. To będzie niespodzianka"

● **Na kasetach** wideo rzymskiej firmy **„Skorpion"** ukazał się film **Andrzeja Wajdy** (z 1965 r.) **„Popioły"** według dramatu **Stefana Żeromskiego**. Tyle że pod zmienionym tytułem — **„Stracona armia"**. Ta sama firma ma w swej ofercie film **Jerzego Kawalerowicza — „Faraon"** według **Bolesława Prusa**.

● „Pierwszym filmem, który był współprodukowany czy który był oparty na transakcji presale, czyli przedsprzedaży, było **„Życie rodzinne"**, w którym partycypował berliński producent **Manfred Durniok**. Od tego czasu bardzo wiele moich filmów miało jakiś udział zachodnich kapitałów. **„Drogi w nocy"** powstały w 1979 roku w kolońskiej **West Deutsche Rundfunk**, **„Imperatyw"** w 1982, potem były **„Paradygmat"** i **„Sinobrody"**. Dwa lata temu zrobiłem dla włoskiej telewizji dokument o Warszawie — także dokumentalną opowieść poniekąd biograficzną, bowiem są to dzieje mojego rodu, pt. **„Wygasłe czasy"**. Niestety, tylko „Paradygmat" poprzez telewizję znany jest szerszej polskiej publiczności, bo choć zaproponowałem zakupienie licencji tych filmów z własnych środków, decydenci powiedzieli — nie". (Z wypowiedzi Krzysztofa Zanussiego dla „Anteny").

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia — podnieś słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Poglądy, opinie i fakty przedstawiamy w relacji z reporterskiego dyżuru wyłącznie na odpowiedzialność Czytelników, którzy przekazali je nam telefonicznie. Rubryka ta funkcjonuje na zasadzie wzajemnego zaufania. Daje ona naszym Czytelnikom możliwość przekazania opinii publicznej spraw, które utrudniają im życie.

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

8 czerwca — ANDRZEJ GĘBAROWSKI — godzina 10—15.

15 czerwca — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godzina 10—15.

RELACJA Z DYŻURU REPORTERSKIEGO W DNIU 1 CZERWCA 1989 ROKU.

Pani **Marta Sobocka** z Osiedla Piaski na Retkini jest zbulwersowana tym, że przychodnia usytuowana pomiędzy ulicami Maratońską a Marchlewskiego od strony tej ostatniej nie posiada połączenia drogowego, natomiast są wykroty i wyboje. W przychodni leczą się ludzie z wadami kręgosłupa, nóg, reumatycy. I oni muszą pokonywać owe górki, które dla nich są niczym Himalaje. Może by więc naczelnik Dzielnicy Łódź-Polesie zechciał pomóc chorym i spowodował położenie ścieżki pomiędzy przychodnią a ulicą Marchlewskiego.

Pan **Tadeusz Faflik** — Tatrzańska 55, zapytuje, czy nasze władze administracyjne nie mogą spowodować, aby w Łodzi nie brakowało paliwa na stacjach CPN? Na przykład na Mazurach i w Warszawie kolejek już nie ma, a u nas ciągle się wyczekuje przed stacjami pod kilka godzin.

Pan **J.G.** (nazwisko do wiad. red.). W węźle na swojej klatce schodowej ustawił stół pingpongowy, aby młodzież miała gdzie pograć. Ktoś doniósł, że jest to speluna, a nie miejsce gry. Więc pan J.G. proponuje: na osiedlu Montwiłła-Mireckiego w dawnej bibliotece urządzono Dom Pamięci, więc może by ten stół, oraz jakieś inne urządzenia do gier zespołowych, przenieść właśnie tam? Choć zapewnia przy okazji, że u niego na klatce schodowej nikt nie pije wódki, a nawet grający tam chłopcy nie palą papierosów.

Pan J.G. miał jeszcze kilka propozycji, a między innymi tę, aby uporządkować boisko „Społem" na Zdrowiu, na którym niegdyś razem z Jarosławem Pietrzykiem grał w piłkę. Ale wtedy boisko było zadbane, z pełnym wyposażeniem. Dziś jest to całkowita ruina.

Najciekawszą rzecz pan J.G. opowiedział na końcu. Otóż kupił pralkę „Wiatkę", która dość szybko się zepsuła. Z „Domaru" przybył mechanik, wymienił programator i wziął 2 tys. zł. Po praniu pralka znów stanęła. Znów zjawił się mechanik z „Domaru", znów wymienił programator i wziął 14 tys. zł. Uparta pralka jednak nadal nie chciała prać. Znów telefon do „Domaru" na Łąkowej. Mechanik przyszedł, obejrzał i stwierdził, że to wtyczkę należy zmienić, a nie programator. Pan J.G. nabył taką wtyczkę za 10 tys. zł. Ponownie zjawił się mechanik, wymienił, podłączył i pralka pracuje. Pan J.G. pyta: za co zapłacił „Domarowi" 40 tys. zł?

Pan **R.D.** (nazwisko do wiad. red. obejrzał w TV program poświęcony nauce dzieci jazdy na rowerach. Uczyli przedstawiciele MO. Pan R.D. pyta: dlaczego tym dzieciom nie mówi się, że nie wolno jeździć rowerami po chodnikach? Był niedawno świadkiem wypadku, kiedy to młody człowiek, prawie dorosły, potrącił kobietę. Gdyby rower miał tabliczkę rejestracyjną, można byłoby takiego cyklistę odnaleźć i ukarać.

Pan **Andrzej Krakowski** zgłosił sprawę z zakresu ekologii. We wsi Dąbrowa gm. Głowno jest gospodarstwo nr 2, w którym prosperuje wytwórnia produkująca sztuczną skórę. Efektem jej działalności jest śmierć wszystkich okolicznych drzew. W ogóle wytwórnia dymi, śmrodzi i truje. Nie rośnie nawet trawa. Kiedyś, po drugiej stronie rosły tam dorodne dęby, topole i brzozy. Teraz je ścięto i dym wali wprost na pola, trując zboża i wszystko co rośnie.

Pan **Zenon Kamiński** z ul. Wieckowskiego 38 poinformował, że jest u nich na podwórzu „drabina do nieba" czyli schody na murze, ślepe wejście na dach. Wczoraj spadł z nich mały chłopczyk i jest w szpitalu. Pan Z.K. powiadomił ROM-4 mieszczący się na tej samej ulicy. Owszem, przyszli, popatrzyli i poszli. A schody nadal stoją.

Pan **B.M.** (nazwisko do wiad. red.) zgłosił, że w szkole podstawowej nr 11, na korytarzu, na wprost drzwi gabinetu dyrektora jest gablota, a w niej plakat zachęcający uczniów do korzystania ze sklepiku szkolnego oraz z „ORENŻADY". Błąd nikogo nie dziwi, a najmniej pana dyrektora. A może człowieka na takim stanowisku nie obowiązują zasady poprawnej pisowni?

EUGENIUSZ IWANICKI

Rozmowa ze Stefanem Sjodbergiem — Szwedem, który zakochał się w Polsce i Polce.

Poczta — to dobry interes

Zakochał się Stefan w Polce i w Polsce do tego stopnia, że nasz trudny język opanował w stopniu pozwalającym na swobodne porozumiewanie się, choć kaleczy każde słowo, a i paru „szeleszczących" nie używa świadomie. Nie udało mi się w minionych latach wyciągnąć z niego więcej niż kilka oklepanych zwrotów naraz.

Dziś Stefan jest szalenie rozmowny, wręcz — wylewny. Wszystko za sprawą wspaniałej „Kosher-nej Vodki", o mocy niebotycznej, bodaj 70 proc., którą ktoś okazyjnie kupił w Bielsku Białej. Więc ciągnę gościa za język...

— Piłeś już kiedyś taką wódkę?

— Nigdy, wspaniała... U nas takiej nie kupię.

— Nie chcesz rozwiać tego mitu, że przeciętny Szwed przyjeżdża do Polski, by napić się wódki, piwa i poznać sympatyczne dziewczyny?

— Nie chcę. Bo to jest w większości przypadków prawda. Porównania są proste: podobna do waszej „Wyborowej" nasza „Absolut", w butelce 3/4 litra kosztuje chyba 140 koron. A przeciętny zarobek sięga 9 tysięcy koron. To jest drogo.

— Zaraz, zaraz, to u nas relacje byłyby podobne...

— Nie, nie, u was ta prawdziwa przeciętna to jest chyba dużo większa niż teoretycznie podajecie. No i w Polsce sklep przy sklepie. Czy wiesz, że u mnie w N. do niedawna nie było „Systembolag", czyli jak wy mówicie — monopolowego. A miasteczko ma prawie 15 tysięcy mieszkańców, no, tych — ludzi...

— Ale piwa masz, ile dusza zapragnie?

— Tak, w każdym sklepie, w wielu gatunkach, ale tego słabego, takiego do obiadu, ma chyba 2,5 procent mocy tylko. A mocniejsze, po 8 procent, też kupisz tylko w „Systembolag", no i kosztuje nawet do 14 koron za puszkę.

— Nas męczą spore podwyżki wokoło, zapowiadane są kolejne.

— To jest normalne, my też o tym cały czas dyskutujemy. U nas także ceny idą w górę, choćby mleko w ciągu ostatnich pięciu lat zdrożało o 100 procent. A Szwedzi piją bardzo dużo mleka. I to prosto z lodówki. Widziałeś kiedyś z bliska taką hodowlę krów w Szwecji?

— Tylko słyszałem te „legendy": dwa razy w tygodniu lekarz, selekcjonowana pasza, sterylna czystość w pomieszczeniach, to ciągłe, nudne przebieranie się w czyste trepy i fartuchy.

— To jest niezbędne, tak samo jak utrzymanie tej samej temperatury mleka, chyba około 6 stopni, od krowy — no jak to będzie po polsku?

— Od wydojenia.

— No właśnie, od tego... jenia i także w transporcie aż do zakładu przetwórczego. Tak samo zimą, jak i latem...

— Prawda, że krowy na deszcz nie wychodzą z obory?

— Tam gdzie mieszkają znaczy? No, nie wychodzą, bo po co? One mają w środku wspaniałe warunki.

— No a jak zdechnie?

— Co ty! To niemożliwe! Przecież ma świetne warunki i lekarza! Nie może zdechnąć...

— Powiedz co się w Szwecji mówi o Polsce?

— O Polsce w ostatnich miesiącach mówi się bardzo dużo. Codziennie: o Wałęsie, o „okrągłym stole", o przemianach demokratycznych. Pewnie, jak jest jakieś zamieszanie, znaczy te walki na ulicach czy strajki duże, to się mówi więcej.

— A powiedz kilka słów o całkowicie prywatnych opiniach, choćby twoich znajomych, o sytuacji w naszym kraju.

— Najkrócej: dużo uznania za demokratyczne zmiany, zapowiedzi reform, rozmowy z opozycją i dużo współczucia, bo przecież przeciętny Szwed wie, że macie spore kłopoty i życie jest ciężkie.

— A co ty za plotki rozsiewasz, że wam Bałtyk zatruwamy?! Po pierwsze taki sam wasz jak i nasz.

— Dobra, dobra, po co się denerwujesz? Ale żadne plotki. To przecież był wasz minister od ochrony środowiska u naszego, podpisywali umowy, między innymi jak ratować zanieczyszczone strasznie morze. U nas się do tej pory dużo na ten temat pisze; udowodniono, że około 30 procent zanieczyszczeń Bałtyku pochodzi z waszej Wisły... To śmierć dla rybołów , no tego nie powiem

— Dla rybołówstwa. To jasne, współpraca i to szybka jest koniecznością. Ale chyba nie tylko Wisłą wpływają zanieczyszczenia do morza?

— Pewnie, że nie tylko ale te 30 procent to strasznie dużo. Szwedzi na początek zadeklarowali 1 milion koron na tę akcję.

— Powiedz na zakończenie kilka słów o swoim zawodzie.

— No cóż, jestem zwykłym listonoszem.

— Rozwożenie „Volvo" listów czy paczek to sama przyjemność.

— Cóż ty gadasz?! Rowerem, zimą i latem, objuczony torbami z przodu i z tyłu

— A jak długo list idzie z miasta do miasta?

— Jak powyżej stu kilometrów to następnego dnia obowiązkowo musi dotrzeć. A poczta to w ogóle dobry biznes.

— Biznes?

— No, co ty! U nas poczta to samodzielny interes; mamy swoje banki, sprzedajemy znaczki, opakowania, karty wszelakie, zajmujemy się filatelistyką, totalizatorem, loteriami. To się musi opłacać!

— Też tak myślę, zdrowie listonoszy... w Szwecji!

Rozmawiał:
DARIUSZ DOROŻYŃSKI

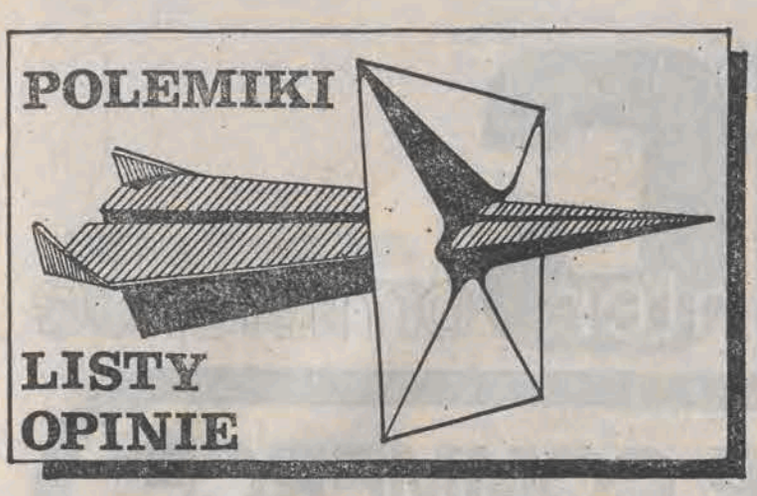

Na kolumnie „Polemiki — listy — opinie" publikujemy tylko teksty podpisane imieniem i nazwiskiem z podaniem adresu Wszelkie dane na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Prezentujemy również poglądy i opinie, których redakcja nie podziela. Przedstawiane w listach fakty publikujemy na odpowiedzialność autorów.

ZLIKWIDOWAĆ DYREKTORÓW?

Biurokracja, której w latach 80. klasa robotnicza podcięła trochę skrzydeł, na których szybowała ku własnym, egoistycznym celom nie zważając na potrzeby całego narodu, przegrupowała swe szeregi i przeszła ponownie do ataku zmieniając taktykę. Atak na utracone pozycje i na nowe przywileje następuje od dołu przy maksymalnym udziale środków masowego przekazu.

Oddziałem szturmowym w tym ataku została grupa zawodowa dyrektorów. Od dłuższego czasu tak jest reklamowana i uświęcana, że prawdopodobnie zostanie kanonizowana. Jak zwykle brak Polakom umiaru, nawet tej odrobiny. Oczywiście wymienieniu jednej musi towarzyszyć poniżenie innych klas i warstw. Dla osiągnięcia przywilejów mówi się, że to dyrektorzy są najważniejsi i że bez nich nic nie może być zrobione czy osiągnięte. Natomiast to, co zostało zepsute czyli za kryzys obwinia się kogoś innego, tj. klasę robotniczą lub jej część. Tę część, która wykonuje najprostsze i najcięższe prace. Ciekawe, co jest pierwotne, a co wtórne? Czy gdyby nie było zapotrzebowania na taką siłę robocza jak by ona mogła istnieć, tym bardziej że występuje nadal chroniczny niedobór chętnych do tego typu prac. Inni rozwiązali ten problem zatrudniając „gastarbaiterów". Wręcz oskarża się tę część klasy robotniczej o ściąganie Polski do zacofania, i że stanowi zagrożenie społeczno-polityczne „stalinizmu", w związku z czym PZPR należy przekształcić w oficjalną partię kierowników i dyrektorów (A. Kurz, B. Łagowski „Zdanie" nr 2/89).

Obecnie Polskę zbawić mają dyrektorzy, którzy zorganizowali się w różne związki, kluby, wywalczyli przywileje i przypuszczają obecnie szturm na opanowanie Sejmu i Senatu. Według różnych wypowiedzi przedstawicieli rządu PRL uzyskali pokaźny udział w zyskach przedsiębiorstw, będą im kupowane z zysków samochody co 3 lata, umożliwi się przejmowanie przedsiębiorstw na własność, mogą z kapitału przedsiębiorstw zakładać spółki zostając ich współwłaścicielami itp. Należy postawić kropkę nad „i" i dla ukoronowania pełnego „feudalizmu socjalistycznego" należy wprowadzić jeszcze dyrektorom „prawa pierwszej mocy" od pracowników zatrudnionych w przedsiębiorstwie.

W systemach burżuazyjnych dyrektorzy są pracownikami najemnymi i są wynagradzani „pensją". Udział w zyskach posiadają „akcjonariusze". Kto i jakim aktem prawnym uwłaszczył w Polsce dyrektorów, że stali się współwłaścicielami majątku narodowego na razie jest tajemnicą.

Jakie nadaje się powody przywilejów majątkowych dla tej sprawy:

— przedstawiciele rządu w swych wypowiedziach oświadczają, że z dyrektorów pragną stworzyć elitę finansową PRL. Dlaczego? Nie podaje się uzasadnienia. Dyrektorzy sami o sobie mówią, że są pierwszą i najważniejszą osobą w przedsiębiorstwie, wręcz jako o oficerach produkcji. Jest to model „stalinowski" oparty o wzór organizacji wojska. Wiemy, że się nie sprawdził. Gospodarka to nie armia.

W „Głosie Robotniczym" nr 101 ogłoszono kandydatów do Sejmu i Senatu z ramienia PZPR. Z robotniczej Łodzi robotnicza partia wytypowała na kandydatów na posłów: 3 dyrektorów, 3 naukowców, po jednym przedstawicielu z aparatu: partyjnego, związkowego i ZWP, 1 sędziego, 1 nauczyciela i 2 mistrzów. Na senatorow wytypowano: dyrektora Spółki Polonijno-Zagranicznej i naukowca etatowego posła z ubiegłych dekad.

Zakończę cytatem z Lwa Trockiego („Kultura" nr 197) „Zdobycie władzy zmienia nie tylko stosunek proletariatu do innych klas, ale i jego własną strukturę wewnętrzną. Sprawowanie władzy staje się specjalnością określonej grupy społecznej; im wyższe ma ona mniemania o swojej misji, z tym większą niecierpliwością dąży do rozwiązania swej własnej „kwestii socjalnej". Biurokracja... ze sługi społeczeństwa stała się jego panem. Na tej drodze osiągnęła ona stan takiego wyobcowania społecznego i moralnego względem mas ludowych, że nie może dopuścić do jakiejś myśli bądź kontroli nad swymi poczynaniami i swoimi dochodami".

Ciągle dąży się do sytuacji by ci sami ludzie programowali, realizowali kontrolowali i dzielili. Na początek proponują w paru przedsiębiorstwach zlikwidować stanowiska dyrektorskie i wprowadzić zarządzanie i kierowanie przedsiębiorstwem przez Samorząd Pracowniczy, dla udowodnienia, że nie jest to grupa najważniejsza i nie do zastąpienia.

A. KOWALSKI

Listu tego nie możemy pozostawić bez komentarza. I tak:

1. Jesteśmy przeciw biurokracji, zwalczaliśmy ją wszelkimi sposobami i nadal będziemy zwalczać.

2. Stoimy na stanowisku, że każda praca jest potrzebna, jest ważna powinna być szanowana i właściwie opłacana. Musi jednak istnieć gradacja pomiędzy rodzajami pracy i płacą za tę pracę.

3. U nas nastąpiła zmiana kryteriów. Wyżej ceni się pracę fizyczną, nikt nie przeczy, że ciężką, niż pracę umysłową. Pozostając z całym szacunkiem dla ludzi ciężkiej pracy fizycznej nie da się osiągnąć postępu cywilizacyjnego nie podnosząc na wyższy poziom pracy umysłowej — a zatem i lepiej ją opłacając. Przy pomocy młota, dłuta, klucza francuskiego, imadeł i łopaty można wiele zrobić, ale nie skonstruuje się nowoczesnych urządzeń elektronicznych ani nie zbuduje się nowoczesnego domu, samochodu, samolotu i tak dalej. Polsce potrzeba jest warunków dla rozwijania postępu cywilizacyjnego. Dotychczasowa polityka wynoszenia na piedestał pracy fizycznej dostatecznie dużo wyrządziła szkody i zatrzymała kraj w rozwoju.

4. Andrzejowi Kurzowi i Bronisławowi Łagowskiemu w dyskusji o przyszłość partii chodziło zupełnie o coś innego, niż zarzuca to im A. Kowalski. Proszę to uważnie przeczytać!

5. Spór między koncepcją menedżerską a samorządową nie jest niczym nowym. Ale przede wszystkim liczy się praktyka. Doświadczenia Jugosławii, która przyjęła w całości koncepcję samorządową nie są najlepsze. Ale i tam nie zlikwidowano stanowisk dyrektorskich.

6. W najnowszych dziejach Polski nastroje antyinteligenckie też nie są niczym nowym. Wyszliśmy na tym, jak wyszliśmy, czyli fatalnie. Hołdowanie tym nastrojom nie prowadzi do niczego dobrego. Przypinanie wszystkim oponentom łatki „stalinista" też już było, tylko w odwrotnym kierunku Wtedy przypinano łatkę „rewizjonista".

7. Nie wolno mylić pojęć: „biurokracja" i „inteligencja".

REDAKTOR DYŻURNY

„GDZIE SĄ KLUCZE DO NOWEGO MIESZKANIA?"

Przedstawiona w artykule Zbigniewa Grzegorzewskiego pt. „Gdzie są klucze do nowego mieszkania?" („Odgłosy" nr 14 z 1989.04.02.) teza o braku motywacji do wzrostu produkcji dla najbardziej przedsiębiorczych producentów materiałów budowlanych sektora nieuspołecznionego znajdowała potwierdzenie w świetle przepisów prawa obowiązujących w 1988 r.

Zgodnie bowiem z Rozporządzeniem Ministra Finansów z 23 grudnia 1987 r., rzemieślnicy produkujący niektóre materiały budowlane, uzyskiwali na okres 3-5 lat preferencje podatkowe pod warunkiem, ze roczna produkcja oraz liczba zatrudnionych pracowników nie przekraczały wielkości określonych w w/w Rozporządzeniu.

W 1988 roku z inicjatywy Ministerstwa Gospodarki Przestrzennej i Budownictwa, we współpracy z Ministerstwem Finansów i Ministerstwem Przemysłu opracowano pakiet aktów prawnych, tworzących dla wszystkich sektorów własności silnie motywacyjne warunki dla intensyfikacji produkcji materiałów i wyrobów dla budownictwa. Zgodnie z zasadą jednolitego traktowania podmiotów gospodarczych niezależnie od typu własności wprowadzone zostały ujednolicone zachęty do rozwoju preferowanych dziedzin produkcji.

Najistotniejsze, wprowadzone w bieżącym roku rozwiązania systemowe, polegają na:

— zwolnieniu z podatku dochodowego na 10 lat dochodów uzyskanych z uruchomienia produkcji materiałów i wyrobów dla budownictwa,

— zwolnieniu z podatku dochodowego na okres od 1989-1998 r. dochodów uzyskanych z ilościowego przyrostu sprzedaży wyrobów i materiałów budowlanych ponad poziom osiągnięty w 1988 r.,

— zmniejszeniu podatku dochodowego podmiotem gospodarczym inwestującym w budowę, rozbudowę i modernizację budynków i budowli oraz zakup maszyn i urządzeń przeznaczonych do produkcji materiałów i wyrobów dla budownictwa.

W nowych rozwiązaniach systemowych podmioty gospodarcze, które korzystały ze zwolnienia od podatku dochodowego i obrotowego z tytułu wykonywania rzemiosła, a wykonują działalność uprawniającą do zastosowania zwolnienia od podatku dochodowego mogą, po złożeniu wniosku we właściwym urzędzie skarbowym, korzystać ze zwolnienia od podatku dochodowego na pozostałą część 10-letniego okresu.

W odniesieniu np. do produkcji cegły, jeżeli spółka złożyła wniosek do właściwego urzędu skarbowego, zwolnienie od podatku dochodowego obowiązywałoby do upływu 10 lat od rozpoczęcia produkcji i bez ograniczenia ilości produkcji.

Wprowadzone preferencje podatkowe stanowią ważny krok na drodze do tworzenia rynku materiałów budowlanych, likwidując jednocześnie występujące wcześniej bariery dla ludzi przedsiębiorczych

mgr ROMAN W. GEODECKI
(Wicedyrektor departamentu w Ministerstwie Gospodarki Przestrzennej i Budownictwa)

JAKA JEST KPN?

W związku z artykułem Anny Gronczewskiej i Witolda Borowego pt: „Opozycyjne ugrupowania w Łodzi — Konfederacja Polski Niepodległej" zamieszczonym w „Odgłosach" nr 20/1624 z 14.V.1989 r., pragnę wyjaśnić kilka spraw, niewłaściwie w tym artykule przedstawionych:

1. Chciałbym na wstępie uspokoić autorów, zaniepokojonych tym, czy aby łódzcy kandydaci KPN do Sejmu i Senatu „zdołają zebrać niezbędne 3000 podpisów każdy" Otóż niżej podpisany stawił się wraz z Marianem Miszalskim i Andrzejem Terleckim w Komisji Wyborczej juz 9.V.1989 r., dysponując 6400 podpisami, zaś Marian Miszalski i Andrzej Terlecki zostali poparci podpisami wyborców po 4600 każdy.. Jak z tego widać KPN na terenie Łodzi znajduje się w nie najgorszej kondycji i na brak społecznego poparcia nie narzeka.

2. Na wstępie artykułu stwierdza się, iż Konfederacja Polski Niepodległej „jest jedną z najstarszych f o r m a l n i e (podk. A.O.) i skrajnie antykomunistycznych organizacji opozycyjnych". W zdaniu tym kwestionuję słowo „formalnie" — bowiem KPN istnieje i działa już od 10 lat bynajmniej wcale nie „formalnie" lecz jak najbardziej realnie. W tym czasie Konfederacja przebyła trudną drogę prowadzącą przez masowe represje, więzienia i jeszcze cięższą niewiarę społeczeństwa w realność naszych celów. Odparła wszystkie uderzenia i wybiła się na jawność, stworzyła silną strukturę polityczną i organizacyjną, oraz uzyskała niemałe, a stale powiększające się wpływy społeczne, uzyskując już trwałe miejsce w historii Polski.

3. Autorzy, powołując się na opracowanie Piotra Gabryela (Reporter nr 2 z 1989 r.) podają, iż KPN na początku 1989 r. liczyła „1600 członków i kilkuset sympatyków". Szkoda, iż autorzy nie zadali sobie minimum trudu i nie zechcieli w tym temacie zasięgnąć informacji w kierownictwie KPN. Faktycznie bowiem liczba 1600 osób odnosi się jedynie do członków rzeczywistych i kandydatów, nie obejmuje natomiast członków-uczestników, których liczba na początku roku wynosiła przeszło 3000. Na pewno natomiast rozśmiesza wprost stwierdzenie o „kilkuset" sympatykach. Czy blisko 16.000 podpisów zebranych na kandydatów KPN do Sejmu i Senatu i to tylko w ciągu kilku dni i tylko na terenie Łodzi — nie przeczy tym niefrasobliwym stwierdzeniom?

4. Autorzy byli łaskawi aż dwukrotnie podkreślić, iż KPN jest organizacją nielegalną. W związku z tym byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby autorzy zechcieli wskazać, w jakim trybie i gdzie w PRL można zarejestrować partię polityczną? Byłbym jeszcze bardziej wdzięczny, gdyby autorzy zechcieli przypomnieć, gdzie, kiedy i w jakim trybie została zarejestrowana PZPR? Jeżeli to się nie uda, to trzeba wyraźnie stwierdzić, iż KPN jest co najmniej tak samo legalna jak PZPR, lub też tak samo nielegalna. Dobrze jest czasami, gdy się już coś pisze — sięgnąć sobie do obowiązujących w PRL aktów normatywnych.

5. Konfederacja Polski Niepodległej jest konsekwentnie tępiona i przemilczana, zaś oświadczenia członków Naczelnych Władz KPN są z reguły dokładnie fałszowane. Kandydatom KPN do Senatu i Sejmu uniemożliwia się prowadzenie kampanii wyborczej i blokuje wszystkie środki masowego przekazu. Historia ostatnich kilkudziesięciu lat PRL uczy jednak, iż metody te skompromitowały się, przynosząc jedynie wstyd (łagodnie mówiąc) tym, którzy je stosowali.

6. Autorzy, pisząc o ugrupowaniach opozycyjnych w Łodzi skarżą się, iż nie zawsze łatwo jest dostać się do „ugrupowań działających nielegalnie". Uwaga ta nie powinna odnosić się do KPN, która działa legalnie i dostęp do naszych władz w żadnym wypadku nie jest utrudniony. Chętnie służę autorom o każdej porze i w każdym czasie — informacjami na temat Konfederacji Polskiej Niepodległej.

7. Mam nadzieję, iż zechce pan redaktor wydrukować moje pismo w całości.

ANDRZEJ OSTOJA-OWSIANY
(Członek Rady Politycznej KPN
Kandydat na Senatora)

List ten adresowany był do mnie i czuję się w obowiązku odpowiedzieć na stawiane w nim zarzuty.

1. W 21 numerze „Odgłosów" na stronie 2, w rubryce „Z kół zbliżonych donoszą..." Witold Borowy przyznał, że mylił się sądząc, że przedstawiciele KPN nie zbiorą wymaganej ilości podpisów. Pismo ukazało się w kioskach „Ruchu" 17 maja 1989 roku. Andrzej Ostoja-Owsiany list swój datował 20 maja 1989 roku. Jako doświadczony prawnik i wieloletni prokurator wie zapewne, że niewiedza nie jest czynnikiem usprawiedliwiającym.

2. Nie mam zamiaru spierać się o słowo: „formalnie". W tymże 21 numerze „Odgłosów", w tejże rubryce, podaliśmy wyjaśnienie Państwowej Komisji Wyborczej. Ponieważ z listu Andrzeja Ostoja-Owsianego wynika, że informacja ta do niego nie dotarła, będę na tyle uprzejmy, że ją powtórzę:

„...w takim zakresie, w jakim jest to kampania wyborcza danego kandydata, a nie nielegalnej organizacji politycznej pod nazwą KPN i w jakim nie naruszone są kardynalne zasady wolności słowa i druku, kampania ta korzysta z ochrony prawnej".

Również Tadeusz Myślik na łamach „Odrodzenia" prezentując Czytelnikom tego pisma wypowiedzi Jacka Kuronia i Leszka Moczulskiego użył sformułowania:

„Przedstawiamy również poglądy leadera nielegalnej Konfederacji Polski Niepodległej Leszka Moczulskiego".

A więc nie jest to tylko wymysł Anny Gronczewskiej i Witolda Borowego.

3. Przedmiotem skrótowej prezentacji opozycyjnej i działającej poza prawnym porządkiem PRL organizacji zwanej KPN nie było w żadnym wypadku porównywanie jej do PZPR i ocena liczby jej członków i sympatyków. Podając tę liczbę powołano się na dane przytoczone przez „Reportera" nr 2 z 1989 roku. Proszę więc mieć pretensje do autora tamtego tekstu — Piotra Gabryela.

Redakcja „Odgłosów" otrzymała również list od Mariana Miszalskiego, który w kategoryczny sposób, powołując się na „Prawo prasowe" żąda publikacji listu. „Prawo prasowe" w kształcie dotychczasowym — nie znam wprowadzonych 30 maja 1989 roku poprawek, ale nie przypuszczam, aby dotyczyły sprawy sprostowań i odpowiedzi — w artykule 31 stwierdza, że redaktor naczelny jest zobowiązany do zamieszczenia sprostowania, które jest:

„1) rzeczowe i odnoszące się do faktów sprostowania wiadomości nieprawdziwej lub nieścisłej,

2) rzeczową odpowiedź na stwierdzenie zagrażające dobrom osobistym".

Jeśli „nie odpowiada wymaganiom określonym w art 31", „podważa fakty stwierdzone prawomocnym orzeczeniem", „treść lub forma nie jest zgodna z zasadami współżycia społecznego" **jeśli treść odpowiedzi nosi** „znamiona zniesławienia lub obrazy", **to** — „Prawo prasowe" stwierdza, że — **redaktor naczelny** „odmówi opublikowania sprostowania lub odpowiedzi".

Ponieważ list Mariana Miszalskiego zawiera wszystkie wyżej wymienione cechy, po raz pierwszy korzystam z prawa odmowy publikacji listu. Czynię to niechętnie, gdyż jestem zwolennikiem dyskusji, w której używa się argumentów, a nie pomówień i inwektyw.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

CO MOŻNA ZROBIĆ W CIĄGU 5 LAT?

Remont łaźni przy ul. Wodnej 6 trwa już 5 lat. W związku z tym chciałbym wiedzieć:

1. Jak długo trwała budowa wieży Eiffla w Paryżu?

2. Jak długo budowano Empire State Building w Nowym Jorku? .

WŁADYSŁAW BOGDAŃSKI

Odpowiadamy:

1. Wieżę w Paryżu Aleksander Gustave Eiffel, który żył w latach 1832—1923, budował tylko przez 3 lata. Budowa wieży Eiffla trwała od 1887 do 1889

2. Empire State Building ma 381 m wysokości i 102 piętra. Wybudowano go również w ciągu trzech lat: 1929—1931.

To było tempo! My natomiast bijemy rekordy powolności.

Tak więc przez 5 lat remontu łaźni przy ul. Wodnej 6 można byłoby wybudować jedną wieżę Eiffla i dwie trzecie Empire State Building. Chcielibyśmy przy tym zwrócić uwagę, że wieża Eiffla powstała w XX wieku, a Empire State Building w pierwszej połowie XX wieku. Dziś postęp technikj w budownictwie znacznie się rozwinął. Być może dziś jedno i drugie wybudowano by w ciągu 5 lat.

TO JEST TO!

Paweł Tomaszewski prosi o listy w sprawie swojego artykułu „Nie ma lokalizacji bez administracji" zamieszczonego w numerze 20 „Odgłosów" z 14 maja br. A więc piszę.

Opisywana sprawa akurat pasuje do mojego wystąpienia pt. „Kto się czego boi?" w którym postawiłem tezę, że władze, czyli organy administracji nie są właściwie niczym zainteresowane, a mając do wyboru załatwienie sprawy na „tak" lub na „nie" — wybierają to drugie. Prowokowałem nawet rzecznika prasowego prezydenta m. Łodzi, aby stanowisku temu zaprzeczył. Oddźwięku dotychczas nie ma, a nadal podtrzymuję, że jestem w stanie podać przynajmniej kilka przypadków (nie jednostkowych), w których organy administracji zajmują pasywną postawę, bo n i e c h c ą problemu załatwić. Sprawa Andrzeja B. to można powiedzieć — „małe piwo", choć oczywiście denerwujące.

Odnosi się wrażenie, że ludzie, którzy powinni pełnić rolę służebną, bo biorą pieniądze podatników — już tak obrośli w piórka, że nikt i nic ich nie ruszy. A co to ma wspólnego z „odnową" i nowym myśleniem? Nic. I jak to zmienić?

Niestety, nie wiem.

W. AFELT

OD REDAKCJI. Rzecznik prasowy prezydenta m. Łodzi zaprasza na kawę i rozmowę. Prosi o kontakt telefoniczny.

JESZCZE RAZ O „WESOŁYM AUTOBUSIE"

W tygodniku „Odgłosy" z 12.III.1989 r. napisałem wiele krytycznych uwag na temat audycji „Wesoły Autobus" która pod aktualnym kierownictwem jest karykaturą dawnej audycji. W numerze 18 z 30.IV 1989 r. otrzymałem odpowiedź. Odpowiedź ta byłaby repliką, gdyby dotyczyła merytorycznych treści mojej krytyki. Tak się jednak nie stało, ponieważ odpowiedź ta miała charakter osobistej napaści, niewybrednej w swojej treści. Zignorowano każdy mój zarzut, stosując starą jak świat metodę że najlepszą obroną jest atak. Jest to metoda poniekąd zrozumiała i do przyjęcia, pod warunkiem, że atakuje się argumentami, nie zaś pomówieniami.

Cudze, osobiste i intymne potknięcia — o ile o nich wiem — są tylko moją tajemnicą, nie wywlekaną na publiczne forum. Natomiast moje grzechy i moje błędy, z którymi przez całe życie chodzę pod rękę (nie jest to ekspiacja, lecz chłodna ocena) są dziś na ustach tych, którzy nie mając odwagi, aby podjąć spór o meritum — wolą po prostu mi naubliżać.

Szczególne to doprawdy świadectwo ich „kultury". Chrońmy prawdziwą kulturę przed podobnymi obyczajami! Chrońmy prawdziwych twórców kultury, artystów i aktorów, przed podobnie „kulturalnymi" menedżerami!

EMERYTOWANY AKTOR

OD REDAKCJI: List ten drukujemy w myśl zasady, że atakowanemu należy dać możliwość obrony. Ponieważ jednak dyskusja rzeczywiście nie toczy się już wokół spraw artystycznych, merytorycznych, zamykamy ją.

UWAGA!

iC Inter Commerce

Sp. z o.o. „INTER COMMERCE"
oraz PZ „HELIOS"
zapraszają do zwiedzenia swojej ekspozycji
prezentowanej w ramach INTERFASHION 89

SZCZEGÓLNEJ UWADZE PAŃSTWA

P O L E C A M Y:

1. URZĄDZENIA DO METKOWANIA
◄ LICZĄCE — tzw. numeratory, które zwielokrotniają wydajność i sprawność znakowania nakładów w toku produkcji odzieżowej;
◄ IGŁOWE — urządzenia umożliwiające wstrzeliwanie w tkaninę plastikowych łączników (łączą tkaninę i np. etykiety)
◄ CENOWE — jedno- i dwuwierszowe zapewniające szybkość metkowania cenowego i asortymentowego, jego trwałość i niezawodność, ułatwiają prowadzenie gospodarki magazynowej, pozwalając na oznakowanie towarów nie tylko cechą indeksu materiałowego, ale również datą przychodu.

UWAGA! OFERUJEMY TAŚMĘ DO WW. URZĄDZEŃ

O R A Z N O W O Ś Ć!

2. ETYKIETY NA FOLII SAMOPRZYLEPNEJ ACETATOWEJ
— na trwałe przyklejane do różnego rodzaju tkanin,
— farby używane do druku nie ulegają zniszczeniu podczas prania
— zastępują metki wszywane do wyrobów tekstylnych.

3. FARBY DO NADRUKU NA TEKSTYLIACH — FIRMY SERICOL
◄ SOFTRAN — podkładem mogą być wszystkie włókna sztuczne, naturalne oraz zabawki.
◄ TEXISCRIN — podkład dowolne grubsze rodzaje tkanin ze względu na silne działanie mieszanki, sztuczne jedwabie, poliester, wełna, włókna acrylowe.
◄ TEXAPAGUE — wprasowanie na bawełnę, włókna naturalne, torby, ubiory sportowe.

WSZYSTKIE FARBY OFERUJEMY W DUŻYM WYBORZE KOLORÓW.

2078/K

ZAPRASZAMY: Łódź ul. Worcella 21
Łódź ul. Worcella, hala A, II piętro

OGŁOSZENIA DROBNE

NIERUCHOMOŚCI

SPRZEDAM działkę budowlaną. 52-47-69.
32729-g

KUPNO-SPRZEDAŻ

KUPIĘ: tokarki, frezerki do metalu. Sprzedam siatkę fosforobrąz 0,1×0,15. 51-22-39, wieczorem.
32946-g

„HELIOSA" pal/secam — sprzedam. 36-59-97.
32668-g

BRYLANT 4-karatowy — sprzedam. Listy 33585 Biuro Ogłoszeń Piotrkowska 96.

SPRZEDAM kołnierzyki „polo" Kilińskiego 47/10a.
33513-g

UNIKATOWE ławy 120/70/52 z blatami z mozaiki marmurowej, oprawa z polerowanego mosiądzu i dębu, „Mosaicon", 132-279, 321-159.
33018-g.

ATRAKCYJNE M-3 sprzedam. tel. 57-19-76.
33752-g

LOKALE

TECHNIK poszukuje M-2, M-3, na 6—12 miesięcy. Listy „33492" Biuro Ogłoszeń, Piotrkowska 96.

USŁUGI

ZE SLAJDÓW — negatywy, odbitki na materiałach zachodnich — wykonuje „Studium" Łódź, Wacława 9 (od Tatrzańskiej) Rycel.
31054-g

WYPOŻYCZALNIA magnetowidów 74-82-92 Woźniak.
23010-g

WEEKENDY autokarowe Wiedeń, Berlin Zachodni „Sartour" 36-31-54.
31913-g

KOLONIE i wczasy nad morzem i w górach. „Sartour" 36-31-54.
31914-g

HAMBURG — trzydniowe pobyty „Sartour" 36-31-54, Sienkiewicza 101/109.
31912-g

MATRYMONIALNE

ATRAKCJNE oferty panów z RFN, „Samanta" 59-850 Świeradów Zdrój, skrytka 13.
30566-g

ZGUBY

ZAGINĘŁO zezwolenie: Malowanie M. Szczepański ul. Gdańska 9 m. 9.
33584/g

ORG Man

ORGMAN

pomaga wybrać właściwych ludzi
na właściwe stanowiska — z jego pomocą
przeprowadzisz konkursy
na stanowiska kierownicze.

ORGMAN

doradzi co produkować, jak osiągnąć
wysoki zysk i dobrą organizację pracy.

90-130 Łódź, ul. Narutowicza 45

ORGMAN

to spółka, która przeprowadzi
w Twoim przedsiębiorstwie atestow e
i wartościowanie pracy i zaplanuje
właściwe systemy wynagrodzeń.

ORGMAN

wykonuje analizy psycho-społeczne,
analizy absencji i konfliktów,
projektuje systemy polityki kadrowej.

ORGMAN

prowadzi mediacje i negocjacje
w przedsiębiorstwach i między nimi.

ORGMAN

zapewni system właściwej oceny
pracowników i system gospodarki
kadrą rezerwową.

ORGMAN

to zespół najlepszych w Polsce
specjalistów. 32499-g

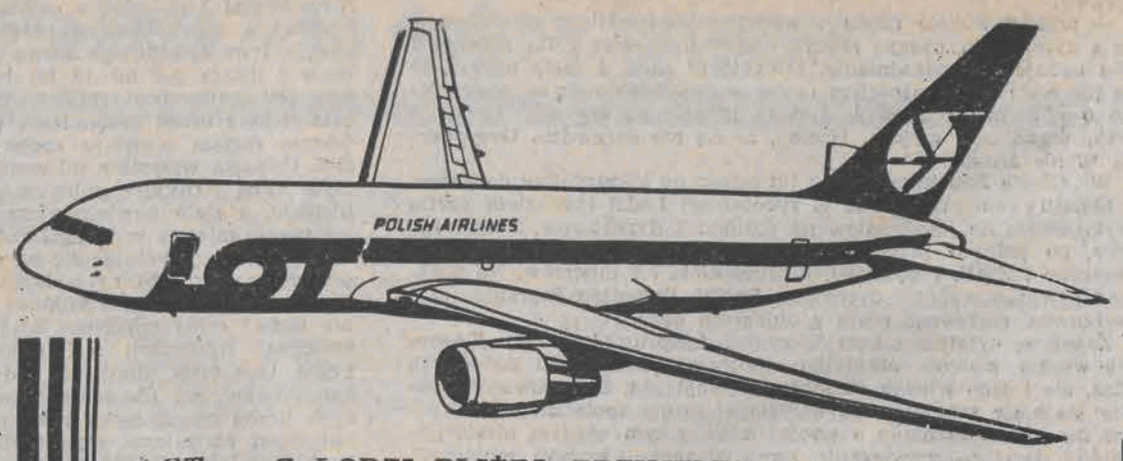

LOT-em Z ŁODZI BLIŻEJ, PRZYJEMNIEJ I OSZCZĘDNIEJ

BIURO REZERWACJI I SPRZEDAŻY PLL „LOT"
w Łodzi, ul. Piotrkowska 122
TELEFAX nr 337075
P O L E C A
swoim pasażerom nowe
ATRAKCYJNE FORMY USŁUG
za pośrednictwem telefaxu:

— przesyłanie zamówień na bilety
— potwierdzanie rezerwacji i tras przelotów
— przesyłanie rachunków, faktur i innych dokumentów

Ponadto naszym stałym klientom dostarczamy bezpośrednio bilety lotnicze w obrocie bezgotówkowym.

× × ×

Chcesz rozpocząć podróż lotniczą już w Łodzi?
K U P
w naszym biurze
bilet na bezpośrednie połączenie autobusowe
Łódź — Międzynarodowy Dworzec Lotniczy Okęcie
Odjazdy autobusów z Łodzi, godz. 4.00 i 11.00.
Odjazdy autobusów z Okęcia, godz. 11.00 i 21.00.

× × ×

LOT
na
MIĘDZYNARODOWYCH TARGACH KONFEKCJI ŁÓDŹ-INTERFASHION '89
— uczestników i gości
Z A P R A S Z A M Y
W DNIACH 12—18 CZERWCA
do naszego specjalnego stoiska na terenie targowym.

2174/K

1

Dobre chęci i oporna rzeczywistość

Kiedy dowiedziałem się, że w telewizji ma być odtworzone spotkanie Adama Michnika i Aleksandra Kwaśniewskiego ze studentami w Gdańsku, usiadłem wygodnie w fotelu licząc na to, że obejrzę rzecz niezwykle ciekawą. Adama Michnika cenię sobie od dawna za jego postawę i bardzo interesujące publikacje książkowe. Mniej natomiast wiem o Aleksandrze Kwaśniewskim, choć i on dał się ostatnio poznać z nie najgorszej strony. I nie zawiodłem się! Obaj oponenci wypadli bardzo dobrze. Nie nudzili, byli konkretni, a przy tym dowcipni. Warto więc było poświęcić trochę czasu, by obejrzeć ten program.

Coś jednak w owej audycji mnie zaniepokoiło. Otóż, po kilkunastu minutach nagle uświadomiłem sobie, że właściwie zgadzam się tak z jednym, jak i z drugim bohaterem spotkania. Oj, niedobrze, pomyślałem, bo świadczyłoby to, że nie mam poglądów i wystarczy tylko ładnie mówić, by przekonać mnie do jakiejś idei. Tutaj jednak muszę szybko się bronić. Proszę sobie wyobrazić (kto widział, ten wie), że i Adam Michnik i Aleksander Kwaśniewski również w zasadniczych punktach się ze sobą zgadzali. Skoro więc oni się ze sobą zgadzali, to dlaczego ja akurat miałbym nie. Oczywiście mógłbym zanegować wszystko od początku do końca, ale taki radykalny to ja nie jestem.

I w tym miejscu pojawia się problem natury ogólniejszej. Cały chyba kraj żyje wyborami. Ja również udałem się na kilka przedwyborczych spotkań. I co wysłuchałem jakiegoś kandydata, czy to z jednej czy z drugiej strony, to się zgadzałem. Ale jak tu mieć coś przeciw, skoro wszyscy mówili o tak istotnych dla kraju sprawach. Bo czy ktoś nie chce prężnej gospodarki, albo dobrze funkcjonującego rolnictwa, albo normalnego handlu, albo zdrowej służby zdrowia, albo godziwej płacy i pracy, albo czystego powietrza i rzek, albo szybko mieszkania, albo...? No właśnie, te bolączki najprzeróżniejsze można by tu wymieniać w nieskończoność. Wszyscy chcą więc normalnego kraju. No, może prawie wszyscy, znam kilku takich, którzy wcale tego nie chcą, ale to już ich sprawa.

Obecnie sytuacja w kraju tak się dokładnie pokręciła, że trudno jest doprawdy odróżnić jedne deklaracje wyborcze od drugich. Wykorzystują to oczywiście sprytni reporterzy telewizyjni, którzy biednych, skołatanych ludzi atakują wybranymi zdaniami z programów wyborczych i zadają przy tym pytanie: jak pan myśli, czyj to może być program? I ku uciesze telewidzów, pytani mylą się prawie zawsze.

Te wybory miały być niekonfrontacyjne. Powiem szczerze, że nie bardzo wiem, o co chodzi. Bo przecież słowo „konfrontacja" znaczy zestawienie, porównanie. A więc jeśli jest dwóch konkurentów do jednego miejsca, to czy ktoś tego chce, czy też nie, już jest konfrontacja tych dwóch panów. Swoją drogą jesteśmy mistrzami w tworzeniu takich dziwnych językowych pojęć.

Wydaje mi się jednak, że wbrew wzajemnym oskarżeniom i krzykom niektórych dziennikarzy, te wybory, przynajmniej jeśli chodzi o programy poszczególnych kandydatów, rzeczywiście nie są konfrontacyjne. Wszyscy przecież chcą tego samego. I cała sprawa sprowadza się tylko do tego, która strona wypowiada owe deklaracje. I zawsze w takiej sytuacji łatwiej będzie tym, którzy mają czyste konto. To chyba normalne. Co będzie dalej, dopiero się okaże.

Te wybory (felieton ukaże się po pierwszej turze) są bardzo ważne, ponieważ dowiemy się wreszcie dokładnie, na jakim gruncie stoją wszystkie zainteresowane strony. Bo podejrzewać a z całą pewnością wiedzieć, to dwie zupełnie różne sprawy. Wiele więc, miejmy nadzieję, wyjaśni się 4, a może dopiero 18 czerwca. Słyszałem, że niektórzy już od trzech tygodni żyją na relanium. Jest to jakiś sposób.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

ZAKŁADY HYDRAULIKI SIŁOWEJ
Łódź, ul. Przybyszewskiego 176/178

Z A T R U D N I Ą

natychmiast:

- KIEROWNIKA KONTROLI JAKOŚCI WYDZ. ODLEWNI
- KIEROWNIKA SEKCJI KSIĘGOWOŚCI MATERIAŁOWEJ
- KIEROWNIKA SEKCJI KSIĘGOWOŚCI ZAROBKOWEJ
- SAMODZIELNE KSIĘGOWE
- INŻ. MECHANIKA ds. OBRÓBKI CIEPLNEJ
- INŻ. ELEKTRONIKA
- ELEKTRYKÓW
- HYDRAULIKÓW
- SPAWACZY
- TOKARZY
- ŚLUSARZY
- FORMIERZY
- RDZENIARZY
- SUWNICOWYCH
- WYDAWCOW W MAGAZYNIE
- ROBOTNIKÓW TRANSPORTU

Zgłoszenia przyjmuje i informacji udziela Dział Spraw Pracowniczych, tel. 74-44-81, w. 219. 3913/K

WĘŻE SPAWALNICZE produkcji zachodniej najtaniej w kraju termin dostaw – NATYCHMIAST!
SPÓŁKA Z O.O.
Ditkom
Warszawa, ul. Polna 18/20 m.76
tel. 42-11-46 w godz. 8-12
3913/K

2

Lewym okiem

Nieruchomy „Ruch"

Czytelnictwo prasy w Polsce spada, zwłaszcza jeśli chodzi o czytelnictwo czasopism. Tytułów mamy na rynku coraz więcej, słyszymy zapowiedzi dalszych dziesiątków pism. Nakłady jednak jakby spadają, a generalnie biorąc, czytelnictwo w Polsce maleje. I na pewno nie tylko dlatego, że pisma stały się drogie, a dla wielu emeryckich budżetów bardzo drogie. To jest ważna przyczyna. Ale jest jeszcze druga, trudna do pojęcia, po prostu tych gazet i czasopism nie ma gdzie kupić.

Poczta nie chce ich dostarczać do domu. To jest taka nasza polska specyfika, bo wątpię, czy jest gdzieś na świecie kraj, gdzie prenumeratorzy traktowani byliby jako wredne, nikomu niepotrzebne zło. A więc prenumerować prasy nie ma po co, bo i tak trzeba po nią iść albo na pocztę, albo do kiosku, a czasem nie ma jej ani tu ani tu.

Kupić zwyczajnie w kiosku też nie można, bo 80 proc. kiosków zamkniętych jest na głucho. Notabene chciałbym wiedzieć, jak to jest: przecież taki kiosk ma swój rozdzielnik w „Ruchu", jest ileś tam dla niego przewidzianych egzemplarzy każdego z tytułów, te egzemplarze ktoś przywozi, kładzie pod kioskiem zamkniętym albo wrzuca kioskarzowi do środka, jeśli akurat otwarte, a potem po paru dniach zabiera z powrotem jako zwroty. Podobno kioskarzom nie opłaca się prowadzić interesu, to jak może opłacić się redakcji, drukarni, wydawcy? I taki kioskarz nie ponosi żadnej konsekwencji. Nie sprzedał, towar zwrócił, koniec zabawy.

Nie wiem też, ile wreszcie powinno kosztować pismo, tygodnik czy miesięcznik, żeby wreszcie opłaciło się handlować nim kioskarzowi, żeby opłaciło się poczcie robić to, co do niej należało i należy od dziesiątków lat: 300—400 złotych? No to podnieśmy ceny pism i zróbmy prędziutko indeksację, podnieśmy wszystkie płace i wszystkie emerytury i znów wszystko przestanie się opłacać.

A może skoro z „Ruchu" został tylko bezruch — stworzyć drugą, konkurencyjną sieć kolportażu? Uczciwie mówię, że o ile w zasadniczych sprawach państwa i narodu uważam pluralizm za niezbędny jak powietrze, o tyle nie wierzę, że pojęcie to jest radykalnym zaklęciem na wszystkie kłopoty. Zresztą wydaje się, że wszystkim nam chodzi nie tyle o pluralizm, ile o dualizm: dwa związki pisarzy, więc może jeszcze dwie straże ogniowe, dwa towarzystwa przyjaciół polskiej pszczoły, dwie sieci komunikacji kolejowej na tych samych trasach.

Niestety, obawiam się, że gdyby do takiego rozwiązania doszło, na przykład w kolportażu prasy, to zamiast ośmiu nieczynnych kiosków miałbym na najbliższych sobie ulicach — szesnaście nieczynnych miejsc sprzedaży. Takie jest bowiem oblicze ogólnej niemożności, w jaką popadliśmy już chyba bez ratunku.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Pod prąd

Powód: Józef Retman, felietonista tygodnika „Odgłosy"

Pozwani: Urząd Miasta Łodzi oraz urzędy dzielnicowe wraz ze wszystkimi podległymi im placówkami, Dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji, Polskie Koleje Państwowe, Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne, Zespoły Opieki Zdrowotnej, Powszechna Spółdzielnia Spożywców „Społem", Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego oraz inne przedsiębiorstwa prowadzące działalność handlową, Bank Powszechna Kasa Oszczędności i Bank Polska Kasa Opieki S.A., tudzież wszystkie inne instytucje i organy administracji państwowej, z których usług zmuszony jestem korzystać lub też — utrzymywać z nimi kontakt.

POZEW

Niniejszym wnoszę o wypłacenie mi odszkodowania w wysokości 1 mln (słownie: jednego miliona) złotych za szkody spowodowane przez pozwanych tym, że jako ich klient, petent, pacjent, itd. straciłem bardzo dużo cennego czasu, który mógłbym z powodzeniem przeznaczyć na dorobienie do nie tak znowu wysokiej dziennikarskiej pensji.

Uzasadnienie:

Przysłowie mówi: czas, to pieniądz. Przysłowia są mądrością narodu. Należy przeto wnosić, iż każdą jednostkę straconego nie z własnej woli czasu można przeliczyć na złotówki, dolary, marki czy jakąkolwiek inną walutę.

Dokonując zakupów w sklepach spożywczych, mięsnych, aptekach i innych placówkach handlowych, narażony jestem na długotrwałe stanie w kolejkach, co spowodowane jest: 1) skandaliczną wprost organizacją pracy w ww. placówkach, 2) zbyt małą ich ilością, 3) przerostami zatrudnienia w pionach administracyjnych, 4) złym i nieterminowym zaopatrzeniem.

Korzystając z komunikacji miejskiej i dalekobieżnej, tracę czas w wyniku: 1) spóźnień pociągów, autobusów, 2) nieprzestrzegania obowiązujących rozkładów jazdy, a także — 3) innych nieprzewidzianych okoliczności, za czym kryje się również fatalna organizacja pracy, w wielu przypadkach — katastrofalny stan techniczny taboru, lekceważenie podróżnych przez wielu pracowników wskazanych przedsiębiorstw komunikacyjnych.

Idąc do przychodni, do lekarza (zwłaszcza specjalisty, co się czasem zdarza) godzinami czekam przed gabinetem na przyjęcie, a zanim to jeszcze nastąpi, nieraz muszę najpierw osobiście „wyciągnąć kartę" czy też „zamówić wizytę", gdyż podobno telefonicznie się nie da. I znów przyczynami tego szkodliwego społecznie stanu rzeczy jest zła organizacja, złe wyposażenie, zbyt mała liczba lekarzy-specjalistów, szczupłość miejsca w wielu placówkach służby zdrowia, itp.

Załatwiając (częściej z konieczności, niż potrzeby) różne sprawy w urzędach administracji państwowej, odsyłany bywam „od Annasza do Kajfasza", by w końcu i tak wrócić tam, skąd zacząłem wędrówkę, każe mi się przynosić coraz to nowe dokumenty, jakby nie można od razu powiedzieć, co będzie rzeczywiście potrzebne, lub też wyczekuję pod drzwiami, bo pani urzędniczka pije akurat biurową herbatkę, czyta gazetę albo prowadzi rozmowę telefoniczną z przyjaciółką.

Wysyłając list z ważną wiadomością, nie mam żadnej pewności, czy dotrze on na czas do adresata, przez co nieraz już ponosiłem rozmaite straty.

Chcąc wpłacić lub wypłacić pieniądze w banku...

Ponieważ wszystkie pozwane instytucje i przedsiębiorstwa powinny działać sprawnie, dbać o klienta, służyć mu, nie zaś zabierać, a mówiąc dosadniej: kraść cenny czas, ich wina jest w pełni udowodniona. Jest bowiem niezaprzeczalnym faktem, iż w innych krajach świata ludzie nie stoją jakoś w kolejkach po chleb, twaróg czy wołowinę z kością, mimo że jest ona bez kartek, pociągi nie mają spóźnień, które mogą się zmniejszyć lub powiększyć, listy doręczane są w ciągu najwyżej dwóch dni, choć nie ma supereksresu, a urzędnicy są mili i uprzejmi. A zatem — można!

I z tego też powodu mój pozew uważam za w pełni uzasadniony, zaś sumę odszkodowania — jedynie za symboliczne zadośćuczynienie poniesionych strat.

JÓZEF RETMAN

W Łodzi strajkowali studenci.

Czy do października NZS będzie zarejestrowane?

Na zewnątrz luz, niby fiesta i gdyby nie rozliczne napisy można by pomyśleć, że to normalne żakowskie życie. *„Żądamy rejestracji NZS, chcemy żyć w Europie"*, *„Nie boimy się czerwonego smoka"*, *„Solidarność dla pracowników, NZS dla studentów"*, *„Mniej SB-ków, więcej leków"* — to niektóre hasła.

23 maja 1989 roku Sąd Wojewódzki w Warszawie odmówił rejestracji Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Następnego dnia na budynku Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego wywieszono napis ogłaszający, że studenci rozpoczęli strajk okupacyjny.

Wewnątrz budynku atmosfera też nie przypominająca beczki prochu. Strajkujący studenci zamienili „filologię" w swój dom. Sale, w których do niedawna odbywały się zajęcia, zamieniono na sypialnie — materace, śpiwory... Na trzecim piętrze w miejscu oznaczonym napisem *„kącik cichej nauki"* normalnie się uczą, przygotowują do egzaminów, które trzeba będzie zdać najpóźniej do 30 września. W Boże Ciało strajkujący modlili się na odprawionej w budynku mszy świętej, która od niedzieli 27 maja jest odprawiana codziennie o 12 w południe. Żeby czas się nie dłużył, jest wideo, 29 maja był turniej brydża.

Korytarze budynku pokryte plakatami podobnymi do tych z zewnątrz. Włodzimierzowi Leninowi na portrecie domalowano „dymek" z napisem: — *„Jestem z wami!"*

Zainteresowanie przechodniów można określić jako bardzo umiarkowane. Przed bramą Uniwersytetu strajkujący studenci kwestują na siebie. Sprzedawana jest „Gazeta Wyborcza". „Głos Solidarności" — ulotka tylko *„do użytku wewnętrznego"* wręczana jest kierowcom zatrzymującym się na skrzyżowaniu alei T. Kościuszki i ul. L. Zamenhofa, a także gapiom, którzy choć przez mgnienie oka przejawiają cień zainteresowania strajkiem.

A o co właściwie chodzi strajkującym studentom niemal ze wszystkich wyższych uczelni w Polsce? Najprościej rzecz ujmując o rejestrację Niezależnego Zrzeszenia Studentów, które poprzez prawo do strajku stanie się gwarantem, że prawa studenckie nie będą naruszane. Rejestracja NZS jest również, według strajkujących, podstawowym warunkiem autonomii wyższych uczelni.

Łódzki „Głos Robotniczy" i inne niesolidarnościowe środki masowego przekazu, według strajkujących, kłamały i kłamią podając za Polską Agencją Prasową, że zarejestrowanie NZS z prawem do strajku godziłoby w porozumienia „okrągłego stołu". Lech Wałęsa przesłał strajkującym list, w którym również pisze o naruszeniu umów „okrągłego stołu" jednak w kontekście niezarejestrowania NZS. Skoro — mówią strajkujący studenci — w ustawie o stowarzyszeniach nie ma słowa o zakazie strajku, to dlaczego wbrew temu, co się głosi ostatnio, że wszystko co nie jest prawem zabronione jest dozwolone, odmawia się rejestracji NZS. I nie bardzo mogę zrozumieć, jak „władza" ma czelność odmawiać rejestracji, którą Leszek Miller obiecał na spotkaniu z warszawskimi studentami, transmitowanym przez ogólnopolski program TV. Według strajkujących niezarejestrowanie NZS jest prowokacją ze strony „władzy" zmierzającej do skłócenia społeczeństwa z „Solidarnością" i wywarcia presji, aby w wyborach do Sejmu i Senatu głosować na kandydatów spoza opozycji, a najlepiej koalicyjno-rządowych.

Najpierw zastrajkował Uniwersytet Łódzki. Zaraz po zajęciu gmachu u zbiegu al. Tadeusza Kościuszki i ul. Ludwika Zamenhofa do strajku przyłączyli się studenci z Akademii Muzycznej, Akademii Medycznej, Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej oraz Politechniki Łódzkiej. W budynku filologii polskiej i angielskiej nie odbywają się żadne zajęcia, zaś wejść do niego mogą tylko pracownicy naukowi i administracyjni dopiero po okazaniu przepustki wystawionej przez strajkujących. Egzaminy odbywają się w nie okupowanych obiektach uniwersyteckich lub w... kawiarni.

Spośród niemal 300 strajkujących osób w szóstym dniu strajku ośmioro podjęło strajk głodowy. Wśród nich są dwie dziewczyny i dwie osoby spoza NZS.

Strajk łódzkich studentów poparły wszystkie organizacje i ugrupowania opozycyjne przekazując duże kwoty pieniędzy oraz między innymi artykuły higieniczne i środki czystości. Również, jak zapewniają strajkujący prezydent Stanów Zjednoczonych George Bush poparł ich i ideę, o którą walczą. Stevie Wonder ostatnio przebywający w Polsce zaśpiewał dla strajkujących studentów Politechniki Warszawskiej.

Kiedy „łapałem", bo nie można tego nazwać zbieraniem, informacje do niniejszego tekstu, jeden ze znajomych pracowników naukowych UŁ, spoglądając na moknące w deszczu krzesła wystawione przed „wydział" i namalowany wizerunek Marilyn Monroe na niedawno odnowionej elewacji budynku zastanawiał się, kto pokryje rachunki za zniszczenia, jakie mogą nastąpić, za nowe malowanie kolumn przed wejściem...

— *Zapewne jednak nie „Solidarność" czy NZS, a kochana ludowa ojczyzna, na którą wszyscy narzekają* — zakończył podając mi rękę.

Po dziewięciu dniach strajk studencki w Łodzi został zawieszony do października 1989 r. Warunkiem jego niewznowienia jest rejestracja Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

ANDRZEJ BRYCHT

Azyl polityczny

Część II (19)

Ruszanie głową

Poszli do piwiarni hotelowej, do której wstęp mają tylko mężczyźni. W tamtych latach pełno było w Toronto takich przeżytków purytanizmu. W tym samym budynku, ale zupełnie oddzielone, znajdowały się niekiedy dwie ponure sale — w jednej mogli pić mężczyźni, w drugiej kobiety. Służba czuwała, żeby się te dwie płcie nie pomieszały przy wspólnym wychylaniu szklaneczek z beczkowym piwem.

Były jeszcze inne sale, dla „Ladies with Escort", czyli dla dam z eskortą. Ani sama kobieta, ani sam mężczyzna nie mieli prawa wstępu. Wyłącznie pary.

W ogóle picie alkoholu obwarowane było w Kanadzie wieloma przepisami i zakazami, z których do dziś tylko część wyrzucono na śmietnik. Na przykład wolno było mieć skrzynkę z piwem w bagażniku, ale nie wolno było mieć butelki piwa wewnątrz samochodu. Znalezienie przez policjanta otwartej butelki groziło aresztowaniem. Oczywiście policja nie ma prawa zatrzymywać samochodów, prawidłowo używających dróg publicznych. Za bezpodstawne zatrzymanie można wytoczyć proces policji. I wygrać. Powiedzmy, że jadę na lotnisko, by polecieć do Nowego Jorku, bo za dwie godziny podpisuję kontrakt, wart dużo pieniędzy. Przepojony poczuciem własnej ważności mundurowiec zatrzymuje mnie, sprawdza papiery, kierunkowskazy, światła hamulcowe itp., a przy tym gędzi jakieś pouczenia. Bierze to kwadrans, spóźniam się na samolot, kontrakt nie zostaje podpisany w terminie. Mój adwokat skarży winnych o odszkodowanie — tym większe, im większy był zysk, wynikający z kontraktu. To nic, że podpisałem go nieco później. Lecz jak wyglądałem w oczach czekających na mnie kontrahentów? Moja „credibility", czyli wiarygodność, została zachwiana, opinia o mnie, jako o człowieku solidnym, jest nadkruszona. Za to ktoś musi wybulić, i to słono. Więc nie zatrzymuje się samochodów bezpodstawnie, pajacyk z „lizaczkiem" i miną chłopka-roztropka, bujający się nad rynsztokiem, jest urządzeniem nieznanym w Kanadzie, zresztą większość mi znanych z powodu wyglądu nie zostałaby przyjęta do pracy w RCMP (Royal Canadian Mounted Police, czyli Królewska Kanadyjska Policja Konna — tak to się nazywa, choć tylko dla parady pokazują się na koniach), ale to tak na marginesie, bo przecież nie wszędzie na świecie można skompletować armię rozrośniętych byków o wzroście powyżej metra osiemdziesiąt.

Nie wolno pić na ulicy, nawet w zaparkowanym samochodzie. Nie wolno pić na frontowej werandzie, można na tylnej, od ogródka. Dziś już łagodniej: nie wolno na ulicy, ale wolno na własnej posesji. Niedawno konferowałem z sąsiadem na temat naprawy dachu, staliśmy na chodniku przed moim domem z głowami zadartymi do góry i z butelkami znakomitego Molsona w rękach. Podjechał żółty radiowóz i policjant zwrócił nam uwagę, żebyśmy przestali pić na chodniku. Wyjaśniłem, że stoimy przed moim domem.

— To proszę wejść na posesję — powiedział surowo.

Zrobiliśmy mały krok do tyłu i stanęliśmy na trawniku. Policjant zapytał:

— Ten trawnik należy do pana?

— Tak jest — odparłem z dumą choć nie był to idealnie przystrzyżony trawnik. — It is my property.

— W porządku — powiedział stróż prawa. — Życzę panom przyjemnego wieczoru.

I odjechał, a myśmy dokończyli piwo na trawniku, wiedząc dobrze, że gdybyśmy zeszli na chodnik, a on z końca ulicy by nas namierzył, to kosztowałoby nas to po jakieś pięćdziesiąt dolarów, równowartość ponad stu butelek piwa. I nawet nie chodzi o forsę, tylko o to, że pisząc mandat patrzyłby na nas jak na głupich gówniarzy.

Duch z Bolkiem-pornografem i Stasiem Gralem usiedli w ciemnej sali dla mężczyzn, zamówili po cztery drafty — wtedy jeszcze taka wąska szklaneczka kosztowała jednego quartera, czyli dwadzieścia pięć centów, i Bolek opowiedział swoją przygodę z ostatniego Sylwestra.

— Nie miałem co robić, chłopaki gdzieś się zakitrali, ani do kogo pójść, ani z kim pochlać. Forsy nie miałem, telefonu w moim pokoju też nie, smutno mi się zrobiło, jak cholera. Sylwester to dla mnie więcej niż Boże Narodzenie. Okropnie odczuwałem swoje położenie, samotność i brak perspektyw. Ale najgorzej to, że nie miałem baby. Chłopaki, nie potrafię bez baby żyć! Normalnie to nie jestem szczególny dupcyngier, ale jak mi brak tego żywiołu w pobliżu, to kręgla dostaję.

— Rób tak, jak Zenek Kalafior — powiedział Gral. — On kupuje sobie słoninę i wali, ile chce.

— Słyszałem — powiedział Bolek — że ostatnio przerzucił się na wątrobę cielęcą. Ale to zboczeniec.

— Poczytaj sobie badania uczonych na temat, co robią ludzie pozbawieni normalnego seksu. Kobiety też. Włosy dęba stają...

Bolek machnął ręką.

— Ja tam jestem tradycjonalista. Ale ile można? Więc wyszedłem z domu tak koło dziesiątej i nie wiem, gdzie pójść, bo byłem boski. Żebym jeszcze język znał, ale gdzie tam... Więc wsiadłem do subwayu i jeżdżę. Na jeden bilet możesz pod ziemią zmieniać linie i podróżować przez dwadzieścia cztery godziny. Więc sobie jeżdżę, całkiem bez sensu, bo widoki takie same, jak to pod ziemią. Aż się zorientowałem, że minęła północ. Trza mi było chociaż na ziemię wyjść i obejrzeć sztuczne ognie, podobno bardzo piękne puszczają nad ratuszem. Ale siedzę w prawie pustym wagonie i jadę z hukiem na North. Wsiadła baba, taka przy kości, starszawa, patrzy się na mnie, ale co? Ona patrzy, a ja nawet odezwać się do niej nie potrafię.

— Kursu nie skończyłeś? — zapytał Stasiu Gral.

— Nie mam do tego głowy — zawstydził się Bolek. — Wyrzucili mnie po miesiącu. A, co tam. Więc babsko gapi się i mnie to wkurzyło, mówię do siebie: „czego się, kurwo, gapisz", a ona usłyszała i do mnie: „pan Polak? Jezu, jak to miło rodaka w sylwestrową noc spotkać!" Ja też się ucieszyłem, zacząłem przepraszać, że niby, mówię, myślałem, że jakaś franca kanadyjska mi się przypatruje, a ona się śmieje, no i mi wybaczyła. Z roboty jechała, rozumicie, w restauracji robiła, przy kuchni, coś takiego. Więc przez trzy przystanki opowiedziałem jej moją sytuację i zaprosiła mnie do siebie. Wdowa. Własny dom. Renta po mężu. I jak się rozebrała, to ciało nadzwyczajne, mówię wam. Jak u trzydziestki. Dzieci nigdy nie miała, to dlatego. Więc miałem cudowną kolację, a potem łóżko takie, że myślałem, że skonam. Do rana waliłem, przespałem się i walę znowu. Ona spragniona, przez osiem lat chłopa nie miała! No, ale za dnia przypomniałem sobie, że Wacek Mól miał przyjść do mnie i oddać dwudziestkę. A do niej znów sąsiadka miała wpaść. Więc się umówiliśmy, że pójdę i wieczorem wrócę. Wyściskaliśmy się w drzwiach jak dwa klucze francuskie, ona mi macha ze schodków, a ja idę i śpiewam. Do metra było niedaleko, dziesięć minut piechotą, szedłem i cały czas myślałem, że moje udręki się skończyły. Ożenię się z babą, będę miał dom, żarcie, łachy, spokój. Walenie pierwszorzędne i kobita porządna, bo się nie puszczała. Czułem, że będę ustawiony już do końca życia. I nagle, kiedy już jechałem subwayem do domu, doszło mi do głupiego łba, że nie znam jej adresu. Ani nazwiska. Ani telefonu. Miała na imię Maria, czyli Mary. To osiedle liczyło z tysiąc domków. Chuj wie, co za uliczka. Nawet nie zwróciłem uwagi, jak się ta stacja metra nazywała! Kamień w wodę. Nigdy już jej nie spotkam.

— To rzeczywiście niefart — pożałował go Duch.

— Ja to frajer — machnął ręką Bolek. — Ale jej mi szkoda. Ona pewnie pomyślała, że nią pogardziłem. Wykorzystałem i poszedłem, jak to chłop. Ona nawet nie wie, że mi się śni co noc, i jak walę konia, to tylko o niej myślę. Powiem wam prawdę, kochani: takiej dobrej dupy jeszcze w życiu nie miałem, a parę setek się nazbierało.

Stasiu Gral nagle się zastanowił.

— Bolek, jak ona mówiła po angielsku?

— Jakby kiepsko, ciągło ją do Polaków.

— Gazety u niej w domu widziałeś?

— „Związkowca" prenumeruje. Pełno tego obok telewizora. „Głos Polski" też widziałem.

— Leć i daj ogłoszenie. Od razu w obydwu gazetach. I trzymaj to ogłoszenie dotąd, aż się baba odezwie. Zobaczysz, że ten dom będzie twój.

Bolek otworzył szeroko oczy. Widać teraz dopiero pojął, że prasa to potęga. I natychmiast zwrócił się do Ducha, wciskając mu szklankę do łapy:

— Jasiu, jak rany, ułóż mi ogłoszenie! Jak przeczyta, to żeby...

— Żeby jej kosmate serce pękło — zaśmiał się Gral.

I Duch napisał: „Mario, poznana w subwayu w noc sylwestrową! Szczęście zaćmiło mi umysł, nie wziąłem Twego adresu ani telefonu. Kocham nieprzytomnie. Może tą drogą odnajdę Cię, Najdroższa? Daj znać pod numer... Nieszczęśliwy Bolesław".

Bolek wypił na stojąco dwie szklanki i wypadł z lokalu, jakby mu kto wsadził w tyłek pieczony kartofel. Gral spoważniał.

— Jasiu — powiedział — mam do ciebie interes.

— Nie pożyczam forsy — powiedział Duch.

— Odwrotnie, jeszcze zarobisz. Niedużo, parę groszy, ale też się liczy.

— Nie mam siły na żadną dodatkową robotę.

— Nic nie musisz robić. Na twój adres będą przychodzić listy. I ja je będę odbierał.

— To wszystko?

— Dokładnie.

— Zgoda — powiedział Duch.

Tu trzeba powiedzieć parę słów o Gralu. Był to mocno zbudowany facet, niegdyś kulturysta, potrafił zejść z trzeciego piętra na rękach, a to już o czymś świadczy. Cechowała go niechęć do pracy fizycznej o wiele większa, niż niechęć Jana Ducha, a to też o czymś świadczy. Nazywał się Stanisław Graliński, ale zmienił nazwisko na Stanley Gral i tak miał we wszystkich dokumentach. Jego największym, a właściwie jedynym marzeniem było zrobienie miliona. W tym celu planował każde pociągnięcie, każde działanie było przemyślane, jak w szachach. Najmniejsza strata energii i jak największy zysk, to była jego dewiza.

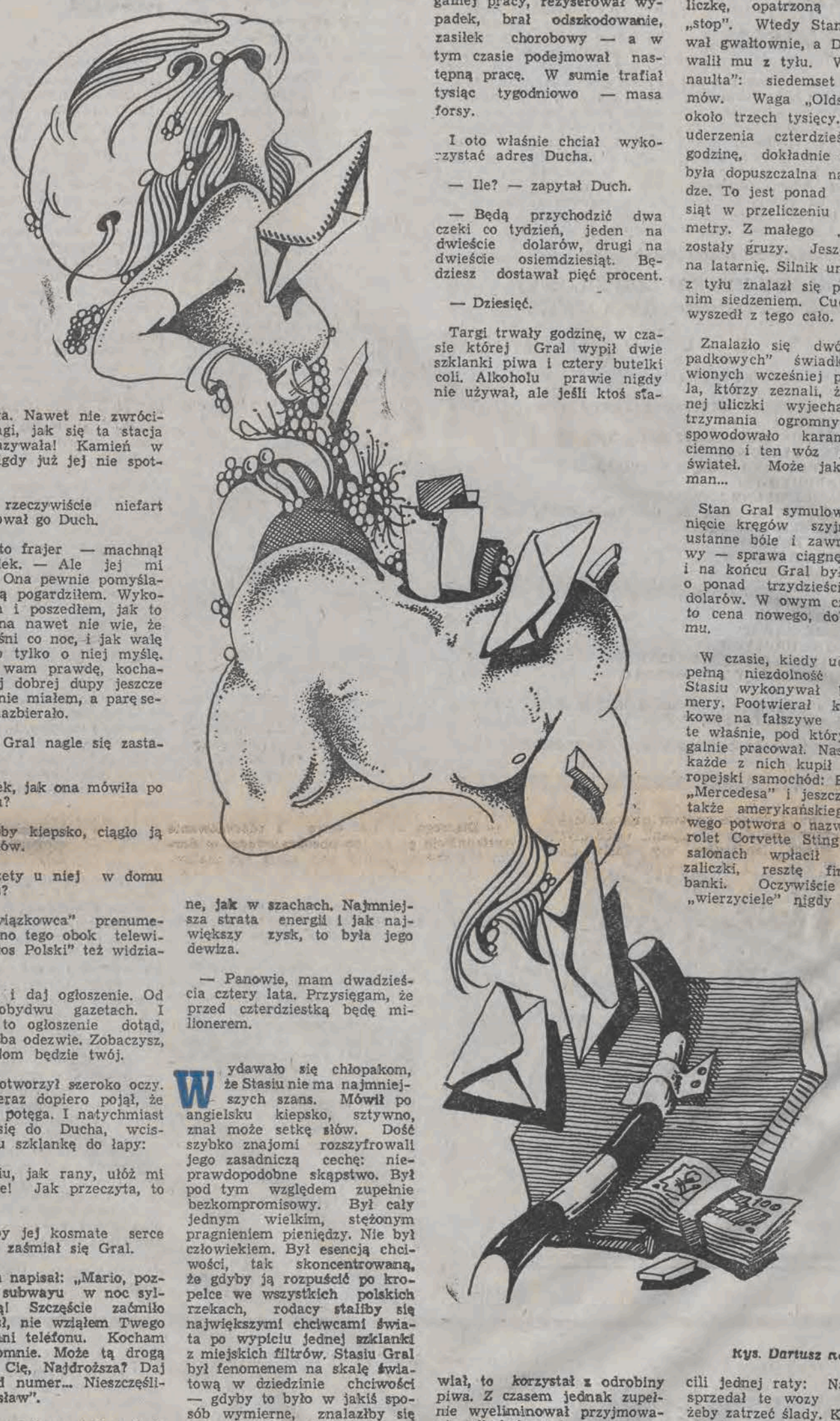

— Panowie, mam dwadzieścia cztery lata. Przysięgam, że przed czterdziestką będę milionerem.

Wydawało się chłopakom, że Stasiu nie ma najmniejszych szans. Mówił po angielsku kiepsko, sztywno, znał może setkę słów. Dość szybko znajomi rozszyfrowali jego zasadniczą cechę: nieprawdopodobne skąpstwo. Był pod tym względem zupełnie bezkompromisowy. Był cały jednym wielkim, stężonym pragnieniem pieniędzy. Nie był człowiekiem. Był esencją chciwości, tak skoncentrowaną, że gdyby ją rozpuścić po kropelce we wszystkich polskich rzekach, rodacy staliby się największymi chciwcami świata po wypiciu jednej szklanki z miejskich filtrów. Stasiu Gral był fenomenem na skalę światową w dziedzinie chciwości — gdyby to było w jakiś sposób wymierne, znalazłby się w księdze rekordów Guinnesa.

Chciwość ta służyła mu jako narzędzie dorabiania się, a jednocześnie używał tego narzędzia do karania kapitalizmu. Nienawidził kapitalistów, i to z jednej, bardzo prostej przyczyny: oni mieli forsę, a on nie. Z chwilą, kiedy on sam zacznie mieć forsę, dużą forsę, przestanie nienawidzić kapitalistów, szczególnie tych, którzy mają już mniej niż on — a jednocześnie zmniejszy się jego nienawiść do tych, którzy mają więcej, ponieważ mając już szersze możliwości pomnażania kapitału, będzie się od bogatszych uczył.

Jak Stasiu Gral karał kapitalistów na początku swojej drogi do finansowego raju? Zwyczajnie. Okradał ich, gdzie się dało. Kupił od złodziei trzy pozwolenia na pracę, każde na inne nazwisko. Pracował w firmie kilka tygodni, robił tak, żeby go wyrzucili. Zaczynał pobierać zapomogę dla bezrobotnych, czeki co tydzień przychodziły na wskazany adres. Tymczasem Stan już pracował gdzie indziej. Po paru tygodniach stamtąd również go zwalniano. Druga zapomoga dla bezrobotnych szła na inny adres. A Stan już w następnej firmie pracował... I tak dalej. W ostatniej, już legalnej pracy, reżyserował wypadek, brał odszkodowanie, zasiłek chorobowy — a w tym czasie podejmował następną pracę. W sumie trafiał tysiąc tygodniowo — masa forsy.

I oto właśnie chciał wykorzystać adres Ducha.

— Ile? — zapytał Duch.

— Będą przychodzić dwa czeki co tydzień, jeden na dwieście dolarów, drugi na dwieście osiemdziesiąt. Będziesz dostawał pięć procent.

— Dziesięć.

Targi trwały godzinę, w czasie której Gral wypił dwie szklanki piwa i cztery butelki coli. Alkoholu prawie nigdy nie używał, ale jeśli ktoś stawiał, to korzystał z odrobiny piwa. Z czasem jednak zupełnie wyeliminował przyjmowanie alkoholowych poczęstunków z obawy przed koniecznością rewanżu. Po co pić za darmo, kiedy wiadomo, że potem fundator też będzie chciał pić za darmo?

Wreszcie Gral zgodził się na warunki Ducha. W ten sposób Duch miał dodatkowe czterdzieści osiem dolarów co tydzień, a taka suma zapewniała pełne wyżywienie dla dwóch osób, łącznie z kawą, dobrą herbatą, mięsem i mlekiem, owocami, kilkoma gatunkami sera i tak dalej, słowem pełna lodówa żarcia, wystarczającego na siedem dni.

Jesienią Gral wciągnął Ducha w lepszy numer. Kupił mały wrak, jakieś „Renault 8", za trzy setki. Kumpel z warsztatu wystawił mu kwit na dziewięćset. Wydawało się, że wystarczy rozwalić wraka kompletnie, żeby z ubezpieczenia wyciągnąć sześćset na czysto. Ale nie dla Grala takie tanie numery. Obgadał sprawę z Duchem i zrobili tak: Gral wynajął Duchowi potężnego „Oldsmobile'a", największego, jaki był u „Hertza". Opłacił ubezpieczenie totalne, zwalniające człowieka od wszelkiej materialnej odpowiedzialności. Kosztowało to wtedy dwa dolce dziennie. Oczywiście Gral wynajął wóz na dobę, ani chwili dłużej. Wybrał dzień deszczowy i dobre miejsce. Stan posuwał główną drogą, Duch za nim. Minęli wąską uliczkę, opatrzoną znakiem „stop". Wtedy Stan zahamował gwałtownie, a Duch przywalił mu z tyłu. Waga „Renaulta": siedemset kilogramów. Waga „Oldsmobile'a": około trzech tysięcy. Szybkość uderzenia czterdzieści mil na godzinę, dokładnie taka, jaka była dopuszczalna na tej drodze. To jest ponad sześćdziesiąt w przeliczeniu na kilometry. Z małego „Renaulta" zostały gruzy. Jeszcze wpadł na latarnię. Silnik umieszczony z tyłu znalazł się pod przednim siedzeniem. Cud, że Gral wyszedł z tego cało.

Znalazło się dwóch „przypadkowych" świadków, ustawionych wcześniej przez Grala, którzy zeznali, że z bocznej uliczki wyjechał bez zatrzymania ogromny wóz i to spowodowało karambol. Było ciemno i ten wóz jechał bez świateł. Może jakiś narkoman...

Stan Gral symulował zwichnięcie kręgów szyjnych, nieustanne bóle i zawroty głowy — sprawa ciągnęła się rok i na końcu Gral był bogatszy o ponad trzydzieści tysięcy dolarów. W owym czasie była to cena nowego, dobrego domu.

W czasie, kiedy udawał zupełną niezdolność do pracy, Stasiu wykonywał lepsze numery. Pootwierał konta bankowe na fałszywe nazwiska, te właśnie, pod którymi nielegalnie pracował. Następnie na każde z nich kupił nowy europejski samochód: BMW 2002, „Mercedesa" i jeszcze coś, a także amerykańskiego sportowego potwora o nazwie „Chevrolet Corvette Sting Ray". W salonach wpłacił niewielkie zaliczki, resztę finansowały banki. Oczywiście fikcyjni „wierzyciele" nigdy nie spłacili jednej raty: Natychmiast sprzedał te wozy kumplowi, żeby zatrzeć ślady. Kumpel nadał je na statek w Nowym Jorku, w Hamburgu opylił za pół ceny — ale wciąż były to duże sumy. Małą be-emką wjechał do Polski, spędził tu kilka miesięcy. Zamienił wóz na obraz francuskiego impresjonisty, który przemycił do Stanów. Otrzymał za niego osiemdziesiąt tysięcy dolców. Wrócił do Kanady i podzielili się z Gralem uczciwie.

Teraz już mogli z tym Kaziem (Casimir Orly, niegdyś Orłowski) wypłynąć na szersze wody. Znaleźli sposób na pomnożenie majątku o tysiąc procent w ciągu kilku tygodni. Jak to możliwe? Za Atlantykiem nie ma rzeczy niemożliwych.

C.D.N.

Rys. Dariusz Romanowicz